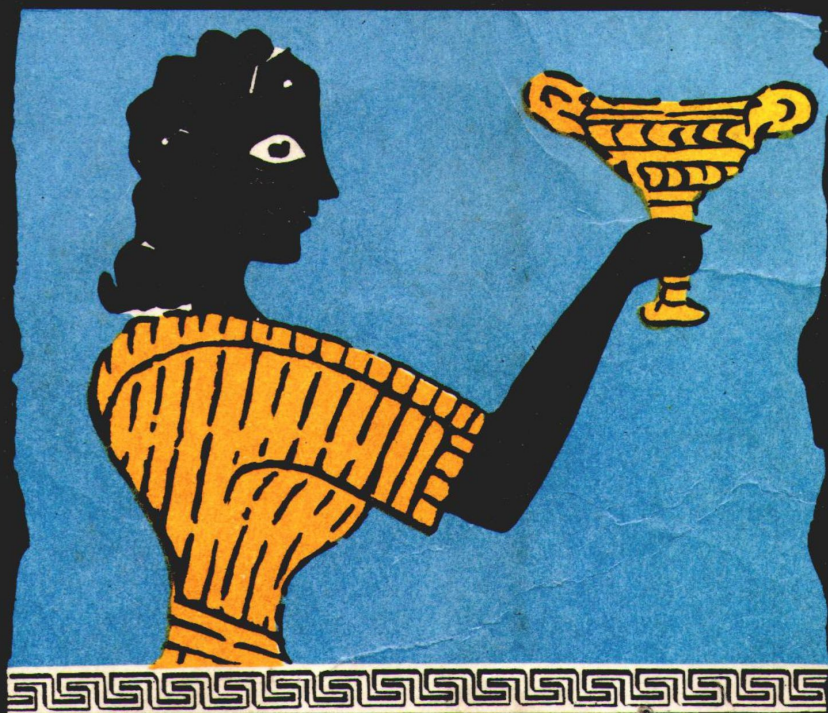


waza

KRÓLA

Barbara Gordon



lesiojot

PRIAMA

Barbara Gordon

Waza króla Priama



ISKRY • WARSZAWA • 1974

— Przedstawiam państwu mojego przyjaciela, pana mecenasa Stefana Zamorskiego — powiedziałam do zebranych, wprowadzając do jadalni eleganckiego, starszego pana.

Osoby zgromadzone tego popołudnia przy stole, gościły w moim domu po raz pierwszy. Panią Hannę, miłą kobietę w średnim wieku i jej piętnastoletniego syna poznałam podczas niedawnej kuracji w Krynicy. Młode, sympatyczne małżeństwo, państwo Sosnowcy, to moi nowi sąsiedzi. Kupili przed miesiącem domek, którego oświetlone okna za płotem ogrodu rozjaśniają mi wieczorami leśny mrok. Przyszli właśnie, aby rozszerzyć znajomość, ograniczającą się dotychczas do luźnej wymiany zdań na temat dokuczliwej plagi gawronów oraz konieczności odśnieżania wspólnie przez nas użytkowanej dróżki do stacji. Uważałam, że wypada wyjaśnić towarzystwu szczególne cechy moich zażyłych stosunków z zawsze mile widzianym, choć nie oczekiwanym tego wieczora gościem:

— Nikomu nie zawdzięczam tylu tematów moich książek, jak właśnie panu mecenasowi. Moja wyobraźnia nie potrafi tworzyć tak interesujących losów ludzkich jak te, z którymi styka się pan Stefan na co dzień.

— Zanadto mnie pani chwali, pani Basiu — Zamorski ścisnął dłonie obecnych z właściwą sobie, trochę staroświecką galanterią — gdyby nie pani, moje historyjki pozostałyby zwykłym gawędziarstwem starego nudziarza. To pani uwiecznia losy moich bohaterów ku ich chwale albo ku przestrodze bliźnim.

Zawsze podejrzewałam Zamorskiego o fałszywą skromność. Wyraźnie prowokuje, domaga się pochwał. Wiem dobrze: w gruncie rzeczy uważa, że jest moim natchnieniem. Może nawet myśli sobie po cichu — tak jak myśli nie on jeden — że gdyby

tylko miał trochę więcej czasu, mógłby sam zasiąść przy biurku i spisać dzieje znanych mu postaci lepiej jeszcze niż ja to robię. Ale pisanie książek sensacyjnych to niepoważne zajęcie. Nie przystoi znakomitemu obrońcy, jednemu z największych autorytetów naszej palestry. Kto z klientów powierzyłby swój los autorowi powieści rozrywkowych! Nie wyprowadzam mecenasa z błędu, tak jak też nikomu nie odradzam wypróbowania pióra. Niech porywa się na to kto chce, kto głodny sławy. Nie popełnię jednak niedyskrecji, gdy przypomnę, jak pewnego razu Zamorski zachorował i z nudów napisał kryminalną nowelkę. Incognito posłał ją do pewnego tygodnika. Po jakimś czasie w rubryce „Odpowiedzi redakcji” ukazała się notatka: „Ob. S. Z. — Fabuła nieprawdopodobna, realia sądowe wzięte z sufitu, zupełna niezajomość środowiska sądowiczego i procedury. Radzimy pójść choć raz na rozprawę i posłuchać mowy obrończej adwokata z prawdziwego zdarzenia, jak np. mecenasa Stefana Zamorskiego. Trzeba również popracować nad stylem”. Nie, nie. Niech lepiej Zamorski niczego nie pisze. Niech za to mówi. Niech opowiada — przy pełnym zachowaniu zawodowej dyskrecji — swoje historie o ludziach i ich najprzeziwniejszych sprawach.

Tym bardziej, iż zawsze znajdzie się ktoś, kto wyżej ceni inspirację od wykonania. Oto bowiem odezwała się osoba, zawodowo tropiąca kto, co i od kogo w literaturze zapożyczył.

— Cóż wiedzielibyśmy dziś o Sokratesie i czy istniałby dla nas Homer, panie mecenasie, gdyby ktoś inny nie zapisał ich słów?

Pani Hanna jest pracowniczką instytucji naukowej i zajmuje się filologią klasyczną. Nie byłam pewna, czy nie powinnam poczuć się dotknięta. Posłuchajcie, proszę: Zamorski przyrównany do Homera i Sokratesa, a ja — niewiele więcej, niż taśma magnetofonowa, rejestrująca, co ktoś powiedział albo wyśpiewał! Pani Hanna to jednak taktowna osoba. Spostrzegła się i zażartowała z łagodnym uśmiechem:

— Pani Barbarze, jak sędzę, to starożytne porównanie w niczym nie uwłacza. Ostatecznie wiedzę naszą o Sokratesie zawdzięczamy Platonowi i Ksenofontowi. Można by też dodać

Arystofanesa, ale to niecny plotkarz.

Parantela w samej rzeczy nie do pogardzenia. Platon... Mogłoby mnie to zadowolić, chociaż do jego koncepcji filozoficznych nigdy nie miałam przekonania. Za to Zamorski ustawiony obok Sokratesa wyraźnie podobał mi się. Musiał za młodu gorliwie przykładać się do studiowania wskazań tego starego Greka, syna rzeźbiarza i położnej, który mawiał, że uprawia w pewnym sensie zawód swej matki: pomaga ludzkim myślom przychodzić na świat. Doprawdy, to chyba na podobieństwo Sokratesa Zamorski cenił doskonałą umiejętność w zawodzie, za mądrość uważał wszechstronną znajomość rzeczy i życia, a już nikt ze znanych mi osób nie potrafił tak jak on sprowadzać rozumowania przeciwnika do absurdu i doprowadzać dyskusji do sedna sprawy przez indukcję i analogie. Była jeszcze wszakże inna strona życia wielkiego greckiego mędrca, która oby nie stała się również udziałem mojego współczesnego przyjaciela: żona. Jedni powiadają: Ksantypa — sekutnica, inni — nieszczęśliwa istota, która zapragnęła zwykłego szczęścia przy boku niezwykłego męża. Takie eksperymenty, jak wiadomo, nie udają się. Co rokuje niedawno zawarte małżeństwo Stefana z piękną Iwoną? Wolałam na wszelki wypadek położyć kres antycznym reminiscencjom. Przysunęłam Zamorskiemu jego ulubioną filiżankę z czarnego angielskiego fajansu, napełnioną mocną kawą i powiedziałam:

— Byłam ogromnie wzruszona pana pamięcią o mnie, panie Stefanie. Nie zapomniał pan, że właśnie minęło dziesięć lat od chwili, kiedy nasza pierwsza wspólna opowieść ukazała się w druku. Takie piękne krokusy! Jak pan sprawił, że do mnie dotarły? Przecież właśnie w tym czasie przebywał pan za granicą. Wiem o tym z całą pewnością, bo i ja pamiętałam o jubileuszu. Telefonowałam z zaproszeniem, abyśmy wspólnie uczcili naszą małą rocznicę kieliszkiem dobrego koniaku, ale zastałam tylko panią Iwonę.

Nie powiedziałam głośno — pomyślałam sobie tylko, że w żadnym wypadku nie podejrzewam Iwony Zamorskiej o ten gest z kwiatami. Nasza gwiazda rewii i estrady zanadto

przywykła do odbierania holdów, aby przyszło jej do głowy, że to ona ma przesłać komuś bukiet.

Roześmiał się jak chłopiec, któremu udał się figiel:

— Rzeczywiście. Byłem w Paryżu i Wiedniu. Załatwiałem spadkowe sprawy mojego klienta. Od kiedy jednak Polska należy do „Interflory”, nie ma przeszkód w wyrażaniu uczuć ludzkich na odległość. Zamawia się kwiaty w Paryżu i docierają do Leśnej Podkowy.

— Śliczne są te krokusy — wyraziła gorąco swój zachwyt pani Sosnowska. O ile wiem, jest malarką. — I jaka gustowna kompozycja. Pięknie im w tym wazonie. Wyglądają, jak gdyby wyrastały na skalistym zboczu.

Przyznam się, że nie lubię plecionych koszyczków, w które kwaciarnie wstawiają doniczki z roślinami cebulkowymi. Toteż wyjęłam doniczkę z krokusami barwy ametystu z połączanego koszyka i wstawiłam do ciemnoszarej, prawie czarnej wazy z wysmukłą, rozszerzoną u góry szyjką. Otrzymałam ją również nie tak dawno w prezencie. Kwiaty wyglądały w niej naprawdę dużo korzystniej.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę, gdzie stały krokusy, a Zamorski zadeklamował swoim dźwięcznym głosem, którym umiał posługiwać się jak zawodowy aktor:

— *Święta ziemia wydała zieleniące rośliny,
Lotos perlisty od rosy, krokusy i hiacynty
Gęste i lekko puszyste...*

Uśmiechnął się czarując do pani Hanny:

— Czy nie tak, droga pani?

— Ależ tak — zawołała z entuzjazmem. — Właśnie dokładnie w ten sposób opisuje Homer rozkwitanie wiosennych kwiatów na szczycie góry Idy podczas zaślubin Zeusa i Hery!

— To dobrze — ucieszył się Zamorski — obawiałem się, że pamięć mi już nie dopisuje.

Nie wątpię, że Zamorski świetnie się zna na antyku. Przecież chodził do szkoły w czasach, kiedy uczono w gimnazjach greki i łaciny z większym zapałem, niż współczesnych języków obcych, a znajomość wszystkich skomplikowanych powiązań w mitologicznej rodzinie bóstw z Olimpu obowiązywała każdego

kulturalnego człowieka. Dziś jednak mało chyba już kogo obchodzi, że kochliwy Zeus, zanim poszedł wachać z Herą hiacynty na Idzie, połknął poprzednią swą małżonkę, boginię mądrości Metis wraz z jej nie narodzonym jeszcze dzieckiem, Ateną, tworząc niedościgły wzór rozwodu idealnego. Ponieważ nikomu już się po nim taka sztuczka nie udała, co nam po tej wiedzy! Niech więc Zamorski i pani Hanna, miłośnicy antyku, wrócą do naszej rzeczywistości ze względu na resztę towarzystwa:

— Panie Stefanie, budzę pana w wieku dwudziestym!

Zamorski posiada niezwykle dar przenikania myśli ludzkich. Odpowiedział mi pół żartem, pół serio:

— Czy pani doprawdy sądzi, pani Basiu, że my i starożytność nie mamy już sobie nawzajem nic do powiedzenia?

— Nasze życie współczesne jest tak absorbujące, panie Stefanie — czułam, że Zamorski zastawia jakąś pułapkę; wolałam ją wyminąć, nie odpowiadając wprost na pytanie o przyszłość nie należy do tematów nudnych. Turek — wskazałam na syna pani Hani, młodego człowieka o pochmurnym spojrzeniu i włosach wystarczająco długich, aby zadość uczynić modzie, ale jeszcze nie tak długich, by powodować konflikt z ciałem profesorskim w liceum — na pewno bardziej interesuje się raketami kosmicznymi, niż skrzydłami Dedala i Ikara.

— Gdyby istotnie tak było — oponował w dalszym ciągu Zamorski — wynikłaby z tego niepowetowana szkoda. Dla pana Jurka. Zachowywałby się jak przyrodnik, który zajmuje się tylko liśćmi rośliny, nie zwracając uwagi na jej korzenie. Jakże by mógł ją dobrze hodować i badać? To przecież marzenia poprzednich pokoleń skłaniają następne pokolenia do działania. Gdyby nie starożytne legendy o ludziach-ptakach, ludziach przypinających sobie skrzydła, może po dziś dzień nie wpadłoby nikomu do głowy, by odrywać się od ziemi.

Nasz pojedynek słowny toczyliśmy dotychczas w odosobnieniu, reszta osób przy stole przysłuchiwała się tylko, popijając herbatę i pałaszując ciastka. Teraz jednak niespodziewanie włączyła się pani Sosnowska:

— A czemu przypisać, pani Barbaro, ten wielki rozkwit archeologii? I to ogromne zainteresowanie, jakie wzbudzają wszystkie wykopaliska wśród szerokiej publiczności. Młodzież zaczytuje się książkami o pradziejach, o najstarszych cywilizacjach...

Opowiedziała się po stronie Zamorskiego i umilkła, jak gdyby speszona swoją śmiałością.

— No!

To lapidarne potwierdzenie padło z ust Jurka. Nie lubił widocznie wdawać się w obszerniejsze dyskusje. Teraz wszyscy znów patrzyli na Zamorskiego, który uśmiechał się triumfująco. Postanowił zgębnić mnie do reszty.

— Kiedy pani chodzi sobie po ziemi, albo kiedy znajduje się pani w górach, czy myśli pani o podziemnych rzekach, które płyną i sączą się pod pani nogami, pod powierzchnią gruntu? Może pani nawet nie myśli, nie zastanawia się, ale one są, istnieją, płyną, stanowią niezbędne ogniwo w krążeniu wody po naszym globie. Część ich wody wypłynie, wytryśnie raz po raz gdzieś na wierzch i dzięki temu możemy pić przy pani stole tę wspaniałą kawę i herbatę. Tak samo nas, współczesnych, żywią dawne wieki. Chociaż nieraz nie zdajemy sobie z tego sprawy. I czasami nie uświadamiamy sobie, jak wiele w nas, dzisiejszych, przetrwało z czasów już nawet nie Homera, ale z okresu malowideł skalnych w pieczarach Afryki.

— To są ogólniki. Ładne teorie. Efektowne. Ale ja proszę o przykłady — powiedziałam wyzywająco.

Zrobiłam to celowo. Mecenas Zamorski pozwolił się sprowokować. Utkwił wzrok w ciemnoszarej wazie z krokusami. Nie było to wszakże spojrzenie roztargnione i pełne melancholijnej zadumy nad przemijaniem ludzkich dziejów. Jego oczy błyszczały przekornie. Odetchnęłam z ulgą. Wiedziałam, co znaczy to podniecenie, zabarwiające policzki Zamorskiego lekkim rumieńcem, a oczy rozjaśniające blaskiem. Za chwilę opowie jakąś swoją nową, pasjonującą historyjkę, dzięki której ja i moi goście wspominać będziemy długo to popołudnie jako wyjątkowo udane i interesujące. Pan Sosnowski poruszył się niecierpliwie, zdaje się, że chciał i on

wtrącić swoje zdanie, ale żona powstrzymała go ruchem ręki i lekkim skinieniem głowy. Wyczuła nastrój chwili. Nie darmo mówi się, że pan Stefan umie czarować kobiety.

Zapadła zupełna cisza, gdy mecenas Zamorski rozpoczął swoje opowiadanie.

*

Kiedy Iwona pewnego ranka demonstracyjnie otworzyła na rozcież szafę i wyjęła z niej swoją nową suknię, poczułem niepokój. Jest źle, a może być jeszcze gorzej. Proszę bowiem wyobrazić sobie śliczną, młodą kobietę o gęstych włosach naturalnego koloru blond platyna, o dużych fiołkowych oczach, o porcelanowej cerze, w kreacji ze srebrnej lamy przypominającej fakturą rybią łuskę. W dodatku krawcowa, której słono zapłaciło się za wykonanie dwóch szwów, łączących po bokach dwa prostokąty materiału, wymyśliła na poczekaniu mało dowcipny, ale nadzwyczaj pochlebny komplement:

— Pani mecenasowa wygląda w tej sukni jak syrena. Naprawdę, mogłaby pani stanąć na cokole jako nowoczesny pomnik Warszawy.

No i nikt jeszcze oprócz tej krawcowej i mnie, mojej pani w tym stroju nie widział. I nie podziwiał. Zgroza.

W dramatycznym milczeniu moja żona przyglądała się kawałkowi brokatu, od którego aż pojaśniało w pokoju. Zdmuchnęła ze srebrnej łuski niewidzialny kurz, wygładziła dłonią niedostrzegalną fałdkę. Westchnęła cicho i przeciągle, po czym powiesiła suknię na powrót w szafie.

Gdybym przeszedł do porządku dziennego nad tą maleńką, znakomicie odegraną tragiczną scenką, gdybym zrobił wrażenie, że jej w ogóle nie zauważyłem, że nie dotarła do mojej świadomości, wzrok mojej żony, pełen niemego wyrzutu, prześladowałby mnie przez wiele dni. Patrzyłaby rzewnie w tak zwaną „siną dal”, w kąt pokoju, albo na śnieg padający za oknem, i kiedy pytałbym ją o coś, odpowiadałaby jak dziecko zbudzone ze snu:

— Przepraszam cię, kochanie. Zamyśliłam się. Czy mówiłeś coś do mnie?

Nieczuły mąż. Gbur, niewrażliwy na tęsknoty kobiecego serca. Wcielony, chodzący paragraf.

Słowo daję, łatwiej czasami stoczyć pojedynek z prokuratorem o głowę jakiegoś zatracańca na sali sądowej, niż podjąć dyskusję z ukochaną kobietą, która oskarża o nieczułość. Zaczęłam ostrożnie:

— Już dochodzi dziesiąta, a moja pani jeszcze w domu... Cóż to, nie ma dziś próby w teatrze?

— Próba jest, ale ja nie idę. Nie będę występowała w następnym programie.

Coraz gorzej! Trzeba okazać maksimum zainteresowania:

— Dłaczego, Iwono? W tym, co teraz grają, jesteś znakomita. Mówię tak nie dlatego, że jesteś moją żoną i wobec tego musi mi się podobać wszystko, co robisz, ale taka jest opinia powszechna. Publiczność szaleje, krytycy, jak wy ich nazywacie — szakale — chwają. Wielu moich kolegów w sądzie składało mi gratulacje z powodu twojego sukcesu.

— No właśnie, sukcesu. Nie wiesz, jak to u nas bywa? Skoro tylko ktoś odniesie sukces i staje się zbyt popularny, zaczyna się go utrać. W mojej „Babie-Rybie” dzieje się nie inaczej. Zaproponowali mi w następnym programie taki idiotyczny numer, taką durną piosenkę, że leżałabym jak długa. Więc odmówiłam. Niech nie myślą, że tak mi na nich zależy. Mogę w każdej chwili dostać engagement gdzie indziej, nawet z perspektywą występów zagranicznych. Zresztą... chcę trochę odpocząć. Zuza Migdałkówna haniebnie się ostatnio roztyła, w sam raz będzie jej ładnie w mini-spódniczce, jak zaśpiewa: „Atomowa dziewczyna nie chudnie z zazdrości”...

— Bardzo się cieszę, że zrezygnowałaś z tego numeru. Rzeczywiście głupia piosenka. A jeżeli jesteś przemęczona, może chcesz gdzieś wyjechać na dwa tygodnie?

— Stefanie... — stanęła za mną i objęła mnie za szyję.

Pomyślałem w’ duchu z coraz bardziej narastającym zaniepokojeniem: oho, najskuteczniejszą broń wydobywa się z arsenału. Co gorsza, podejrzewałem, że wiem, o co jej chodzi,

ale wiedziałem również, że nie będę mógł spełnić tego życzenia. Zaryzykowałem jednak:

— Co królowa rozkaże?

— Ja?! Rozkazywać... tobie?! — święte oburzenie zabrzmiało w jej głosie. — Przecież wiesz, że zawsze robię to, czego ty sobie życzysz...

Akurat.

— Stef, czy nie moglibyśmy jednak mimo wszystko pójść jutro na ten bal do Filharmonii? Karnawał już się niedługo kończy, a myśmy nigdzie nie byli. Albo ja gram, albo ty masz sprawę. Kropaczkowski powiedział, że zatrzyma dla nas w rezerwie dwie karty wstępu...

Aha, i to też sobie załatwiła. Niestety, nic z tego, moja droga.

— Tak mi przykro, Iwonko. Wiesz przecież, że jutro i pojutrze mam bardzo ciężką sprawę. Mówiłem ci. Chodzi o życie tego nieszczęśnika, który tak się zaplątał, że wszystko świadczy o jego winie. Ale ja w tę jego winę nie wierzę i mam żelazne dowody w rękę, że jest niewinny. Wirt zaangażował w tę sprawę cały swój prokuratorski prestiż. To będzie jeden z najtrudniejszych orzechów do zgryzienia, z jakimi zetknąłem się w mojej praktyce. I ty chcesz, żebym ja w czasie przerwy skoczył sobie na bal! Żebym przed mową obrończą przetańczył całą noc. Zastanów się, kochanie. Przecież dlatego zostałem dziś na cały dzień w domu, żeby przemyśleć sobie jeszcze raz linię obrony...

Niech nikt nie sądzi, że Iwona to pusta kokietka. Lubi się bawić, przyjemność jej sprawia, kiedy się podoba w towarzystwie, ale cóż w tym złego? Poza tym to bardzo dobra dziewczyna, wrażliwy człowiek i rozsądna kobieta. Po prostu zasmuciła się po mojej dość długiej perswazji:

— Rozumiem, kochany, rozumiem. Nie gniewaj się na mnie. Tak sobie tylko pomyślałam, że i tobie przydałaby się chwila odprężenia. Trochę beztrudnej zabawy po tej szarpaninie nerwów w sądzie. Ale masz chyba rację; po sprawie. Może wyskoczylibyśmy gdzieś razem poza Warszawę na tydzień albo dwa?

Są tacy, co wierzą w przypadek, i tacy, którzy zaprzeczają

jego doniosłej roli w kształtowaniu losów ludzkich. Ja raczej skłonny jestem wierzyć w logikę. Określone postępowanie wywołuje określony skutek, nawet wtedy, gdy między przyczynę i skutek wciśkają się różne zbiegi okoliczności. Tym razem jednak chyba doprawdy czystym przypadkiem był fakt, że właśnie podczas mojej rozmowy z Iwoną zatelefonował nasz dobry znajomy z „Orbisu”. Pan Chrząszczkiewicz pracuje w obsłudze wycieczek z zagranicy. Swoją drogą ciekawe: kto z jego cudzoziemskich podopiecznych potrafi wymówić to nazwisko!

Iwonko - powiedziałem do żony, przesłaniając dłonią słuchawkę Chrząszczkiewicz ma zagranicznych gości i potrzebuje dla nich na dziś biletów do „Baby-Ryby”. Nie chcą oglądać Becketta ani Ionesco. Chcą czegoś polskiego i wesołego. W kasie teatru powiedzieli mu, że wszystko wyprzedane. Możesz załatwić?

Skinęła głową. Żaden problem. Potrafiła wyjść za mnie za mąż. umiała załatwić karty wstępu na jutrzejszy bal w Filharmonii, da sobie radę z dostawieniem kilku krzeseł w „Babie-Rybie”.

Chrząszczkiewicz był uszczęśliwiony. Wyrazy wdzięczności płynęły po telefonicznych drutach nieprzerwanym potokiem. I nagle wystrzelił:

— Panie mecenasie... Pani mecenasowa zawsze taka dla mnie uprzejma... Chciałbym się jakoś państwu zrewanżować. Właściwie to byłaby jeszcze jedna gorąca prośba z mojej strony i proszę, tak, bardzo usilnie proszę mi nie odmawiać... Wysyłam za kilka dni tych cudzoziemców w Polskę. A ściślej mówiąc, na wycieczkę w Sowie Góry. Rozumie pan, takie dla nich egzotyczne atrakcje: polski kulig, polski bigos, polski las, polskie polowanie. Maskarada w myśliwskim zameczku. Ich to bierze. Między nami mówiąc, bardzo kulturalne towarzystwo: jakiś znawca sztuki, drugi uczony, zdaje się, historyk, trzeci archeolog. Mistrzynie mody z Paryża... Mam dwa miejsca w grupie wolne, bo jedno szwedzkie małżeństwo rozchorowało mi się na niestrawność. Folkloru im się zachciało, cichcem wykradli się do jakiejś knajpy na Pradze... Więc te dwa wolne

miejsca. Czy państwo by się nie przyłączyli? Błagam!

Mistrzynie mody z Paryża? Dobry Boże! Ależ to właśnie coś dla Iwony. Maskarada! Będzie mogła nareszcie pokazać swoją szatę ze srebrnej łuski; niech nawet udaje syrenę. A ja po prostu odetchnę świeżym, górskim powietrzem. Mam nadzieję, że goście pana Chrząszczkiewicza będą tak zajęci sobą i zafrapowani polskimi specjalnościami, iż dadzą mi spokój. A przede wszystkim będę miał spokój z Iwoną. Już ona tej Francuzki nie wypuści z pazurków.

Dobrze! — zawołałem tak donośnie i radośnie, że poczciwemu Chrząszczkiewiczowi chyba na dobrą chwilę odebrało słuch. — Świetnie! Wspaniale! Zgoda na wszystko. O niczym tak nie marzyłem, jak o wyjeździe w Sowie Góry!

Po kilku dniach, które minęły od tej rozmowy, uświadomiłem sobie, dlaczego zaskakującą propozycję poczciwego Chrząszczkiewicza przyjąłem z takim entuzjazmem. Owa wycieczka wprawdzie stanowiła dla mnie wygodne wyjście z trochę niezręcznej domowej sytuacji. Obiecywała również wypoczynek i odprężenie po nużącej, wyjątkowo trudnej rozprawie. Były to jednak powody drugorzędne. Główny powód tkwił o wiele głębiej. Każdy z nas lubi przywoływać własną młodość. Każdy też kryje w zakamarkach pamięci magiczne słowa, słowa-zaklęcia przywracające tę młodość, przypominające smak i zapach dawno ubiegłych lat, przeżyć, obrazów.

Kulig! Oto słowo, które podziało na mnie jak ostroga na kawalerskiego konia. Zapragnąłem ze wszystkich sił znaleźć się jeszcze raz, tak jak kiedyś, bardzo dawno temu, w wygodnych sankach wśród białych pól, usłyszeć przenikliwy brzęk dzwoneczków końskiej upręży, zobaczyć jak spod kopyt koni rozpedzonych na ujeżdżonej drodze, podobnej do lśniącej porcelany, rozpryskuje się na obie strony śnieżny pył tworząc obłok, połączany słońcem. W czasie takiej jazdy trzeba oczywiście mieć także przy boku ukochaną kobietę, którą obejmuję się troskliwie ramieniem.

Nie zawiodłem się i tym razem. Oczywiście, do pewnego momentu, kiedy znów odczułem, że nie jestem już dziarskim

młodzieńcem, ścigającym się saniami z takimi samymi młokosami jak ja, by zaimponować popiskującym z emocji dziewczętom, ale starszym panem, nieco już zmęczonym tym wszystkim, co przeżyłem i co widziałem w życiu. Przebudzenie to nastąpiło jednak dopiero nieco później — a na razie były, jak niegdyś, wspaniała sanna, śnieg, słońce, dzwoneczek i przytulona do mojego ramienia kobieta. Byłem szczęśliwy.

Nie zabrakło również staropolskiego, tradycyjnego bigosu, obficie zakropionego naszą rodzimą „czystą”, napojem, jak twierdzi wielu znawców, szlachetnym i mniej dla zdrowia szkodliwym, niż różne zagraniczne whisky. Wprawdzie zwierza żadnego nikt jeszcze nie ubił, poczęstunek odbywał się nie przy ognisku na leśnej polanie, lecz w gospodzie GS-u, ale bigos był smaczny, wódka odpowiednio zimna i nastrój towarzyski bardzo przyjemny.

Anatol Duda, pilot naszej grupy turystycznej, przysiadł się do naszego stolika w gospodzie i zamówił jeszcze po jednej kawie dla Iwony, dla mnie i dla siebie. Po cichu szepnął coś kelnerce. Efekt jego interwencji okazał się wysoce pomyślny. Płyn, który tym razem napełniał nasze szklaneczki, miał istotnie smak i zapach prawdziwej kawy. Pan Anatol uważał widocznie, że cudzoziemcom pod tym względem dogadzać nie warto, bo tylko my, Polacy, wiemy, co to jest dobra kawa. Chodziło mu też jeszcze o coś innego:

— Panie mecenasie przemówił błagalnym tonem — pan kierownik Chrząszczkiewicz powiedział mi, że mogę zawsze zwrócić się do pana, jeżeli będę miał jakieś trudności albo kłopoty...

Ładne rzeczy, pomyślałem. Mam być nieoficjalnym zastępcą czy też doradcą kierownika wycieczki! A to mnie Chrząszczkiewicz urządził. Z jakiej racji?

— A czy pan już ma te kłopoty i trudności? — spytałem ostrożnie.

— No, na razie jeszcze nie - oznajmił beztrósco. Jego pucołowata, różowa buzia dobrze karmionego dziecka nie zdradzała żadnej wewnętrznej rozterki. Wysoki, nieco tęgawy, znakomicie ubrany nadawał się właściwie do roli, jaką mu

wyznaczono. Wzbudzał zaufanie. Taki chyba niańki nie potrzebuje.

— To świetnie! — ucieszyłem się — więc nie mamy o co się martwić.

Uśmiechnął się trochę niewyraźnie:

— Jeżeli nie ma jeszcze trudności, to wcale nie znaczy, że nie ma się o co martwić, panie mecenasie.

— O cóż więc chodzi? — zniecierpliwilem się.

Pochylił się ku mnie i zaczął szeptać poufale.

— Widzi pan, to jest pierwsza zagraniczna wycieczka, którą prowadzę. W naszej instytucji stale brakuje ludzi, więc chętnie angażują, jeżeli ktoś jako tako wygląda, ma olej w głowie i zna jakiś język. Ja znam rosyjski ze szkoły i średnio angielski. Na turystyce się nie znam. Skończyłem w zeszłym roku stomatologię. Dali mi skierowanie do pracy na prowincję. Ale moja mamusia na to się nie zgodziła. Bo ja jestem jedynakiem. Wymyśliła, żeby mnie wypchnąć na studia podyplomowe, dziennikarstwo albo afrykanistykę. Ale na dziennikarstwo mnie nie przyjęli. Podobno nie zdałem egzaminu. Myślę jednak, że to jakieś szykany. Jeden profesor powiedział mi, że powinienem zęby leczyć, skoro mnie tego przez tyle lat uczono. Więc żebym nie jechał na tę prowincję, mamusia znalazła dla mnie posadę. Właśnie w „Orbisie”. Trochę mnie przyuczyli, ale tak naprawdę, to ja nie bardzo wiem, co z nimi wszystkimi mam robić — zerknął w stronę pozostałych stolików, przy których towarzystwo bawiło się, nieświadome braku kompetentnej opieki. — No i dogadać się nie ze wszystkimi mogę. Ja do tego Anglika przemawiam, a on prycha ze śmiechu i tyle. I to ma być angielski dżentelmen? Ten Niemiec zaś po angielsku w ogóle nie mówi, a ja niemieckiego ani w ząb. Pan, zdaje się, słyszałem w autobusie, kiedy tu jechaliśmy, włada niemieckim i francuskim...

Oniemiałem. Oniemiałem nie tylko po niemiecku i francusku, ale zwyczajnie w zakresie polszczyzny. Musiałem mieć bardzo niemądry wyraz twarzy, bo kątem oka dostrzegłem, że Iwona po kryjomu krztusi się od śmiechu.

Trudno, co się stało, tego się już nie odkręci. Nie chce mi się

wracać do Warszawy przerywając tak miło rozpoczętą eskapadę. Trzeba zachować zimną krew. No i trzeba ratować honor polskiej turystyki. W każdym razie jedno wiem: kiedy mnie zaboli ząb, nie zwrócę się w żadnym wypadku do Anatola Dudy. Nie czuje on widocznie powołania do tego pożytecznego zawodu. Powiedziałem z rezygnacją, ale też i z naciskiem:

— Dobrze, młody człowieku. Pomogę panu bawić to grono. Ale pod jednym warunkiem. Musi mi pan obiecać w imieniu własnym i mamusi, że to ostatnia wycieczka zagraniczna, którą pan prowadzi. Słyszałem o jednej wolnej posadzie w Instytucie Matematycznym PAN-u. Mogę tam pana za protegować. A teraz, skoro mamy dzielić wspólny trud, niech mnie pan łaskawie zaznajomi z kim mamy przyjemność podróżować. Proszę mi coś powiedzieć o tych ludziach. Mam nadzieję, że przynajmniej wie pan, jak się nazywają i skąd przyjechali. W autobusie zawarłem tylko z niektórymi pobieżną znajomość.

Ożywił się, jak gdyby odzyskał pewność siebie. Znów⁷ poczuł zbawcze ramię, o które się oprze, nauczony przez mamusię, że nie należy ufać tylko własnym siłom. Wyciągnął elegancki notes oprawiony w skórę i opatrzony srebrnym monogramem. Wyczytywał z niego nazwiska, komentarz dodając już na szczęście z pamięci:

— Ten mały, chudy staruszek w okularach, co siedzi w kącie sali, to Niemiec z NRF. Doktor Wilhelm Schmuckdorf z żoną Martą. To ta siwa pani koło niego. Pracownik muzeum, muzeum... fijur... friju... for...

Miałbym ochotę zgrzytnąć zębami. Tak zdenerwować potrafi mnie tylko początkująca protokolantka sądowa, która jest przekonana, że alibi to nowy środek do prania i pisze ten wyraz w cudzysłowie z dużej litery.

— Niech już pan da spokój temu nieszczęsnemu muzeum! — mruknąłem ponuro. — Chodzi zapewne, tak się domyślam, o jakieś Museum für Frühund Vorgeschichte. Muzeum prehistoryczne. A kim jest brunet, który siedzi przy tym samym stoliku?

— Wygląda jak stu Włochów i nawet nazywa się Marco Finelli. Ale to Szwajcar, a przynajmniej obywatel szwajcarski.

Właściciel antykwariatu, rzeczoznawca w dziedzinie sztuki.

— Ognistą brunetkę przy następnym stoliku daruję panu, miałem przyjemność rozmawiać z nią w autobusie. Donna Isabella Rodriguez y Campobello. Nazywajmy ją w skrócie panną Izabellą. A ten wysoki, szczupły, siwiejący pan, to jej ojciec, don Pedro Rodriguez. Mają plantację kawy w Brazylii. Zgadza się?

— Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie takiego Brazylijczyka — zauważyła Iwona. — Powinien być wysoki, tęgi i czarny. I powinien palić grube cygaro.

— No widzisz, zawiodłaś się. Za to masz klasycznego Anglika, tego, który właśnie wstał od stolika Rodriguezów. Sportowa sylwetka i właśnie nabija fajkę.

— Nazywa się John Black — uzupełnił Anatol Duda, wymawiając już tym razem prawidłowo imię i nazwisko gościa — jest historykiem.

— O tej paryżance, Stef, to już ja ci mogę powiedzieć...

Nie wątpiłem, że wywiad Iwony działa sprawniej niż Dudy.

— Nazywa się Monika Rosier, pracuje u Diora, ale chce się usamodzielnić. Jaka ona szykowna! Ale popatrz, ubiera się zupełnie inaczej niż to pokazują w żurnalach... Powiedziała mi, że moda z żurnali jest dla zagranicznych damulek. A ja myślałam...

Pozostał nam już tylko jeden gość do prezentacji. Zauważyłem jeszcze w Warszawie, kiedy czekaliśmy na autokar, że pan ten, wyglądający jak zawodowy bokser i przemawiający tak głośno, jak gdyby wszyscy dookoła byli głusi, z żelaznym uporem oblega uroczą Francuzkę. Nie odstępował jej dosłownie ani na krok. Nie dziwię mu się: pani Rosier jest doprawdy uroczą. Ale jak ona, jedna z paryskich dyktatorek światowej mody może znieść w swoim otoczeniu widok tak źle skrojonego ubrania i potwornego krawatu, który zionie barwami piekła spośród klap zielono-rudej marynarki?

Bogaty facet! Grubo nadziany! - - cmoknął z uznaniem i satysfakcją Anatol Duda. Amerykanin z Buffalo. Robert Stude. Właściciel dużego domu towarowego. Ona mówi do niego: Bob.

Aha, to tędy droga do uwolnienia się od twardych rygorów,

obowiązujących pracowniczki domu mody Diora!

- No, już mamy wszystkich. Więc, panie mecenasie... — złożył błagalnie ręce i tyleśmy go widzieli. Żeglował między stolikami jak łódka wśród raf, kierowana niezbyt wprawną dłonią. Krok nonszalancki, ale postawa niezbyt pewna siebie. Mnie pozostawił bez skrpułów sprawę uregulowania trzech dodatkowych „szatanów”.

Popatrzyliśmy na siebie z Iwoną bez słowa. Szepnąłem błagalnie:

— Niech nas Artemida ma w swojej opiece...

— Czemuż to, kochany? Czy zamierzasz też polować? Bo zdaje się, że ta bogini jest patronką polowań...

— Nie tylko, Iwono. Opiekuje się również żeglarzami, wypływającymi w dalekie, niebezpieczne rejsy po wzburzonym morzu...

Nasz autokar pozostał w jakimś miasteczku, więc końcową drogę do myśliwskiego pałacyku, nazwanego zabawnie „Sowim Uchem”, odbyliśmy też saniami.

Dotarliśmy do celu o zmroku, stromą drogą, wijącą się wśród gęstego lasu, zapewne bardzo malowniczą w dzień, ale niezbyt bezpieczną po ciemku. Dla ulżenia koniom, woźnice szli obok sanek, przyświecając zapalonymi łuczywami. Widocznie należało to do rytuału, wliczonego w koszty ogólne przez „Orbis”, dla uciechy zagranicznych turystów. Byli istotnie zachwyceni.

Daleko za nami, w dolinie, dzięki światełkom widoczne jak odległa gwiazdna konstelacja pozostało osiedle, będące ni to sporą wsią, ni to malutkim miasteczkiem. Gdy zaś odjechali, głośno trzaskając batami nasi sankarze i brzęk dzwoneczków oddalając się stopniowo ucichł zupełnie, pozostaliśmy niby gromadka rozbitków na bezludnej wyspie, odcięci od świata, w którym każdy z nas pozostawił swoje sprawy, nie mające chyba żadnego związku z kręgiem spraw innych uczestników wycieczki. Nieznajomych z różnych stron świata złączyć teraz miało to, co oddzielało każdego z nas od naszej codzienności, co wybiegało poza tę codzienność: kilka dni wypoczynku i beztroskiej zabawy w zaśnieżonym, zagubionym wśród

niewysokich, lesistych gór, zakątku.

Nasza samotnia, rysująca się niezbyt wyraźnie w mroku, miała formę dość dziwnej budowli, stanowiącej mieszaninę resztek starej twierdzy czy też górskiej warowni i o wiele późniejszych, niemal nowoczesnych przybudówek. Las, jak zdążyłem zauważyć przelotem, podchodził prawie pod same okna „Sowiego Ucha”.

Na progu domostwa przywitał nas bardzo grzecznie, lecz na szczęście bez zbytej uniżoności, kierownik schroniska — bo takie miano nosił oficjalnie pałacyk — pan Jan Puchała. Był to mężczyzna słusznego wzrostu o szpakowatej czuprynie, czerstwych, rumianych policzkach i bystrych, szarych oczach spozierających uważnie spod nastroszonych, gęstych brwi.

— Typowy szlagon — szepnąłem do Iwony — brak mu tylko kontusza, słuckiego pasa i szabli, a mógłby grać Cześnika w „Zemście”...

Do takiego przedstawienia nadawałaby się zresztą także i sceneria: obszerna, kwadratowa sień, z dębowym pułapem, kominkiem w kącie, posadzką z czarno-białej, marmurowej szachownicy, bielonymi ścianami, z których patrzyły na nas szklanymi oczami wypchane łby dzików i jeleni.

— *Magnifique, oh, c'est magnifique!* — klasnęła w ręce Monika Rosier.

— *Splendid, splendid* — zawtórował jej donośnym barytonem wierny giermek, Robert Stude, zwany przez nią Bobem.

— *Grandioso* — zadudnił don Pedro basem, raczej niespodziewanym przy jego chudej, kościstej postaci.

Donna Isabella popiskiwała, Anglik pomrukiwał coś pod nosem, szwajcarski antykwariusz o włoskim nazwisku rozdziawiwszy szeroko usta zainteresował się ogromnie starym świecznikiem-meluzyną, zwisającym z sufitu. Tylko niemiecka para, doktor Schmuckdorf z żoną pozostali jak gdyby obojętni wśród powszechnego zachwyty. Chyba ten prehistoryk musi cierpieć na żołądek. Ma minę, jakby go właśnie chwytaly bóleści.

Poza Janem Puchalą, którego z miejsca uznałem za wybitną

indywidualność, szczupłą załogę schroniska stanowili: żona Jana Puchały, Marianna, w przeciwieństwie do męża przypominająca gasnącą świeczkę osoba, o mizernej twarzy, o piwnych oczach pełnych melancholii i ruchach, jakie widuje się na filmie wyświetlanym w zwolnionym tempie; Józefa Ciołczyk, zarządzająca gospodarstwem, poruszająca się żwawo i zwinnie pomimo sporej tuszy i wreszcie Antek, jej syn, dość ponury młodzieniec, któremu powierzono zanieśenie do pokojów naszych bagaży.

Pokoje sypialne rozczarowały nas. Mieściły się w nowoczesnym skrzydle zameczku. Były wprawdzie wygodne, wyposażone w bieżącą ciepłą i zimną wodę, czyste i jasne, ale nie sprzyjały utrwaleniu w nas nastroju, który ogarnął całe towarzystwo w staroświeckiej sieni. Urządzenie nosiło na sobie piętno „Cepelii” i MHD. Na pewno, zamiast tych gładkich, sosnowych mebli, kilimków ludowych, siwaków z gałązkami choiny i zasłon na oknach z pstro drukowanego lnu, wolelibyśmy antyczne łoża z kolumienkami, masywne dębowe krzesła, ciężkie kotary i wilcze albo niedźwiedzie skóry pod nogami. Zamiast lamp w szklanych kloszach — lichtarze ze świecami, zamiast rozsiewających ciepło prozaicznych kaloryferów — romantyczny kominek z płonącymi w nim brzoźowymi kłodami.

Za to stołowy pokój, w którym zasiedliśmy do wspólnej kolacji, przywrócił zachwianą równowagę nastroju. Należał do starszej części zameczku i ucho mimo woli nasłuchiwało, czy nie rozlegnie się na podjeździe stuk końskich kopyt, anonsujący powrót księżęcej drużyny z polowania. Kroki rozlegały się tu donośnym echem pod wczesnogotyckim sklepieniem. Światło żyrandola nie dobiegało do kątów sali, które tonęły w półmroku. W dzień także musiało tu być niezbyt jasno; wąskie okna o drobnych szybkach nie przepuszczały wiele światła. Długi, dębowy stół otaczały krzesła o wysokich oparciach, kryte skórą. Na ścianach wisiały stare, pociemniałe obrazy.

Różnojęzyczna rozmowa przy stole obracała się na początku wokół spraw kuchni. Chwalono potrawy, chlubiono się

znajomością przepisów na specyficzne narodowe smakołyki. Pomagałem, jak mogłem, w tej wymianie kulinarnych doświadczeń, tłumaczyłem z francuskiego na niemiecki, z niemieckiego na polski, z polskiego na angielski. W końcu jednak padło pytanie, które wcześniej czy później paść musiało. Zadała je paryżanka:

— Czy tu są duchy?

No oczywiście, cóż to za zamek bez duchów!

— Eh tam, takie bajdy — roześmiał się rubasznie kierownik schroniska — kto by wierzył w duchy, panie święty...

Ale Anatol Duda znalazł się na wysokości zadania. Zgromił Jana Puchałę korzystając z nieznajomości polskiego przez większość osób przy stole:

— Jak goście chcą mieć duchy, to duchy muszą być, panie Puchała. Płacą dewizy i należy im się. Jak pan tu nie ma duchów, to następnym razem będziemy wozić gości do Zagórza. Tam są przyzwoite duchy. Nawet ładna babka zamurowana w ścianie żywcem. Straszy jak ta lala.

Puchała załamał się. Gości mu nie przysłał, to planu nie wykona. Można mieć z tego nieprzyjemności.

— Widzicie państwo, ja tu od niedawna jestem kierownikiem. Od pół roku. Mój poprzednik, Wawrzyniec Bukar, o, ten to wszystko wiedział o „Sowim Uchu”. Mieszkał w tych stronach od lat, on też odbudował, remontował i urządził ten zamek. Niestety, zginął tragicznie.

— Och, doprawdy? A co się z nim stało? — rozległ się kobiecy głos, pełen zainteresowania.

Zdziwiłem się. To odezwała się milcząca dotychczas pani Marta Schmuckdorf, żona niemieckiego prehistoryka. Wpatrywała się z napięciem w twarz Puchały. Nie wiem, czy sprawiło to wino, wypite podczas kolacji, czy też zafrapowanie duchami, ale policzki pani Marty zaróżowiły się z emocji.

— Zdarzył mu się wypadek podczas polowania — odpowiedział niechętnie Puchała — spadł z ambony, bo złamała się pod nim gałąź. I to spadł tak nieszczęśliwie, że strzelba mu wypaliła w rękę. Sam siebie trafił w głowę. Trup na miejscu.

— Z ambony? — zdziwiła się Iwona.

To takie urządzenie, zasadzka na drzewie podczas polowania na sarny i jelenie — wyjaśniłem. Żeby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, które przebijało z milczenia zgromadzonych przy stole, zachęciłem Puchałę, by wrócił do opowieści o duchach. — Czy to stary zamek, ta budowla?

— Tyle wiem, że wybudowano go w XIII wieku. Ale potem tyle razy zdobywano go i burzono, że niewiele się zachowało fragmentów z tych najdawniejszych czasów. To był na początku zameczek myśliwski Piastów śląskich, Bolków. Później przechodził z rąk do rąk. Najdłużej popasali w nim rycerze — rozbójnicy. Świetne miejsce dla wypadów na szlaki handlowe, które tędy prowadziły.

W pogodny dzień, zobaczą państwo jutro, z wieży widać całą okolicę jak na dłoni. Przed drugą wojną światową zameczek był w posiadaniu jakichś Baumannów.

— Baumann — odezwał się doktor Wilhelm Schmuckdorf i umilkł nagle. Widocznie to nazwisko wyrwało mu się niechcący. Ponieważ jednak wszyscy patrzyli na niego z uporem, wyjaśnił niechętnie — to był taki hitlerowski dygnitarz. Było w modzie za Goeringa: posiadać myśliwski zameczek. Moda dorobkiewiczów, robiących polityczną karierę. Kupił posiadłość za grosze, korzystając z ciężkich warunków, w jakich znalazła się wdowa po Baltazarze von Dorn. Dornowie byli tu dziedzicami przez kilka wieków.

Angielski historyk, John Black nie przerwał ani na moment tak ważnej czynności, jak mieszanie łyżeczką cukru w herbacie, gdy stwierdził beznamyślnie:

— Pan doktor świetnie zna tutejsze historie.

— Bywałem przed wojną we Wrocławiu — odparował szybko Schmuckdorf. — Miałem tam kolegów i przyjaciół — naukowców.

— Jeżeli państwo chcecie, zawołam naszą panią Józję — zaproponował Puchała — ona umie i lubi opowiadać historie o duchach.

Ponieważ wszyscy przyklasnęli tej propozycji, pani Ciołczyk, przywołana z kuchni gromkim głosem Jana Puchały, skrzyżowała tęgie ramiona na wydatnym biuście i oparła się

plecami o futrynę okna. Uważała, że usiąść przy stole nie wypada, stać na środku pokoju głupio. Na tle framugi okiennej wyglądała jak portret w ramie. Może już nie raz występowała w podobnej roli i umiała ją na pamięć. A może Wawrzyniec Bukar był kiepskim myśliwym, ale za to znakomitym reżyserem?

...Pierwszy z Dornów, co tu osiadł, będzie lat temu przeszło trzysta, albo i dawniej, był gagatkiem, co się zowie. Wżenił się w ten majątek. Żonę zamęczył, a wiano mu zostało. Jedni zwali go Pięknym, inni Czarnookim, ale prosty, polski śląski lud, dla którego serca nie miał, zwał go najczęściej Wilhelm-Diabeł. Łupił ludzi i na ładne dziewczyny łasy był co niemiara. Niemało ładnych dziewczyn w okolicy przez niego łzy lało i do klasztoru iść musiało, bo je beczceścił i porzucał, kiedy mu się znudziły. Pewnego razu porwał się już nie na dziewicę, ale na mężatkę, żonę burmistrza jednego ze śląskich miasteczek. Zgrabna była jak łania, włosy miała płoworude, a oczy zielonkawobrazowe jak jeziorka leśne. Porwał ją i uciekł z branką do „Sowiego Ucha”. Tu zamknął się wraz z drużyną takich samych jak on urwipołciów’ i obwiesiów, bo mieszczenie skrzyknęli się po całej okolicy i ścigali go wielkim tłumem, uzbrojonym jak kto mógł. Trudno byłoby im brać zamek szturmem, więc obiegli go, ale tak gęsto jak drzewa, co rosną po całym zboczcu góry. Ani ptak by nie przeleciał, ani zwierz by się nie przemknęła. Mimo to musieliby odstąpić od oblężenia, bo wieść rozniosła się po sąsiadach i przyjaciele Dorna szykowali się, aby mu iść z odsieczą — gdyby nie spryt jednego z braci burmistrzowej. Był na zamku kuchcik, chłopak ze wsi, co leżała u podnóża zamkowej skały. Przemocą go zabrał Dorn i trzymał, pilnując bacznie, by pracował wiernie i pilnie. Oblegający zmówili się z tym kuchcikiem po kryjomu. Podrzucili pod mury zamku zabita krowę a kuchcik powiedział, że to jego matka przysłała, bo zwiedziła się, że na zamku z żywnością już bardzo krucho. Ucieszył się Wilhelm-Diabeł i jego kompania. Istotnie, mięsa świeżego dawno już nie jedli. Kazali szykować ucztę. Ale nie wiedzieli, jaka to ucztą ich czeka. W środku krowy, zamiast wnętrzości, mały pacholik siedział ukryty, w skórę krowią zaszyty. Miał przy sobie też zapas odurzającego ziele. Kuchcik

nakładł tego ziela do wina, i rycerze, jak się napili, to pospali się, jak zabici. A pacholik razem z kuchcikiem ciężką boczną furtę zamku o zmroku otworzyli i wpuścili oblegających mieszczan. Mieszczanie wyrznęli w pień całą załogę „Sowiego Ucha”, a Dorna w zbroi w ognisko rzucili związanego. Burmistrzowa, co w wieży więziona była, przez najwyższe okno wyskoczyła. Nie chciała żyć w niesławie. Ale kto tam wie, jak to było. Powiadali niektórzy, że sprzyjała swojemu uwodzicielowi, że bez jej dobrej woli porwanie nie byłoby doszło do skutku. Wilhelm-Diabeł rządził tylko dziesięć lat „Sowim Uchem”. Od tego dnia, w którym zginął, co dziesięć lat nadchodzi taka noc, kiedy tu wraca. Można go widzieć, jak idzie w swojej poczerwiałej od ognia zbroi przez wszystkie pokoje i kieruje się w stronę wieży, gdzie czeka na niego burmistrzowa. Bo powiadają, że i on ją kochał zupełnie inaczej, zupełnie nie tak, jak wszystkie inne dziewczyny i kobiety... Inaczej — bo naprawdę...

Już od dłuższego czasu nie patrzyłem na zającą panią Józefę Ciołczyk, prezentującą ludowy talent gawędziarski w najlepszym wydaniu. O wiele bardziej interesowała mnie reakcja obecnych na jej opowiadanie, które od ręki tłumaczyliśmy: Duda na angielski, a ja na niemiecki. Najbliżej mnie siedziała ciemnooka Brazylijka, panna Isabella. Jej ładna, śniada twarz bez rumieńców wyrażała naiwny zachwyt. Za to jej ojciec uśmiechał się pobłaźliwie i z lekka niedowierzająco. Mogłem go łatwo wyobrazić sobie jako władcę włości — okrutnika dla swoich poddanych i podwładnych. Ciekawe, jak rządzi na swojej plantacji? Pani Monika Rosier, która pierwsza upomniała się o ducha zamku, miała wygląd osoby zawiedzionej, czy też rozczarowanej — nie wiem czemu, bo historia okazała się dość malownicza. Kształtny podbródek wsparła na dłoni, która stanowiła pewne zaskoczenie przy jej wytwornej sylwetce: ta dłoń mogła należeć do osoby, zawodowo pracującej fizycznie albo chłopca o sprawnych, muskularnych palcach. Wyrażała siłę, nie wdzięk. Brwi pięknej pani ściągnęła gniewna zaduma i na czole utworzyła się pionowa fałdka. Opuszczone powieki nie pozwalały spojrzeć w

oczy. Bob, jej sąsiad i towarzysz chłonał legendę z ustami na pół otwartymi, jak zaciekawione bajką dziecko, wierzące w istnienie czarownic. Marco Finelli słuchał z lekkim roztargnieniem. Jego wzrok wędrował nieustannie po obrazach, zdobiących ściany jadalni, wreszcie przylgnął z uporem do jednego z nich, przedstawiającego scenę z polowania. Anglik, John Black nie przestawał mieszać łyżeczką w herbacie, która chyba już zupełnie wystygła. Pierwszy raz jednak dostrzegłem błysk zainteresowania w jego jasnych szarych oczach. Powędrowałem i ja spojrzeniem w ślad za jego wzrokiem i natknąłem się na bladą, suchą, pokreśloną zmarszczkami twarz doktora Wilhelma Schmuckdorfa. Kiedyś musiał być przystojnym mężczyzną. Oczy miał wciąż jeszcze młode. Nie odrywał ich od atrakcji dzisiejszego wieczora — od opowiadającej. Co wyrażały te oczy? Trudno doprawdy było dociec. Nie obojętność w każdym razie. Ale co? Przekorę, ironię, drwinę? Czy po prostu rozbawienie uczonego, który słucha nieopisanej bredni? Później dopiero dotarło do mojej świadomości, że oczy doktora Wilhelma Schmuckdorfa zaniepokoiły mnie swym kolorem. Były czarne. Były tak ciemne, że nie widać w nich było czarnej kropki źrenicy. Chudą, lecz silną jeszcze ręką pan doktor przytrzymał dłoń żony, tak, jak gdyby więził ją przy stole, podczas gdy ona pragnęła tylko zerwać się z krzesła i wybiec z sali, by nikt nie widział, że zbiera się jej na płacz.

— Ojej, co to?! — zawołała przestraszonym głosem Iwona.

Gdzieś daleko, w głębi domostwa trzasnęły drzwi. Echo rozniosło ten dźwięk donośnym pogłosem po korytarzach. Mogłoby się здаwać, że to tak trzaskają drzwi we wszystkich pokojach, że oprócz nas niezliczona ilość osób znajduje się jeszcze w „Sowim Uchu”.

— Wiatr się zerwał — wyjaśnił trzeźwo kierownik Puchała. Musiał być z zawodu rolnikiem albo leśnikiem i wierzył tylko w zjawiska atmosferyczne, a nie w duchy. — Barometr spada i ramię mnie drze. Jak nie w nocy, to rano będziemy mieli śnieżycę. O, jak gwizdże i łomocze w drzwi wejściowe.

Pani Józefa Ciołczyk opowiadanie skończyła, ale nie

odstąpiła od okna. Obrócona do nas bokiem, natarczywie wpatrywała się w gęsty mrok za małymi szybkami okna. Osiadł na nich szron, więc chuchnęła i potarła palcem. Nagle zawołała:

— Wiatr wiatrem, panie kierowniku. Ale od frontu ktoś się dobija. Jakieś ludzie...

Teraz już rzeczywiście słyhać było wyraźnie łomot. Ktoś bardzo niecierpliwy chciał dostać się do wnętrza domu — tak niecierpliwy, że nie szukał dzwonka, albo nie mógł go po ciemku odnaleźć.

— Uważajcie — mruknął z przekąsem doktor Schmuckdorf — to mogą być mieszczanie. Szturmują zamek, żeby odbić burmistrzową...

Nie wszyscy jednakowo wesoło roześmieli się z tego żartu. Jana Puchały nie rozśmieszył wcale. Skinął na mnie dyskretnie, wstając od stołu. Usłuchałem tego wezwania.

— Ja tam, panie święty, się nie boję, do strachliwych nie należę — mruknął, kiedy znaleźliśmy się już za drzwiami jadalni — zresztą u nas miejscowość spokojna. Ale ostrożność nie zawadzi, jak te zagraniczniki tu są. Mogą dobijać się jacyś pijacy albo chuligani. Nie mam ochoty, panie święty, zblamować się. Ale gdzie ten huncwot Antek się podziewa, do stu piorunów... Dziewczynę ma we wsi na dole, pewnie znów na randkę z nią pogał. A kto tam? — krzyknął głośno, przytykając ucho do drzwi sieni.

— Swoi... otwórzcie — dotarł do nas niewyraźny głos, przytłumiony porywem wicheru.

Kierownik Puchała uległ wreszcie tej żalosalnej prośbie, popartej ponownym kołataniem w masywne, dębowe, solidnie okute nie tyle właściwie drzwi, ile raczej wrota. Otworzył je i wraz z podmuchem wiatru wtoczył się do sieni kłęb śniegu. W świetle sieni kłęb ten pociemniał, rozdzielił się i naszym oczom ukazała się grupa, złożona z czterech osób: trzech mężczyzn i jednej kobiety. Odziani byli w stroje narciarskie, ale tylko jeden z mężczyzn zachował swój sportowy rynsztunek. Wszyscy byli najwidoczniej przemarznięci i u kresu sił. Kobieta ślaniała się na nogach. Podprowadzona do zydła, opadła prawie

bezwładnie na siedzenie.

Wysoki, świetnie zbudowany mężczyzna postawił narty w kącie przy drzwiach i zsunął z głowy kaptur wiatrówki. „Piękny chłopak” — powiedziałyby na pewno Iwona i miałyby rację, chociaż ja nie lubię takich typów. Tacy nigdy nie wyrastają z nadmiernej pewności siebie, właściwej młodzieńczemu okresowi. Sama energia. Konsekwentna pogoń za przygodą. Gęste, kasztanowate włosy, lekko sfalowane nad wysokim, gładkim czołem, promienne niebieskie oczy w opalonej na brąz twarzy. Uśmiech filmowego amanta. Tym razem przeznaczony dla Puchały:

- Cóż to, znajomych do domu nie wpuszczacie, zabłąkanych nocą podróżnych? Taka gościnność?!

Jak mi Bóg miły, panie święty, toż to pan docent Sungajło! — wykrzyknął Puchała, najwidoczniej ciesząc się z niespodziewanego spotkania. — I pan profesor Smogor! Państwo profesorostwo - poprawił się szybko, podbiegając do kobiety, siedzącej na zydlu. — Całuję rączki szanownej pani Heleny!!!

No widzi pan, panie Janie — odezwał się starszy pan, otrzepując z ramion śnieg, w czym pomagał mu trzeci mężczyzna, sam cały jeszcze ośnieżony — tak nam się spodobały święta Bożego Narodzenia i Sylwester w pańskiej górskiej twierdzy, że postanowiliśmy wybrać się do pana na ostatki karnawału. Przebrani za orszak Królowej Zimy. Czy pan nie otrzymał naszej depechy?

Starszy pan bez przebrania mógłby pełnić funkcję marszałka dworu Królowej Zimy. Spod warstwy śniegu ukazała się postać w całości skomponowana w chłodnej, białoszarej tonacji, jak gdyby część śniegu i lodu przylgnęła na zawsze do powierzchowności tego człowieka. Uczyniła jego włosy mlecznosrebrnymi, oczy stalowoszarymi, czoło i wąskie wargi bladymi, a nawet przeniknęła głębiej, bo i głos miał brzmienie lodowate. Pomyślałyby ktoś, że wcale nie jest prawdą to, co zostało przed chwilą powiedziane. Że ponowne odwiedziny „Sowiego Ucha” ani nie leżały w zamiarach przybyłego, ani też nie sprawiają mu przyjemności. Ale z profesorem Hubertem

Smogorem nigdy nic nie wiadomo. Słynne swoje wykłady z zakresu prehistorii Polski prowadzi takim samym obojętnym, monotonicznie modulowanym głosem, jak towarzyską konwersację. Kto wie, czy kiedykolwiek się ożywia, czy istnieją momenty w jego życiu, kiedy zstępuje ze swego profesorskiego piedestału?

Poznaliśmy się kiedyś na przyjęciu u wspólnych znajomych. Miałem wtedy również przyjemność zawarcia znajomości z panią Heleną Smogorową. Dziwna kobieta. Właściwie pasująca do sławnego, błyskotliwego męża — postawna, przystojna, władająca kilkoma językami, tłumaczka dzieł naukowych z dziedziny tej samej, której poświęcił się jej uczony małżonek: archeologii. Od niej również wiał jakiś chłód. Gdyby sięgnąć do porównania literackiego, powiedzieć można: Balladyna, ale nie Alina. Dostojna i wyniosła, bez cienia kobiecej słabości. Przypomniałem teraz profesorostwu naszą znajomość. Było im miło spotkać mnie ponownie — zgodnie oświadczyli. Ale czy naprawdę? Wątpilem. Przypuszczam, że było im to najzupełniej obojętne.

— Umieramy z głodu! — oznajmił docent Sungajło tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Czy państwo nie zechcą się wpierw przebrać? — kłopotał się kierownik Puchała. — Mamy grupę zagranicznych gości na kolacji...

Po twarzy profesora Smogora przemknął cień niezadowolenia, ale nie powiedział nic. Bez oporu przyjął krzątanie Puchały, który krążył wokół przybyłych jak tancerz dookoła partnerki w krakowiaku i tłumaczył się zawile z braku przygotowań na przyjęcie gości:

Panie święty... Gdybym się spodziewał. Ale ta depesza, o której pan profesor mówi, to była taka dziwna...

Pan ją wysyłał, panie magistrze — ostre pytanie profesora Huberta Smogora powędrowało ponad naszymi r łowami, jak gdyby było skierowane w próżnię.

Odnalazło jednak cel. Drobna figurka, wciąż jeszcze obsypana śniegiem, obładowana rzeczami profesorostwa, odezwała się niespodziewanie grubym głosem:

Tttak... Ttto jja. Nnappisałem ttak jak ppan pprofesor ppolecił. „Ostatttki ttrzy ppokoje Smogorowie”...

A wie pan profesor, jak to do mnie dotarło dzięki naszym miłym paniom z poczty? „Ostatnie trzy połowy smok w rowie”.

Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem. Sprawilo mi to ulgę. Żal by mi było magistra Karola Czerei, asystenta pana profesora, gdyby okazało się, że z jego winy nie zamówiono sanek, by przywiozły uczone grono ze stacji do schroniska. Poza tym wydawało mi się, nie wiadomo właściwie czemu, że wśród obecnych panuje sztuczna atmosfera, jakieś ledwo wyczuwalne, lecz z pewnością istniejące napięcie. Dowcip z depeszą znakomicie je rozładował. Puchała poprowadził towarzystwo w głąb domu. Ze mną pozostał tylko przez chwilę magister Karol Czereja, bez powodzenia zmagający się z profesorskimi plecakami. Dudnił przy tym, teraz już śmielej, skoro pozbył się nad sobą kurateli patrona i nawet nie jąkał się:

– Bylibyśmy wcześniej, jeszcze za dnia, ale to wszystko przez Adama. Przez Sungajłę. Bo on wszystko wie lepiej. Poprowadził nas ścieżką, przez las, miała być krótsza. A tam rumowisko. Drogę nową przeprowadzają, czy skała się oberwała, nie wiem. Zabłądziliśmy. Trzeba było zawracać. Wleźliśmy w jakieś jamy i zasy. Profesor zgubił nartę, ja moje połamałem, pani profesorowa w ogóle zrezygnowała z desek. Zostały tam gdzieś w lesie. Będę musiał jutro szukać...

Nawet nie wątpił, że ten zaszczyt przypadnie w udziale właśnie jemu. Pozbierał wreszcie wszystkie bagaże i podreptał spiesznie w ślad za profesorem, a ja, ubawiony całą tą scenką, wróciłem do jadalni, oznajmiając towarzystwu, że nasze grono niespodziewanie powiększyło się o kilka niezmiernie interesujących osób.

Niejednokrotnie później już, kiedy nasza gromadka, która zamierzała wypocząć i zabawić się wesoło w górskim, leśnym ustroniu, zmniejszyła się w tragiczny sposób o trzy osoby, przypominaliśmy sobie z Iwoną ten wieczór. Aby dojść prawdy, rekonstruowaliśmy scenę po scenie, rozmowę po rozmowie, gesty i spojrzenia, które tamtego wieczora mogły nie znaczyć nic, lecz jednak kryły w sobie utajony sens, zapowiedź

dramatu, jak złowieszczo brzmiąca nuta, którą kompozytor umieszcza w pierwszej części symfonii, by uprzedzić słuchacza, przygotować go na spotkanie tego motywu w głównej części dzieła, motywu rozbudowanego już jako temat główny, groźne, namiętne „tutti”, gdy wszystkie instrumenty zabrzmiały jednocześnie.

— Pierwszy wszedł do jadalni Adam Sungajło — twierdziła Iwona.

— Czy nie mylisz się, moja droga? Czy to nie Czereja wśliznął się niepostrzeżenie, tak, że zauważyliśmy jego obecność dopiero przy stole, kiedy swoim zabawnym basem oznajmił, że zajmie się rekwizytami na bal maskowy?

— Nie, nie, mylisz się. Już ja mam oko na takie sprawy. Nie zapominaj, że to należy do mojej umiejętności zawodowej: pamiętać kolejność przy wchodzeniu na scenę. Czereja wszedł ostatni, wszyscy już byliśmy zajęci rozmową i dlatego nikt nie zauważył, kiedy przysiadł się do stołu.

— Zgoda, zdaje się, że masz rację. Sungajło od razu narobił dużo szumu, jak główny bohater sztuki...

Chociaż ta rola należała się z wieku i urzędu Smogorom... niektórzy ludzie takich rzeczy nie wybaczą.

— I na pewno należy do nich profesor Hubert Smogor, masz rację, Iwono. Wprawdzie Sungajło był tylko kiedyś jego studentem i nigdy nie był podwładnym Smogora, bo zajął się innym odgałęzieniem archeologii, ale tego wieczora powinien był w sieni, czy przed drzwiami jadalni poczekać na profesorostwo i wejść z nimi, a raczej tuż za nimi do-stołowego pokoju.

— Czy sądzisz, że to był zwykły nietakt, nieprzestrzeżenie niepisanego kodeksu towarzysko-hierarchicznego, który, jak twierdzisz, obowiązuje w sferach naukowych?

Tacy ludzie lubią demonstrować lekceważenie dla autorytetów. Ale myślę, że w tym wypadku naszemu młodemu naukowcowi chodziło raczej o to, żeby Smogorowie i Czereja nie dowiedzieli się zbyt wcześnie o jego znajomości z niektórymi osobami z orbisowskiej wycieczki. Nie wiemy tylko jeszcze, na czym mu bardziej zależało: na ukryciu znajomości z

Rodriguezami czy tej z Finellim...

— Och, Stefanie, rozczarowałaś mnie. Ty, który umiesz tak ładnie analizować kobiecą psychikę... rzeczywiście, nie zauważyłaś, jak ta mała Brazylijka przez cały czas wpatrywała się z cielecym uwielbieniem w pięknego Adasia, a ją z kolei podczas tej adoracji truła królewskim wzrokiem Smogorowa?

— Możliwe, możliwe. W każdym razie, kiedy zjawili się Smogorowie, Sungajło był już po pierwszym powitaniu i rzekomym zaskoczeniu, w rodzaju wykrzykników: „O, państwo tutaj, i pan też, jakże się cieszę, co za niespodzianka spotkać w Polsce i właśnie w »Sowim Uchu« starych znajomych, dawnośmy się nie widzieli”; mógł już prowadzić obojętną konwersację towarzyską, jak gdyby widział tych ludzi po raz pierwszy w życiu.

— Poza tym, czy nie uważasz, Stefanie, że mimo znajomości, Sungajło przywitał się z Finellim o wiele chłodniej niż z Rodriguezami. Wyglądał nie tyle na zdziwionego, ile na rozgniewanego.

— Widzę, Iwono, że bardzo pilnie studiowałaś miny i gesty pana docenta. Gzy nie zanadto uważnie? Wiem, że tacy chłopięcy mężczyźni bardzo podobają się kobietom... Czy się nie omyłę, jeśli zaryzykuję twierdzenie, że z tobą pan Adam Sungajło również przywitał się poufale, jak ze starą znajomą?

— Chyba cię wzrok omylił, mój drogi. Zwróć lepiej uwagę na to, że nie tylko Sungajło posiadał znajomych wśród orbisowskich zagranicznych gości.

— Tak, to było znamienne, iż Hubert Smogor nie wymienił swego nazwiska, kiedy witał się z doktorem Schmuckdorfem. Pan Wilhelm też nie przedstawił się swemu polskiemu koledze, uznał prezentację za zbędną. Ale nie powiem, żeby to przywitanie tchnęło serdecznością. Nie zamienili później między sobą ani jednego słowa.

— Za to pofolgowali sobie następnego dnia...

Zanim jednak nastąpiła sławetna scysja między dwoma naukowymi autorytetami, mieliśmy jeszcze wtedy przed sobą resztę wieczoru, noc, którą nie wszyscy spędzili spokojnie w swoich łóżkach — a w każdym razie nie całą noc — i po

wietrznym wieczorze niespodziewanie słoneczny poranek, który jednak okazał się po prostu tylko kaprysem „pani aury”, jak powiedziałyby przemiły Wicherek w telewizji.

Najbardziej przedsiębiorczą, ciekawską i niespokojną naturą w towarzystwie okazała się pani Monika Rosier. Zachowywała się tak, jak gdyby ani na chwilę nie mogła znaleźć dla siebie wytchnienia, ani zacisznego miejsca. Albo jak gdyby stała odmianą wrażeń pragnęła zagłuszyć wewnętrzną rozterkę, czy niepokój. Stale zmieniała tematy rozmowy, rzucała nowe pomysły spędzenia czasu, gdzieś biegła, zwracała uwagę otoczenia na jakieś szczegóły, których nikt dotychczas nie zauważył. Tak więc, podczas gdy my zaczęliśmy już dyskretnie zerkać na zegarki, pani Monika nieoczekiwanie zaproponowała:

— A może zwiedzilibyśmy teraz zamek?

— Czy nie lepiej zrobić to w dzień? — kierownik Puchała przywołał mnie wzrokiem na odsiecz. — Panie mecenasie, błagam... Niech pan powie, że w niektórych salach mamy bardzo kiepskie oświetlenie.

— Ależ to nic nie szkodzi — ucieszyła się przekorna mistrzyni mody. — To tylko doda uroku. Będzie romantycznie.

Mogłaby tak powiedzieć młoda, głupiutka dziewczyna. Nie zdziwiłbym się, gdyby owo „romantycznie” padło z ust panny Isabelli. Ale Monika Rosier wyglądała na kobietę raczej już dojrzałą i wyzbytą złudzeń zwanych romantycznymi. Może mi się też zdawało, ale podchwyciłem w jej tonie bynajmniej nie żart i nie poetycki polot. Wyrzekła to słowo z goryczą, twardo.

— Mam jednak nadzieję, że oszczędzi nam pani wspinania się na szczyt wieży. To byłoby doprawdy wielkie ryzyko, niektóre stopnie są zupełnie zmurszałe — zastrzegął się stanowczo profesor Smogor.

— Pan nie lubi ryzyka, panie profesorze? — ta kobieta w mgnieniu oka umiała zmieniać także ton, teraz była małą kokietką, trochę przymilną, trochę wyzywającą. — Bez ryzyka życie smakuje mdło. Bez ryzyka nie ma też wielkiej naukowej przygody. Kto z wielkich archeologów nie ryzykował? Weźmy chociaż Schliemanna...

— Też trafiła — szepnął do mnie zgorszony do głębi duszy Czereja, wędrowaliśmy już bowiem posłusznie całym stadem w ślad za kierownikiem Puchałą przez labirynt korytarzy i pokojów. Trudno, francuskie przysłowie powiada, że życzenie kobiety jest wolą Boga.

— Dlaczego?— odpowiedziałem pytaniem. Nie znam dobrze stosunków w świecie archeologicznym, a Henryk Schliemann, odkrywca ruin Troi i Myken wzbudzał we mnie zawsze nabożny podziw uporem w zdobywaniu wiedzy i dążeniu do celu, zamierzonego od dzieciństwa.

— Uczeni nie cierpią go do dziś. W ogóle nie można przy nich mówić, że był archeologiem. Żeby być prawdziwym archeologiem, trzeba nie tylko coś odkryć, ale mieć dyplomy i tytuły naukowe. A on zadrwił z dyplomów i tytułów. Miał tylko po prostu piekielne szczęście...

Wyczułem zazdrość w głosie młodego asystenta profesora Smogora. Tak, pomyślałem sobie. Schliemann, chociaż zaznał w dzieciństwie wielkiej biedy, nie kłaniał się autorytetom. Zajęty wymianą zdań z Czereją, nie słyszałem, co odpowiedział profesor Smogor Monice Rosier. Dotarł do mnie tylko jej śmiech, zbyt głośny, aby miał być szczery. Echo roznosiło go po korytarzach i salach, ustokrotniając i stopniowo wyciszając. Mogłoby się zdawać, że cały zamek pełen jest niewesoło śmiejących się kobiet, albo że jakaś kobieca zjawa biegnie, ucieka przed nami przez wszystkie pomieszczenia, śmiejąc się z tego, że ani jej dogonić, ani zobaczyć nie potrafimy.

— Jakie tu dziwne echo — dosłyszałem gdzieś niedaleko mnie głos Iwony.

Szliśmy przez dość ciemne przejście, półmrok nie pozwalał na rozeznanie sylwetek.

— Osobliwość tej budowli. Są tu miejsca, w których można mówić szeptem, a w następnym korytarzu albo w sali o piętro wyżej słycać każde słowo. I takie sale, w których można krzyżeć, a w następnej, tuż obok, nic nie słycać. Architekci w dawnych wiekach umieli stroić takie figle... Trzeba tu dobrze uważać, Iwono... Pani Iwono.

Męski głos, wyjaśniający Iwonie tajemnice akustyki „Sowiego

Ucha” brzmiał z taką niemal arogancką pewnością siebie, że mógł należeć tylko do docenta Adama Sungajły. Rozpoczęte zdanie urwało się nagle, gdy wkroczyliśmy z ciemnego korytarza do obszernej sali o łukowatych sklepieniach, wspartych na grubym, przysadzistym filarze, mieszczącym się na środku komnaty. Poszukałem wzrokiem Iwony i jej przewodnika. Zdziwiłem się: szli przodem, oddaleni ode mnie o kilkanaście metrów, przedzieleni od maruderów, do których z Czereją należeliśmy, sporym gronem osób. Jakże więc mogłem słyszeć z tej odległości co mówili do siebie? A może uległem halucynacji słuchowej?

Ale Sungajło, dotykający ramienia Iwony nie był na pewno przywidzeniem. Przeprosiłem kilka osób, tłoczących się przede mną i przesunąłem się do przodu. Zdążyłem w sam raz, żeby jeszcze zobaczyć, jak moja żona stanowczym ruchem odtrąca rękę Adama Sungajły, szukającą zbliżenia z jej dłonią. Zdążyłem też akurat na wyjaśnienie kierownika Puchały:

— Tę salę nazywamy zbrojownią. Właściwie to takie małe regionalne muzeum. Założył je jeszcze mój poprzednik, Wawrzyniec Bukar. Nawet nie wiem, skąd on to wszystko ściągnął...

Skądkolwiek brał eksponaty dla tej sali, Wawrzyniec Bukar wykonać musiał nie lada pracę. Na podwyższeniu biegnącym wzdłuż ścian stały rzędem kompletne i znakomicie utrzymane zbroje średniowiecznych rycerzy. Na ścianach rozwieszono starą broń: długie, szerokie obosieczne miecze, wąskie, giętke szpady i rapiery, krótkie sztylety, przywodzące na myśl najdramatyczniejsze i najkrwawsze momenty bitwy, gdy pozbawieni już broni, tarcz i mieczy przeciwnicy zwierają się w ostatnim, najbardziej bezpośrednim pojedynku; muszkiety i króćce o misternie rzeźbionych rękojeściach. W gablotach mieściły się stare dokumenty, mówiące o historii okolicznych ziem, trochę książek w skórzanych oprawach, drukowanych wysmukłym gotykiem i zdobionych sztychami, mała kolekcja monet z różnych wieków, mapy, ułamki wykopalisk.

Dotknąłem delikatnie ramienia Iwony. Drgnęła i odwróciła się do mnie nagłym ruchem. Zobaczyłem twarz zupełnie mi

obcą. To nie mogła być twarz Iwony, którą tak dobrze znałem, albo sądziłem tylko, że znam. Grymas wściekłości zniekształcający regularny owal i miękko wykrojone usta, oczy zwięzione pogardą na pewno nie należały do milej, pogodnej młodej kobiety, która lubiła odsuwać od siebie zmartwienia, lubiła śmiech, zabawę i przede wszystkim „lubiła, żeby ją lubiono” — i z którą ożeniłem się niedawno zwabiony właśnie tym jej beztróskim wdziękiem, mając dość w życiu zawodowym dramatycznych spięć uczuciowych stających się tak często, niestety, źródłem konfliktów i zbrodni.

— To ty... — zaciśnięte wargi rozchyliły się w cichym szepcie. Wyglądała, jak gdyby budziła się po niedobrym, męczącym śnie.

— Co ci jest, Iwono? Czy źle się czujesz? A może jesteś zmęczona? Mieliśmy dziś dużo wrażeń — starałem się mówić najczulej, ale unikałem starannie jej wzroku.

— Tak... tak. Masz rację. Dużo wrażeń. Zmęczona... może. Ale teraz już mi przeszło. Już lepiej. Nie odchodź, zostań tu, przy mnie. Bo mnie jest najlepiej, kiedy jesteś ze mną.

Powiedziała to tak niespodziewanie serdecznie, że moje niemiłe zaskoczenie rozwiało się. Niepokój jednak pozostał. Czy Iwona obawiała się czegoś, albo kogoś? Czy coś jej groziło? Powiodłem wzrokiem po obecnych. Docenta Sungajły nie było już przy nas. Nieco dalej, pochylając wysoką postać szeptał coś na ucho pannie Isabelli Rodriguez. Ciemny rumieniec na smagłych policzkach małej Brazylijki świadczył, że jego słowa nie były przyjmowane obojętnie.

Towarzystwo rozpięchło się. Każdy znalazł dla siebie atrakcję bardziej przyciągającą od innych skarbów w zbrojowni. Robert Stude oglądał z zainteresowaniem broń. Sekundowała mu pani Monika Rosier.

— Czy można obejrzeć z bliska? — zwróciła się do Puchały tonem pełnym emocji.

Nie odmówił. Pomyślałem: gdyby przesłonić postać Moniki, albo przebrać ją w którąś z tych zbroi, kto mógłby powiedzieć, że to nie chłopiec, rozmiłowany w broni, dotyka pieśczośliwie silnymi, zręcznymi palcami inkrustowanej kolby,

zardzewiałego kurka, ciężkiej lufy z niezdarnie wytoczoną muszką. Zgięła rękę w łokciu, przyłożyła do niej bandolet i przechyliła na bok głowę, celując z przymrużonym okiem.

— Piff! — zawołała i stuknęła obcasem w podłogę.

Ale zarówno ten rzekomy wystrzał, jak i wojowniczy okrzyk zabrzmiały, jakby je stłumiła gęsta mgła.

— Głucha sala — wyjaśnił fachowo docent Sungajło, zbliżając się i przyglądając pani Monice z uważnym zaciekawieniem. — Nie ma echa.

— Widzę, że zna pan dobrze ten zamek — stwierdził swoim beznamyślnym głosem angielski historyk, John Black, unosząc głowę znad gabloty ze starymi planami i mapami.

— O tak — odpowiedział Sungajło swobodnie — lubię tę okolicę. Przyjeżdżam tu często na polowanie.

Nie podobał mi się ten pyszałek, ale musiałem przyznać bezstronnie, że władał świetnie angielskim.

— Czy brał pan również udział w tym polowaniu, podczas którego zginął dawny kierownik „Sowiego Ucha”, ten pan... pan...

Pani Marta Schmuckdorf nie mówiła najlepiej po angielsku. Zjawiła się przy nas niepostrzeżenie. Chyba wtedy, gdy Monika zawołała „piff!” — a może w chwilę po tym?

— Tak — odpowiedział Sungajło grzecznie, ale powściągliwie.

— Byłem przy śmierci Wawrzyńca Bukara. Najbardziej przeżyła to pani Helena Smogorowa. Pani profesorowa zajmowała stanowisko najbliższego miejsca wypadku.

Spojrzelismy po sobie nieco zdziwieni.

— Tak — potwierdził Adam Sungajło z naciskiem — bo pani Helena uwielbia polowania. I świetnie strzela.

Monika Rosier podczas tej krótkiej wymiany zdań nie zdążyła jeszcze opuścić lufy. Jej zgięte w łokciu ramię wciąż jeszcze służyło jako podpórka dla broni, która niegdyś śmiertcionośna, dziś nie była w stanie nikomu wyrządzić najmniejszej krzywdy. Mimo woli powiodłem oczami po linii strzału, który nie padł. Jaki cel obrała sobie dzielna mistrzyni igły? Plecami odwróceniu ku nam dwaj mężczyźni wiedli ożywiony spór albo tylko wymianę zdań przy gablocie z

monetami. Nieświadomi morderczych zamiarów paryżanki, Pedro Rodriguez i doktor Wilhelm Schmuckdorf, zajęci sobą, nawet nie odwrócili się, gdy rozległo się imitujące wystrzał „piff”.

Poszukałem wzrokiem reszty towarzystwa. Marco Finelli z najwyższym zainteresowaniem wędrował od jednej zbroi do drugiej. Nie zdziwiłem się. Handluje dziełami sztuki, a wiadomo, że stara broń i stare zbroje są wysoko notowane na międzynarodowym rynku. Helena Smogorowa, jak gdyby pragnąc zaprzeczyć temu, co powiedział o niej Sungajło, zwróciła uwagę na rzecz zgoła kobiecą. Trzymając pod rękę pannę Isabelle, oglądała manekin przybrany w ludowy strój kobiecy. Kierownik Puchała towarzyszył paniom i udzielał im informacji, które nie docierały do naszych uszu, gdyż znajdowaliśmy się w drugim końcu sali.

Gdy jednak odezwał się profesor Smogor, słowa jego dotarły do nas wszystkich. Dla jego głosu nie istnieją widocznie żadne przeszkody akustyczne:

— Tego tu nie było ostatnim razem, panie Janie!

Zwabieni nie tyle sensem słów, który nie wszyscy rozumieli, ile tonem, w którym z zadziwieniem dosłyszałem głębokie przejęcie, zgromadziliśmy się wokół profesora Smogora, przy którym tkwił wierny cień, również podniecony Karol Czereja.

— Pan profesor o czym mówi? — Puchała był nieco speszony. No cóż, nie jego fach. Na tropach zajęczych się zna. Na uprawie buraków też. Schroniskiem od biedy zarządzić potrafi. Ale te starocie to dla niego wszystko jedno ile lat mają, sto, trzysta czy tysiąc. Zaniepokoił się.

Ta gabłota tkwiła w kącie prawie zupełnie nie oświetlonym. Na dolnej półce stała za szkłem nieduża srebrna czy też posrebrzana skrzyneczka, wysadzana turkusikami. Jeden bok był wgięty, połowy turkusików brakowało, zamek najwidoczniej zepsuty nie pozwalał, by zamknęło się wieczko. Obok niej znajdowały się rzeźbione w drzewie prymitywne w kształcie figurki i leżały również rzeźbione łyżki. Jasne nawet dla laika: typowe okazy miejscowej sztuki ludowej. Nie o to chyba chodziło Hubertowi Smogorowi. Jego ręka z wysuniętym

palcem wskazującym uniesiona była rozkazująco ku górnej półce. Jak wykrzyknik: wyrażała zgorszenie i pretensję. Żądała wyjaśnień.

— To... to... — bąkał zmieszany Puchała — moja żona... Uważała, że za pusto w tej gablocie. „Figa z makiem”, mówiła. Bukar w jednej z piwnic trzymał takie rupiecie. W tej piwniczce pod wieżą, wie pan profesor. Więc kiedyś Marianna wyszperała tam tę skorupę. Nawet trochę zbita, o tu, z boku. No i wstawiła. Ja mówiłem jej, daj spokój, panie święty, nie pasuje tu to dziwadło. Uparła się i już.

Przyjrzałem się bacznie temu, co tak poruszyło profesora Smogora, a co Puchała nazwał lekceważąco dziwadłem. W cieniu gabloty kryła się ciemnoszara, prawie czarna waza. Mogła mieć około trzydziestu centymetrów wysokości. Imadła po obu stronach brzuśca przypominały kształtem ni to skrzydła, ni to pozbawione dłoni ramiona, wyciągnięte błagalnie ku górze. Najzabawniejsza była wszakże dość szeroka szyjka. Kilkoma nieskomplikowanymi, lecz śmiałymi nacięciami artysta przekształcił tę część wazy w sowią głowę. Okrągłe oczy przedzielał pionowy dziób, nadając wizerunkowi rys drapieżności i okrucieństwa. A może to miała być twarz ludzka, uformowana tylko na podobieństwo sowy? Po obu stronach dziwnego oblicza widniało bowiem coś na kształt uszu, a wylew wazy zamykała pokrywka, wylepiona w formie czapeczki z łukowato wygiętym uchwytem.

Udzieliło mi się wzruszenie Huberta Smogora. No bo jeżeli ta waza nie jest przywidzeniem, nie jest falsyfikatem, nie jest czymś psikusem, to zanosi się na sensację światowej miary. Nie odezwałem się jednak ani słowem. Jakie miałbym do tego prawo, znajdując się w otoczeniu osób tak niewątpliwie kompetentnych w zakresie archeologii? Obejrzałem się, żeby przekonać się, jakie też wrażenie wywarł na nich widok eksponatu.

Najbliżej mnie stał doktor Wilhelm Schmuckdorf. Jego sucha, poorana zmarszczkami twarz wyrażała cierpienie, jak gdyby widok wazy sprawił mu fizyczny ból. Jego żony, Marty, waza najwidoczniej nie obchodziła; otoczyła nadspodziewanie

silnym ramieniem plecy męża widocznie w obawie, by nie zachwiał się i nie upadł. W oczach miała prawdziwą rozpacz. Pedro Rodriguez był najwyraźniej wściekły. Oderwał wzrok od wazy i przeniósł go na osobę docenta Adama Sungajły z nie mniejszą złością. Adam Sungajło lekko wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie go ta osobliwość nie obchodzi, na policzki wystąpił mu jednak rumieniec; spłoszony, umywał wzrokiem przed atakiem ku sąsiadce, pannie Isabelli, która zachowywała się jak uczennica, pierwszy raz w życiu obserwująca podczas lekcji biologii galwanizowanie żaby. Waza nie sprawiała na niej wrażenia, chyba raczej nie podobała się i odpychała swym nieco brutalnym prymitywizmem. Marco Finelli łapał powietrze szeroko otwartymi ustami, wpatrywał się w okrągłe sowie oczy, jak gdyby nie były z gliny, lecz należały do najpiękniejszej kobiety świata. Można go było określić jednym słowem: pożądlivość. John Black mruknął coś cicho, nie spuszczać ze Szwajcara chłodnego, badawczego wzroku. Interesował go widocznie bardziej niż waza. Monika Rosier przyglądała się wazie uważnie, lecz raczej obojętnie, podobnie jak Iwona. Robert Stude jak ciekawski chłopiec, który musi wszędzie być pierwszy, niemal przyłgnął twarzą do szkła gablotki.

— Chciałbym ją obejrzeć z bliska. — Hubert Smogor przywykł do rozkazywania, ale tym razem lekko drżący głos świadczył, że pan profesor z trudem panuje nad nerwami.

Jan Puchała był niepokieszony:

— Panie profesorze... drodzy państwo, wybaczcie... nic z tego, panie święty. Klucze od tych wszystkich szafek ma moja żona, bo ona tu sama zawsze kurze obmiata. A ona właśnie, tego, panie święty, na dole we wsi dzisiaj nocuje, bo po prowiant na jutrzejszy bal pojechała. I po lekarstwa dla tego waszego kierownika, Dudy — zwrócił się do mnie, jak gdyby mnie czynił odpowiedzialnym za słabowitość różowolicego młodzieńca. — Leży biedak w łóżku z kompresem na szyi. Mówi, że podczas kuligu wiatr go obdmuchał. Anginy dostał.

W samej rzeczy, teraz dopiero zwróciliśmy uwagę; na nieobecność naszego opiekuna. Ładna sprawa, pomyślałem,

zostałem teraz sam, jak Daniel wśród lwów.

Nie tylko wszakże on jeden porzucił nasze grono. Zauważyłem ze zdziwieniem, że opuściła nas pani Helena Smogorowa. Tak zajęci byliśmy wazą, że nie dostrzeżliśmy odejścia pięknej profesorowej.

— No to trudno, musimy cierpliwie poczekać do jutrzejszego rana — profesor Smogor dał znak do odwrotu jak wódz po przegranej potyczce. — Rzeczywiście, chodźmy spać, skoro jutro mamy balować przez całą noc.

Kierownik Jan Puchała wyszedł ze zbrojowni ostatni. Energicznie przekręcił w zamku klucz, nacisnął klamkę, by sprawdzić, czy dokładnie zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że drobny ten szczegół będzie posiadał bardzo doniosłe znaczenie. Powiedzieliśmy sobie grzecznie „dobranoc” i rozeszliśmy się do swoich pokojów.

— Czy możesz mi powiedzieć, Stefanie, co to za waza, którą tak podziwialiście wszyscy? — spytała mnie Iwona, kiedy znaleźliśmy się już sami w naszym pokoju, chyba na jej cześć utrzymanym w błękitnych kolorach, w których było jej zawsze tak do twarzy. — Mój nos mi powiada, że to jakiś szlagier, tylko nikt nie chciał o tym mówić... Ale ty przecież wiesz.

Dlaczego lak sądzisz? — wołałem być ostrożny. Zastanawiałem się, czy mam podzielić się z Iwoną moimi przypuszczeniami. To racja, toczy się tu jakaś gra, której sensu jeszcze nie rozumiem w całości. Uświadomiona przeze mnie, może Iwona niechący, w kobiecym ferworze gadulstwa albo chęci popisania się swoją inteligencją — co lubią robić dzisiejsze panie — wplątać się w aferę. Ale z drugiej strony muszę ją ostrzec. Może nawet lepiej będzie, jeżeli wyjaśnię jej pobieżnie tę sprawę. Zresztą i tak nie dałaby mi spokoju. Ustąpiłem:

— Dobrze, powiem ci. Ale pod warunkiem, że będziesz unikać rozmów na ten temat z kimkolwiek.

— Zaciekawiasz mnie coraz bardziej... — swoim zwyczajem zwinęła się pod kołdrą w kłębuszek, jak kot. Niecierpliwie czekała, jak dziecko otworzyła szeroko błyszczące, niebieskie

oczy.

Pomyślałem: jest taka jak zwykle, jak zawsze, jak co dzień. Tamta w zbrojowni przemieniona, gniewna, musiała chyba przywidzieć mi się, kiedy z ciemności weszliśmy nagle do oświetlonej sali. Usiadłem na foteliku, żeby wypalić ostatniego przed snem papierosa - i powiedziałem to, co mi było wiadome:

— Niejaki Henryk Schliemann był zapalonym archeologiem — amatorem. Sto trzydzieści siedem lat temu, oglądając ilustrowaną historię świata, jako ośmioletni chłopiec uwierzył twardo, że Troja istniała kiedyś naprawdę.

— Czy wtedy uważano, że wojna trojańska to bajka? — zdziwiła się Iwona. Grała kiedyś niewielką rolę w „Pięknej Helenie” Offenbacha i z tej racji uważała się za znawczynię achajsko-trojańskiego konfliktu.

— Tak, uczeni kwestionowali istnienie Troi. Opowieść Homera uważano za zlepek mitów a „Iliada” i „Odyseja” służyły bardziej jako materiał literacki do nauki języka greckiego niż podręcznik historii. Schliemann postanowił udowodnić, że wszystko, o czym mówi Homer, było prawdą. Odnalazł wzgórze, w którego wnętrzu kryły się ruiny, ale nie jednego miasta, tylko dziewięciu, a jak dziś twierdzą, aż dwunastu. Które z nich było Troją Homera?

Uczeni twierdzą dziś, że nie to w każdym razie, które uznał za Troję Schliemann, ale jedno z tych, których gruzy rozwalił i usunął na bok, pragnąc dotrzeć jak najgłębiej. Od wieków bowiem, na gruzach jednej osady powstawała następna.

— Taki pagórek musi wyglądać jak tort — zauważyła Iwona wesoło. — A jak on się dziś nazywa? Gdzie to jest?

— Hissarlik. W Turcji.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z tym śmiesznym wazonem, który dzisiaj oglądaliśmy? Gdzie Turcja, a gdzie „Sowie Ucho”!

— Może ma coś wspólnego, jutro się o tym przekonamy. Dzieje ludzkości są pełne niespodzianek. Gdzie Bałtyk, a gdzie rzeka Skamander, nad którą leżała Troja, a jednak Trojanki nosiły naszyjniki z bursztynowych paciorków.

— Niemożliwe! Takie zwykłe bursztyny, jak nasze z „Cepelii”

albo takie, co to się kupuje w budkach na Helu?! Myślałam, że paradowały w złocie i drogich kamieniach!

— W złocie również. Ale to było jedno z najbogatszych miast — państw ówczesnego świata. Trojanie utrzymywali stosunki handlowe z najodleglejszymi krajami. W czasie jednej z takich wypraw Parys zapewne poznał Helenę...

— Porwał ją i zrobiła się z tego wielka wojna. Bardzo mi to schlebia jako kobiecie,

— Możesz się tak nie chełpić. Achajom, czyli koalicji greckiej z pewnością bardziej chodziło o zagrabienie bogactw „Złotego Ilionu” i o zniszczenie groźnego konkurenta na handlowych szlakach, niż o jedną, może nawet niebrzydką, ale dość już leciwą królową.

— Jak to? — zgorszyła się Iwona.

— Niektórzy obliczają, że Helena w czasie wojny trojańskiej miała już pod pięćdziesiątkę. I furę dzieci. Poza tym była przewrotna. Po śmierci Parysa, jeszcze podczas oblężenia Troi, uwiodła jego brata, Deifobosa i poślubiła go, chociaż rodzony mąż stał pod murami twierdzy. A kiedy zwycięstwo przypadło Grekom, bez skrupułów wydała swego nowego amanta w ręce ex-męża, Menelaosa-zwycięzcy.

— Fe, fe, fe, Stefanie! Nie wierzę. To niecne oszczerstwa. Wymyślone przez wrogów kobiet. Pamiętam dobrze, kiedy graliśmy „Piękną Helenę” i pytałam ciebie, co się z nią w końcu stało, powiedziałeś mi, że pojechała grzecznie z mężem do domu, a uwielbiający ją poddani wystawili obojgu po śmierci przepiękny pomnik.

Cóż ja mogę poradzić na brak konsekwencji w greckich mitach? Woląłem wymigać się od dalszej dyskusji, wracając do sprawy wazy.

— Dajmy już spokój pięknej Helenie, Iwono. Wróćmy do Schliemanna. Otóż w jednej z najniższych warstw, bodajże drugiej od spodu, Schliemann znalazł skarb. Mnóstwo przedmiotów ze złota, srebra i miedzi: naczynia, broń, biżuterię. Przedtem jeszcze wykopał masę ceramiki: misy, kubki, wazy różnego kształtu. „Zwariowany blagier”, jak go nazwał jeden z niemieckich uczonych, zdobył sławę: oto po

trzech z górą tysiącleciach skarb króla Priama miał udowodnić prawdę słów Homera.

– Czy nie udowodnił?

– Jak ci powiedzieć... I tak, i nie. Badania gruzów Troi prowadzono również po Schliemannie. Stwierdzono przy użyciu środków o wiele doskonalszych, niż te, którymi dysponował Schliemann sto lat temu, że homerowska Troja pozostawiła po sobie nie drugą, lecz siódmą warstwę ruin. A więc skarb, który odkrył Schliemann, należał nie do Priama, ale do któregoś z jego poprzedników na trojańskim tronie, może przodka Priama, Ilusa, albo jego syna Trosa, legendarnych założycieli miasta. Mimo to, przyjęła się nazwa „skarb Priama” dla znaleziska Schliemanna.

A co się stało z tym skarbem?

– To dziwna historia. Wiesz dobrze, że jestem starym niedowiarkiem. Nie wierzę w przesady, w przekleństwo losu, w czary i inne takie metafizyczne historyjki. Ale w dziejach priamowsko-schliemannowskiego skarbu tkwi jakiś fatalizm mogący niepokoić najbardziej zatwardziałego realistę.

Może umierali wszyscy, którzy go dotknęli, jak ci odkrywcy grobu Tutenchamona w Egipcie?

Nie, w każdym razie nic o tym nie wiadomo. Ale giną strawione ogniem miasta, w których skarb ten kryje się czy też znajduje schronienie. Pomyśl: dwanaście razy ginie jedno miasto po drugim, wznoszone na tym samym miejscu przez przeszło dwa tysiąclecia. Jak kamień węgielny na spodzie tego wszystkiego, wciśnięty w załom muru, ukryty w skrzyni, która dawno się rozsypała w proch, leży ten skarb. Przez półtora tysiąca lat panuje spokój, ubodzy chłopcy wypasają stada wokół pagórka porośniętego mizerną trawą. „Zwariowany blagier” nie wie, co ma zrobić ze znalezionym skarbem. Nikt go nie chce wziąć pod swoją opiekę: ani rządy, ani instytucje naukowe, ani muzea. Odmawia Rosja, Francja, Grecja, Anglia. To czasy, gdy sprawy archeologii nie są jeszcze prawnie uregulowane.

– Bezdomy skarb.

– Tak. W końcu Schliemann, jakby sobie na przekór, zapisuje swój skarb tym, którzy wyśmiewali go najbardziej

bezlitośnie, chociaż przyznali mu w końcu doktorat honoris causa w Rostocku i ofiarowali honorowe obywatelstwo miasta Berlina. Spadkobiercą staje się berlińskie Muzeum Prehistorii. Tam skarb ten, o wartości nie dającej się oszacować, spoczywa aż do czasów drugiej wojny światowej.

— Rozumiem... Spalony Berlin.

— Oczywiście przez szaleństwo Hitlera, a nie przez fatum, ciężące nad skarbem Priama. Nie bądźmy dziećmi. Gdy jeszcze wojna trwa, uczeni niemieccy, spodziewając się bombardowania stolicy Trzeciej Rzeszy, usiłują zabezpieczyć bezcenny dar Henryka Schliemanna, nieżyjącego już od pięćdziesięciu lat. Rozdzielają go na cztery części. Prawdopodobnie wszystkie złote przedmioty, piękne diademy z misternie kutych złotych listków, bransolety, naszyjniki i zausznice zostają zdeponowane w Banku Pruskim, a potem w schronie przeciwlotniczym koło ZOO.

— Czy to ocalało? — dla Iwony oczywiście najważniejsza jest biżuteria. Prawdziwie po kobiecemu. Złoto działa podniecająco na niewieścią wyobraźnię.

— Nie. Walka była w tej dzielnicy Berlina tak zacięta, że nie pozostał kamień na kamieniu. W gruzach nic nie odnaleziono. Może dokona tego jakiś Schliemann za trzy tysiące lat. Ale wiemy co nieco o ceramice. Część wyładowała w Schönebeck nad Łabą. Tam nic nie ocalało. Druga część powędrowała do zamku Lebus w Marchii Brandenburskiej. Po działaniach wojennych opuszczonym zamkiem i jego zawartością zajęła się żywo okoliczna ludność wiejska. Ale w ojczyźnie Schliemanna nie każdy słyszał o nim i jego dziele. Miejscowy zwyczaj nakazuje, by na progach chat nowożeńców rozbijać stare garnki.

— Nie oni jedni wierzą, że rozbite naczynie przynosi szczęście. My tak mówimy o zbitym szkłe...

— Masz rację, przesąd dość powszechny. I to od dawna. Już współcześni Trojanom mieszkańcy Panamy, nieznannej rasy budowniczości wspaniałych miast i czciciele słońca, rozbijali swe garncarskie wyroby o ołtarze bogów, aby pozyskać ich łaski. Co im nie pomogło, bo zniszczył ich cywilizację

doszczętnie wybuch wulkanu Guacamayo.

— Ale te trojańskie skorupy można było pozbierać i posklejać.

— Co też uczyniła pewna niemiecka uczona, wykupując czerepy od wiejskich dzieci za cukierki. Zużyła aż pięćdziesiąt kilo cukierków na ten cel.

— To już trzy części skarbu Priama. A ostatnia, czwarta część, Stefanie?

— Bardzo lakoniczna wiadomość w słynnej książce Cera-
„Bogowie, groby i uczeni” głosi, że ta czwarta część skarbu Priama, zawierająca ceramikę, została ukryta w jakimś zameczku pod Wrocławiem.

Oczy Iwony zrobiły się okrągłe z wrażenia.

— Czy... czy ty myślisz, że...

— Nic nie myślę, Iwono. Ścisłej mówiąc, to co myślę, trąci fantazją i nie nadaje się do powtarzania w gronie osób bardzo uczonych. „Pod Wrocławiem” — to określenie jest szerokie i nieprecyzyjne. Może mieć szerszy zasięg niż najbliższe okolice miasta. Może też być celowo mylące. No cóż, każdy by chciał odnaleźć chociaż część skarbu Priama.

— Ta waza...

— Schliemann znalazł w gruzach Troi dużo tak zwanych „sowich waz”. Stanowią zresztą przedmiot ożywionych sporów naukowych od stu lat. Ale może już dość na dziś, kochanie. Jutro opowiem ci resztę tej historii. Musisz się wyspać, żeby na balu ładnie wyglądać.

Argument poskutkował. Przejrzała się w lusterku i zawołała ze zgrozą:

— Och! Masz rację. Już wyglądam jak zmora. A ty, dlaczego nie kładziesz się?

— Obowiązek, obowiązek przede wszystkim, moja miła. Skoro mnie nasz najdroższy Chrząszczkiewicz obdarzył zaufaniem, nie mogę go zawieść. Wpadnę na chwilę do tego nieszczęśnika, maminsynka Anatola. Zobaczę co z jego angina.

Włożyłem nocne pantofle i starałem się iść jak najciszej, pamiętając o niesamowitym echu, panoszącym się w tym domostwie. Mimo to zdawało mi się, że cały zameczek pełen

jest tajemniczych szmerów i stąpań. Nie wierzę w duchy blakających się nocą rycerzy, ale nie było to miłe.

Okazało się jednak, że miałem do czynienia bynajmniej nie z duchami, nie z czarnookim Wilhelmem-Diablem w okopconej zbroi, lecz ze zwykłymi, żywymi ludźmi.

Zastanowił mnie przede wszystkim zgrzyt jakichś ciężkich drzwi. Ktoś otworzył je wolno i ostrożnie, a potem tak samo dyskretnie za sobą zamknął. Przypomniałem sobie, że tak skrzypiały drzwi frontowej sieni, kiedy otwierał je kierownik Puchala niespodziewanym wieczornym gościom. Słuch mnie nie mylił. Gdy zszedłem do sieni, ot, po prostu z ciekawości, przyświecając sobie kieszonkową latarką, zauważyłem małą smużkę śniegu przy progu. Jeszcze nie stopniała. Musiała się tu dostać właśnie teraz, gdy ktoś otworzył drzwi, by wyjść tędy z zameczku.

Zgaśnięciem latarkę i wyrząłem przez okno. Zawieja ustała tak samo nagle, jak zerwała się pod wieczór. Zza chmur wyrzwał księżyc. Jego światło odbijające się od śniegu, pozwoliło mi dojrzeć wysoką męską postać, brnącą dzielnie ścieżką wśród skałek ku zamkowej wieży. Kiedyś ta wieża stanowiła razem z zameczkiem jedną budowlę. Teraz jednak stała osobno. Część budynku, łącząca ją niegdyś z głównym gmachem, zamieniła się w płaskie usypisko gruzów.

Kim był ten człowiek? Odwrócił się na chwilę, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nikt za nim nie podąża, czy nikt go nie śledzi. Teraz już nie miałem wątpliwości. Niebieskawe fosforyzujące światło, przypominające jarzeniówki, ostro uwydatniło ptasią twarz Pedra Rodrigueza. Ptasia twarz — skąd mi to przyszło na myśl? Ależ tak, właśnie tak. Mając wciąż jeszcze w oczach kamienną sowią twarz, patrzącą na nas zza szkła gabloty groźnie i ostrzegawczo, uświadomiłem sobie, że nareszcie wiem, do czego można by przyrównać niezbyt przyjemne oblicze Brazylijczyka; do puchacza. Doprawdy, głowa starego puchacza.

— Czy pan wybiera się na spacer?

Szept przywędrował do mnie z ciemności. Poznałem już jednak na tyle nasze towarzystwo, że skojarzyłem szybko ten

szept z osobą Moniki Rosier.

Ach nie, droga pani — odpowiedziałem wesoło — ciekaw byłem tylko, kto wybrał się tak późną nocą na przechadzkę. Nasz pan Duda zachorował, więc, rozumie pani sama, mnie przypadła rola opiekuna całej wycieczki. Muszę was pilnować. Muszę dbać o wasze bezpieczeństwo...

— Przecież nic nam nie grozi — mruknęła cicho, ale ja znów dosłyszałem w jej głosie nutki, które mi się nie podobały. Zabrzmiało to tak, jakby ze mnie kpiała. Natychmiast jednak zmieniła ton; żartobliwa plotka wymaga ciepłej poufałości. — Chyba, że ta piękna pani... pani profesorowa, pani Helena doberze się z zazdrości do tej małej czarnej Isabelli. Nie sądzi pan?

Chciałem coś odpowiedzieć również żartem, ale nie miałem już do kogo przemawiać. Szybki stukot obcasików po kamiennych schodach dał znać o odejściu rozmówczyń.

Skierowałem w jej stronę latarkę, aby przez grzeczność poświecić w ciemności. Jeszcze tego by brakowało, żeby po ciemku spadła ze schodów i zwichnęła zgrabną nóżkę.

— Och, merci, dam sobie radę — zawołała cicho.

Ten krótki błysk światła latarki wystarczył mi jednak, by stwierdzić, iż pani Rosier nie zdążyła się jeszcze rozebrać. Pełny ryzsztunek wieczorowy uzupełniał płaszcz narzucony na ramiona.

Już rozplynęła się w mroku i scichł drobny stukot jej obcasików, gdy z tej samej ciemności z górnego podestu schodów odezwał się głos mężczyzny. Był stłumiony odległością, pewnie także celowo przyciszony, lecz zabrzmiał ostro i bardzo wyraźnie. Tak mógłby przemawiać Zeus z Olimpu do swych wiernych wyznawców':

— To pan, panie mecenasie? Czy tam na dole nie ma Heleny, mojej żony?

— Nie ma, panie Hubercie — odrzekłem z pokorą. W towarzystwie tego człowieka nawet ja, stary wyga sądowy, wojujący przez całe życie z niejednym nieugiętym oskarżycielem, czuję się onieśmielony. Wierny poddany. „Padam do nóżek”. Bardzo mnie to denerwuje i dlatego nie

lubię Smogora.

— Rozmawiałem tu z panią Moniką Rosier — dodałem, aby nie zostać posądzony o uwodzenie pani profesorowej. — Myślałem, że pani Helena poczuła się zmęczona i poszła położyć się. Czy pomóc panu w szukaniu?

— Dziękuję — odpowiedział szorstko. — Helena zna świetnie zamek. Może poszła poczytać do biblioteki.

Pomyślałem, że dziwna to pora na lekturę, ale nic już nie powiedziałem. Z odrobiną goryczy przypomniałem sobie własną interwencję, gdy docent Adam Sungajło zbyt blisko, moim zdaniem, przysunął się do Iwony. Niewątpliwie, rola starszego męża młodej i pięknej żony wymaga wielkiego opanowania. No, ale Smogorowa nie taka znów młoda, to pani raczej w średnim wieku, choć wciąż jeszcze bardzo urodziwa.

Głos Smogora umilkł, dotarło do mnie szuranie oddalających się kroków, trzasnęły drzwi, wiodące z podestu pierwszego piętra na korytarz skrzydła, w którym mieściły się nasze sypialnie. O czym będzie rozmyślał w ciszy i samotności profesor Hubert Smogor, postrach i przedmiot nieustającej adoracji szerokich sfer naukowych, klanu archeologów, członek licznych towarzystw naukowych, współpracownik instytutów światowej renomy, doktor honoris causa kilku zagranicznych uniwersytetów?

O swojej pozycji, zagrożonej przez młodych, ambitnych Sungajłów, wyzbytych skrupułów i szacunku dla autorytetów, czy o niespodziance, jaką sprawiła mu szklana gablotka w zbrojowni „Sowiego Ucha”? A może o pani Helenie, która tak lubi polowanie i ma dziwny zwyczaj znikania w środku nocy nie wiadomo gdzie? O czymkolwiek myśli profesor Smogor, nie zaśnie spokojnie. Byłem o tym przekonany.

Uznałem, że zbyt dziwne rzeczy zaczynają się dziać w naszym małym kółku, abym nie miał zachować przezorności i zastosować odrobiny podstępny. Ostatecznie muszę wiedzieć, co się tu święci. Kobiecą intuicję Iwony potwierdzały już teraz moje własne obserwacje. Kiedy więc usłyszałem ciche, skradające się kroki, zgasiłem latarkę i tak stanąłem, żeby zasłonił mnie potężnych rozmiarów wieszak, dźwigający nasze

wierzchnie okrycia. Ktoś szedł korytarzem, który prowadził do zbrojowni. Ale kroki zbliżały się, nie oddalały. To znaczy, że nocny Marek odwiedził już zbrojownię i właśnie ją opuścił, starając się czynić jak najmniej hałasu. Cień przesunął się przez smugę księżycowego światła, wpadającą skośnie przez okno sieni. Tajemniczym wędrowcem okazał się Marco Finelli, nasz szwajcarski handlarz dziełami sztuki. Ani chybi, poszedł popatrzeć samotnie na sowią wazę. Chyba jednak tylko przez dziurkę od klucza. Musiał się biedaczek rozczarować, kiedy zastał drzwi sali starannie zamknięte przez Jana Puchałę.

Nie pragnąłem już więcej żadnych nocnych spotkań. Poczulem senność i zmęczenie. Trzeba było tylko jeszcze spełnić samarytański obowiązek. Ponieważ po przyjeździe Smogorów pokoi na piętrze ledwie wystarczyło na pomieszczenie gości, Puchała ulokował Anatola Dudę na parterze, w jednym z pokoiów własnego służbowego mieszkania. Wydawało mi się, że poruszam się cicho. Nie chciałem nikogo budzić, nie zamierzałem zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Niestety, nie udało mi się. Jan Puchała jeszcze nie spał, albo też miał nadzwyczaj lekki sen, gdyż stał w drzwiach swych apartamentów i usłuznie zapalił w małym korytarzyku światło, kiedy ja stanąłem w progu. Zdziwił się na mój widok.

— Przyszedłem, żeby odwiedzić naszego chorego — wyjaśniłem dobrodusznie.

Anatol Duda spał głębokim snem jak małe dziecko, po uszy przykryty pierzyną pani Puchałowej. Sapał przy tym i chrapał tak głośno, że mógłby śmiało konkurować z pracującym pełną parą tartakiem. Na krześle leżała starannie ułożona garderoba naszego młodego, niefortunnego opiekuna. Spojrzeliśmy z panem Janem na ten przyodziewek ze zgrozą. Czego tu nie było! Był i komplet arcyciepłej bielizny, i podkoszulek, była gruba flanelowa koszula, był sweter z prawdziwej wielbłądziej wełny rodem z komis, były wełniane skarpety nadające się do wspinaczki na Mount Everest, taki sam szalik, i na to wszystko młody człowiek przywdziewał jeszcze narciarskie spodnie i podbitą puchem taternicką wiatrówkę.

— Trzeba mieć żelazne zdrowie, żeby to wszystko dźwigać na

sobie i nie zaziębić się — mruknął z dezaprobatą kierownik Puchała, a ja przekląłem w duchu troskliwą zapobiegliwość mamusi Anatola Dudy.

Jan Puchała towarzyszył mi grzecznie aż do schodów prowadzących z sieni na piętro. Odechciało mi się już zabawy w detektywa, szedłem więc zwyczajnym, normalnym krokiem, zamknąłem za sobą drzwi korytarza również nie zachowując ostrożności.

Za wszystkimi drzwiami panowała cisza, spod żadnych nie sączyło się światło. Ulżyło mi: widocznie całe towarzystwo nareszcie uspokoiło się i szczęśliwie posnęło. Jedne tylko drzwi uchyliły się w momencie, kiedy wkraczałem do naszego pokoju. Docent Adam Sungajło albo czekał na kogoś, albo chciał sprawdzić, kto to tuła się po korytarzu zamiast przykładowie wysypiać się przed szaleńczą maskaradą. Nie wiem czy mój widok zadowolił go, czy też rozczarował.

Przekręciłem w drzwiach klucz i z ulgą wyciągnąłem się na tapczanie, chociaż daleko mi było do doskonałej wygody.

Poranek nie przyniósł większych sensacji, prócz tej chyba, że jak na razie, wbrew prognozom Jana Puchały z poprzedniego wieczora, był słoneczny, pogodny, tylko lekko mroźny. Ani śladu wiatru, ani śladu zawiei, ani jednej chmurki na niebie. Za drugą małą sensację uznać by było można kategorię i w dość niemiłym tonie udzieloną, odmowną odpowiedź Jana Puchały na prośbę magistra Karola Czerei, by otwarto drzwi zbrojowni. Zapewne zlecił mu tę misję profesor Smogor, który chciał mieć dostęp do sali otwartej, gdy tylko wróci z porannego polowania na jelenie, czyli po myśliwsku mówiąc „byki”. Jelenie zlekceważyły jednak zaszczyt, jaki przypadłby im w udziale, gdyby pozbawiła ich życia profesorska strzelba i żaden z nich nie wyszedł na strzał. Tylko jakiś chudy i nierozsądny wilczek pozwolił się upolować panu Rodriguezowi, gdy Brazylijczyk przyłączył się do łowów, na które wczesnym rankiem wyruszyli Smogorowie i Sungajło.

Zwierzyzna skrewiła, a sala była zamknięta.

— Tam nieporządek. Sprząta się — oświadczył twardo Jan Puchała i znikł tak skutecznie z pola bitwy, że nie mogła go

znaleźć nawet rodzona żona.

Towarzystwo rozpięzchło się. Marco Finelli przypiął do nóg narty i pojechał na dół do wsi, żeby zapoznać się z miejscowym folklorem i po papierosy. John Black wyraził chęć towarzyszenia mu w tej wyprawie. Za przewodnika obrali sobie Karola Czereję.

— I tak muszę zjechać co najmniej do połowy góry, żeby poszukać nart pani profesorowej. Panu profesorowi nie będę potrzebny przed południem, zaniósłem mu książki i notatki do biblioteki, będzie tam pracował do obiadu — powiedział do mnie jak gdyby tłumacząc się z faktu, że cień odrywa się od ciała właściciela. A może dawał do zrozumienia, że skoro pan profesor okupował bibliotekę, nikt nie powinien zakłócać jego skupienia i twórczego wysiłku swoim wtargnięciem.

Nie miałem tego zamiaru. Nieczęsto zdarza mi się taka okazja, abym mógł nie nagłony żadną koniecznością, ustawić na ośnieżonym zbocz górkę leżak, przykryć się ciepłym owczym kożuchem, uzbroić w ciemne okulary i rozkoszować czystym powietrzem, słońcem i ciszą. Toteż zrobiłem to chętnie, żałując tylko, że Iwona pobiegła na wezwanie Moniki Rosier. Dzielna paryżanka zapędziła wszystkie panie do roboty. Jeżeli maskarada wieczorna ma być udana, trzeba przygotować dowcipne kostiumy. Z otwartego okna sali, zwanej hucznie balową albo salonem, dochodziły do mnie kobiece głosy i wesoły śmiech. Widocznie panie już bawiły się znakomicie. Odróżniałem wśród odgłosów krzątania sopran Iwony, niski, dźwięczny alt Isabelli, matowy, nieco zachrypnięty głos Moniki, od czasu do czasu odzywała się Marta Schmuckdorf cienkim głosikiem dwunastoletniej dziewczynki. Dziwnie trochę brzmiał na tym tle ton głosu Heleny Smogorowej: był głuchy, bez rezonansu, jak ton skrzypiec, na których usiłuje ktoś zagrać, chociaż ich pudło jest uszkodzone.

Docierały do mnie również inne odgłosy życia zameczku. Pomimo pięknego słońca, w pokoju Puchałów, w którym leżał nasz chory maminsynek, ośmielono się otworzyć tylko mały lufcik. Przypuszczam, że nie bez oporu Anatola Dudy. Stamtąd, przez ten lufcik dobiegały do mnie słabe oznaki, iż życie kołacze

się jeszcze w potężnym, lecz tak delikatnym ciele; mniej więcej co kwadrans, zapewne zgodnie z receptą mamusi, stosowaną od kolebki, Anatol głośno gulgotał, płucząc obolałe gardziółko.

Za węglem domu, na gospodarskim podwórku, Antos Ciołczyk, ponury syn gospodyni energicznie rąbał drzewo. Furia, z jaką wykonywał tę czynność, stanowiła chyba bezsłowną, demonstracyjną odpowiedź na przygadywanie, które świadczyło, że pani Józia, z macierzyńskim poczuciem odpowiedzialności, od czasu do czasu porzuca pracę przy kuchni i zagląda na podwórze, by sprawdzić, czy synalek znów się gdzieś nie urwał.

— Franka, Franka. Franki mu się zachciało. Ja ci pokażę Frankę. Ona na takich łapserdaków jak ty nie leci. Wielka pani, fryzjerka. Za cóżeś z nią wczoraj hulał, przyznaj się. Pewnie ci chtëryś z tych zagranicznych forszę wczoraj dał... To ciebie już pięty zaświerzbialy. Ani nogą się stąd dziś nie ruszysz. Słyszysz, gamoniu? Roboty dzisiaj od jasnego groma. Do centralnego podrzuć dobrze koks. Bal będzie całe noc. Ciepło ma być, coby państwo w kostiumach nie pomarżli...

Ukryty za kilkoma ośnieżonymi świerczkami, mogłem widzieć równie wiele jak słyszeć. Oto Amerykanin, Robert Stude, wygnany sromotnie z saloniku przez panią serca, brnie przez śnieżne zasy. Na ramieniu dźwiga strzelbę. O tej porze na polowanie? Ciekawym, czy dobrze strzela. A oto mam możliwość przekonania się. Nad czubkiem sosny zakołował gawron. Bob błyskawicznie zdjął fuzję, uniósł ją lufą do góry i nie celując długo wystrzelił. Gawron zatrzepotał skrzydłami i ciężko zwałił się w śnieżną zaspę. Ale Bob nie zatroszczył się o swe trofeum. Poszedł dalej w las, wesoło pogwizdując. Co to jednak znaczy, udany strzał! Może uleczyć nawet ciężką ranę serca.

A oto dwaj panowie: Pedro Rodriguez i doktor Wilhelm Schmuckdorf. Widocznie idą na spacer. Okrążają wieżę, mówią coś do siebie, żywo gestykułując. Wymiana zdań jest gwałtowna, niestety, z tej odległości nie słyszę, o czym mówią czy też, o co się kłóć.

Ale gdzie jest Sungajło, ten młody człowiek, który tak mnie denerwuje swoją butą? Okno zbrojowni — widzę je stąd doskonale — jest lekko uchylone. Rozchyła się jeszcze bardziej. Małe szybki błyszczą w słońcu. Puchała mówił, że tam się sprząta. Czyżby wynajął do tej czynności aż pana docenta? Bo najwyraźniej jego to postać wychyla się przez parapet, jak gdyby upuścił coś na zewnątrz i teraz przypatrywał się, gdzie to mogło spaść. Za nim pojawia się nagle pan Jan Puchała. Jest z czegoś bardzo niezadowolony. Odpycha pana Adama od okna i zamyka je gniewnym ruchem.

Znudziło mi się podglądanie. Powieki ciążą, oczy zamykają się same. Zасыpiam. Śni mi się, że pani Józia podaje do stołu zupę, wspaniały krupnik w sowiej wazie i mówi:

— Niech to będzie za zdrowie króla Priama!

Widocznie głód wywołał ten sen. Bo budzę się od razu, gdy rozlega się gong, zwołujący gości na obiad. Ależ tak, właśnie, o to chodziło: jestem potwornie głodny! Jeść, jeść! Mam nadzieję, że na obiad podadzą nam dobry, zawiesisty krupniczek. Nic tak nie rozgrzewa, jak ta zupa, pachnąca ciepłem domowego ogniska.

Rzeczywistość okazuje się jednak czasami barwniejsza od marzeń. Nie było krupniku, ale za to na stole pojawiły się flaki z pulpetami. Potem podano gęś z kapustą. Na deser szarlotkę z bitym kremem. Nasi cudzoziemcy stękali, ale jedli. Niektórzy przy końcu obiadu sięgali dyskretnie do kieszeni i torebek, aby za pomocą odpowiednich pigułek przywrócić trawieniu sprawność. Doprawdy, nie wiem, dlaczego żadnemu z naszych strategów na przestrzeni dziejów nie przyszło do głowy, by unieszkodliwić wroga przed bitwą za pomocą polskiego obiadu.

Intrygowało mnie, czemu nikt z obecnych przy stole nie wspomina o sprawie sowiej wazy, która poprzedniego wieczora tak pochłonęła uwagę wszystkich. Czy dlatego, że przy stole zabrakło gospodarza i zastępowała go małżonka, pani Marianna Puchałowa? Czy znakomici, uczeni goście poczuli się urażeni faktem, iż tak bezceremonialnie uniemożliwiono im dostęp do zbrojowni, a zatem i gablotki z tajemniczym eksponatem? A może zanosilo się tu na jakieś starcie i każdy

tał swoje zdanie, tak jak każdy sztab podczas wojny dba o zachowanie swoich planów strategicznych w tajemnicy? Trudno mi było to ocenić, ponieważ jednak nie lubię sytuacji niewyraźnych, przeszedłem do ofensywy.

W tym celu użyłem Iwony, której przed obiadem udzieliłem odpowiednich instrukcji:

— Jeżeli przez cały czas obiadu nikt nie odezwie się na temat sowej wazy, zapytaj przy kawie o cokolwiek bądź w związku z tą sprawą. Najlepiej zwróć się do Smogora. Bardzo mu tym pochlebisz.

Iwona wywiązała się z zadania bez zarzutu. Z najniewinniejszą w świecie miną, doczekawszy chwili, kiedy towarzystwo przestało głośno rozmawiać i zajęło się szarlotką, zapytała:

— Panie profesorze, co oznaczały wizerunki sowy na trojańskich wazach, wykopanych przez Schliemanna?

Może nie powinna była zadawać tego pytania tak nagle. Doktor Wilhelm Schmuckdorf o mało nie udławił się kęsem szarlotki, obficie obłożonym bitym kremem. Widocznie polski język nie przedstawia dla niego melanzu całkowicie niezrozumiałych dźwięków.

Hubert Smogor spojrział uważnie na Iwonę. W chłodnych, szarych oczach błysnęła podejrzliwość:

— Nie sądziłem, że interesuje panią archeologia.

— O tak! Ogromnie! — okrzyk pełen naiwności i zapału, poparty wymownym spojrzeniem bardzo niebieskich i bardzo ładnych oczu rozwiął chyba wątpliwości Smogora. Iwona wcieliła się bez reszty w osobkę prostoduszną i bezinteresowną.

— Sowa była świętym ptakiem Ateny, bogini Trojan.

— Atena była przecież boginią Ateńczyków, Greków... — Iwona dała do zrozumienia, że niezadawała jej tak mało wyczerpujące wyjaśnienie.

— No cóż, jeśli to panią rzeczywiście interesuje... Kult Ateny, droga pani, jest starszy niż miasto, które przybrało jej imię. Geniusz Greków polegał między innymi na tym, że z różnych kultur, z którymi się stykali, przywłaszczali sobie różne elementy i scalili je w harmonijną całość. Frygijczycy, którzy

kilkaset lat przed wojną trojańską, czyli mniej więcej dwa tysiące lat przed naszą erą przywędrowali do Azji Mniejszej prawdopodobnie z Tracji, czcili niejaką Ate, boginię, która spadła z nieba. Trojanie zaś byli spokrewnieni z Frygijczykami, chociaż zwano ich Teukrami. Atena była boginią nocy. A także strachu, wojny i śmierci. Czasami rozświeślała nocny mrok pochodnią, którą niosła w ręku, a gdy spieszyło się jej, przypinała skrzydła. Skrzydła i noc, cóż bardziej je przypomina, jak nie nocny ptak, sowa? Stąd też przesąd, że hukanie sowy wieści śmierć. No i stąd też późniejsze greckie określenie Ateny jako sowiookiej. Sowie wazy z Troi służyły prawdopodobnie kultowi tej bogini.

— Czy pan pozwoli, szanowny kolego... — ton głosu doktora Schmuckdorfa był podejrzanie słodkiutki. Siedzący obok niego przy stole Sungajło właśnie zdążył mu przetłumaczyć zaimprovizowany wykład Smogora. — Czy pan pozwoli, że niezupełnie zgodzę się z panem?

— Ależ słucham, proszę bardzo — Hubert Smogor przyjął wyzwanie z godnością.

— Strabon, grecki geograf, którego dwadzieścia ostatnich lat życia przypada już na naszą erę, twierdzi, że Teukrowie, jeśli nawet byli spokrewnieni z Frygi języcznymi, przyszli do Azji Mniejszej z Krety. Ta teoria wyjaśnia podobieństwo wielu nazw i imion, używanych zarówno na Krecie jak w Troadzie. Tu i tam na przykład mamy górę nazwaną Ida.

Obaj panowie zdziwili się niepomiarnie, kiedy w ich spór wtrącił się docent Adam Sungajło. To nie jest przyjęte ani dobrze widziane, gdy młodszy rangą pracownicy nauki pchają swoje trzy grosze w pojedynkę toczony przez autorytety. Proszę: magister Karol Czereja zachowuje się o wiele właściwiej. Milczy. A Sungajło gada, aby tylko zaimponować paniom.

— Wybaczą państwo, ale to wszystko są teorie przestarzałe. Wiemy z tak zwanego papyrusu Salliera, przechowywanego w Muzeum Brytyjskim, że Myzycjczycy, Karyjczycy, Lykijczycy, Teukrowie, słowem cała rodzina plemion zwanych meońskimi pomagała Hetytom w obronie, kiedy faraon Ramzes II najechał

Azję. W tamtych czasach taką koalicję mogła scementować tylko więź plemienna. Ale ta rodzina była o wiele liczniejsza. W Italii obejmowała na przykład także Etrusków. Pokrewieństwo językowe, niektóre zwyczaje, takie jak zsypywanie prochów zmarłych do urn w formie chatki albo z wyrzeźbionym wizerunkiem twarzy, pozwalają przypuszczać, że rodzina tych plemion obejmowała teren od Kaukazu poprzez Mezopotamię, Frygię, wyspy śródziemnomorskie aż po Italię, czyli dzisiejsze Włochy.

Wtrąciłem się jako wielbiciel Homera i Wergilego:

— Tym można by wytłumaczyć, dlaczego po zburzeniu Troi Eneasz uciekł z wybrzeży Frygii aż nad Tybr. To był stary szlak. Uciekł do krewnych.

— Literatura! — prychnął pogardliwie doktor Schmuckdorf. — Ale jeżeli to nawet prawda, że cały basen śródziemnomorski - jego peryferie zamieszkiwały ludy meońskie, to dopiero najazdy indoeuropejczyków, szczepów aryjskich, stworzyły na tym terenie podwaliny cywilizacji.

— Albo najeźdźcy przejęli częściowo kulturę podbitych ludów — zareplikował profesor Smogor. — Nie zawsze agresor przewyższa kulturą ofiarę agresji. Jeśli idzie o Etrusków, gotów jestem przyznać tu rację docentowi Sungajle — skłonił głowę w stronę Adama, lecz przy tym oczy profesora zabłysły wyraźną niechęcią, któż to bowiem widział, żeby rację przyznawać młokosom. — Bądź co bądź w Rzymie Etruskowie stanowili elitę intelektualną.

— Mój Boże — skrzywił się z niesmakiem Schmuckdorf — wróżby etruskie... Arystokracja etruska... Luksus. Zniewieściałość. Potęgę Rzymu wykuwano mieczem, i surowością obyczajów. Czyli tym, co przynieśli „barbarzyńcy” aryjscy... Bo to określenie miał pan na myśli, panie profesorze... Prawda?

— Wszyscy kiedyś byliśmy barbarzyńcami. I jednocześnie uważaliśmy za barbarzyńców wszystkich, którzy od nas się różnią... Ale oprócz podbojów istniał od wieków drugi nurt w rozwoju stosunków międzyludzkich. I jeżeli weźmie się go pod uwagę, niektóre teorie o dominacji silniejszego agresora stają

się tylko mitem. Był to nurt kontaktów pokojowych, handlowych, kulturalnych. Nam się dziś wydaje, że wszystkie ludy starożytne żyły w izolacji, bo nie istniały takie udogodnienia jak dzisiejsze środki komunikowania się. A to nieprawda. Idee, wyroby, wynalazki, wędrowały przez kontynenty podobnie jak dziś, tylko że wolniej. Gdyby, co nie daj Boże, spotkał powiedzmy nas jakiś kataklizm, wszystko zasypałby gruz i po kilku tysiącach lat jakiś nowoczesny Schliemann odkopał nas w tym zamku, wysnułby wniosek, że w Polsce mieszkańcy górskich osiedli nosili imiona Wilhelm, Robert, John, Marco, Pedro... No, także Stefan, Adam, Karol i Hubert, a więc bardzo różne od typowo polskich Bolesławów czy Stanisławów i wobec tego mieszkańcy ci stanowili odrębną grupę etniczną. Aha, i jeszcze: ubierali się w stalowe zbroje. No bo z naszych ubrań nie zostanie nic, ale te rynsztunki w zbrojowni przetrwają.

Wszyscy roześmieli się, a ja, pragnąc sprowadzić dość oderwaną w tej chwili dyskusję na tory bardziej mnie interesujące, dorzuciłem:

– I że w powszechnym użyciu wśród nas były sowie wazy. I że wobec tego jesteśmy spokrewnieni z Trojanami, a być może także Etruskami.

Nikt dotychczas nie zwracał uwagi na angielskiego historyka, Johna Blacka, toteż niemałe zdumienie wywołał fakt, że on także postanowił włączyć się do rozmowy. Przerzucaliśmy się dotychczas zdaniem częściowo po polsku, częściowo po niemiecku, osobom nie rozumiejącym tłumaczyłem na poczekaniu niektóre fragmenty na język francuski. Anglik postanowił zaoszczędzić mi fatygi, przemówił po niemiecku z kiepskim akcentem, ale dość biegle:

– Wydaje mi się, panie mecenasie, że panowie właściwie cały czas sprzecają się o sowie wazy. O ich pochodzenie i znaczenie.

Anglik trafił w dziesiątkę. Doktor Wilhelm Schmuckdorf zbladł ze złości. Hubert Smogor poczerwieniał jeszcze bardziej. Rodriguez, na którego przypadkowo spojrzałem, uśmiechał się drwiąco. Sungajło miał minę chłopca, przyłapanego na

wykradaniu jabłek z cudzego ogrodu. Finelli roześmiał się nieprzyjemnie.

Sungajło usiłował jeszcze zwekslować dysputę na temat etnograficzny, widocznie jemu, podobnie jak obu uczonym nie odpowiadało publiczne ujawnienie ukrytego sensu sporu. Zaczął skwapliwie dowodzić, że to, co powiedziałem o pokrewieństwie z Etruskami nie jest nonsensem, żeby się z tego śmiać. Nie z Etruskami wprawdzie, ale z innymi mieszkańcami Italii ludy zamieszkałe między Wisłą i Odrą na pewno były spokrewnione, a mianowicie z Wenetami, zamieszkującymi Gngi okolice dzisiejszej Wenecji i starszej od niej Spiny. Budowniczo wie legendarnej Winety nad Bałtykiem nazywani byli różnie przez inne ludy: Winidami, Venetami, Venedami i Vendami. Skoro istniał od pradawnych czasów szlak bursztynowy wiodący od Azji Mniejszej, od północnych wybrzeży Adriatyku, a może nawet od bram Egiptu — bo i tam znajdujemy bursztynowe ozdoby — aż po Sambię, czyli okolice Królewca, to czemu część plemion znad Wisły, ciekawa szerokiego świata, nie miałyby osiedlić się na południowym odcinku tego właśnie szlaku?

Dywersja Sungajły spaliła jednak na panewce. Tylko John Black zainteresował się żywo, skąd Sungajło czerpie te informacje i zadowolił się wyjaśnieniem, że polski docent, przebywając na dłuższym naukowym stypendium we Włoszech, podjął żywą współpracę z międzynarodową grupą archeologów, dokonujących wykopalisk właśnie w okolicy Wenecji i legendarnej Spiny. Wydawało mi się nawet, że satysfakcja angielskiego historyka po uzyskaniu tej wiadomości, była bardzo wyraźna. Jak gdyby potwierdzała jakieś jego własne teorie.

Profesor Smogor częściowo tylko nawiązał do tego, co powiedział Sungajło:

— Odnajdywanie na naszych ziemiach w pasie od Pomorza niemal po Wrocław urn twarzowych, pochodzących z tego samego okresu, kiedy rozkwitała kultura etruska, również znająca urny twarzowe, to znaczy z siódmego mniej więcej wieku przed naszą erą... powtarzam, urn twarzowych,

młodszych o sześćset lat od swoich waz trojańskich, nie świadczy wcale ani o naszym pokrewieństwie ze starożytnymi ludami Italii, ani o tym, że jesteśmy prawnukami Trojan, jeśli nawet byli poprzez Frygijczyków spokrewnieni z Trakami, naszymi południowo- -wschodnimi sąsiadami w prawiekach, tylko o tym, że nie mieszkaly tu w tysiącleciu przed naszą erą dzikusy, skaczące po drzewach, ale ludy, utrzymujące żywy kontakt z całym ówczesnym światem cywilizowanym. Bo skąd mielibyśmy bursztynowe paciorki i kulki w schliemannowskiej „drugiej Troi” i skąd naszyjnik z muszelek Spondylus na szyi kobiety, pochowanej w Biskupinie dwa i pół tysiąca lat przed naszą erą? Te muszelki znajdują się tylko w morzach południowych.

— Tak nasza kobieca próżność służy nauce — zazartowała pani Monika Rosier. — Co wiedzielibyście o dawnych ludach, gdyby ich kobiety nie stroiły się w korale?

— Może nareszcie mój polski szanowny kolega pozwoli mi dojść do głosu — upomniał się gniewnie doktor Schmuckdorf. — Pan usiłuje dowieść, że zaobserwowany pomysł zdobienia ceramiki wizerunkiem ptasiej głowy, przypominającej ludzką twarz, natchnął prasłowiańską ludność tych ziem do wytwarzania podobnych naczyń. Czy nie tak, panie profesorze Smogor?

— Mniej więcej. Z tym, że w Troi sowie wazy nie były urnami na prochy zmarłych, a we wszystkich innych, późniejszych wersjach naczyń ceramicznych o szyjkach wylepionych na podobieństwo ludzkich twarzy, czy z przykrywkami, przedstawiającymi ludzką głowę, stały się popielnicami. Trudno powiedzieć, dlaczego tak się stało, ale to właśnie zaprzecza pokrewieństwu, a potwierdza zapożyczenie pomysłu. Czy pan się z tym zgadza?

— Przede wszystkim nie zgadzam się z pierwszym założeniem, że wizerunek na wazach trojańskich przedstawia Atenę w postaci sowy. Niektóre sowie wzory mało przypominają tego ptaka, a o wiele bardziej ludzką twarz. Trudno mówić o indywidualizowaniu rysów cztery tysiące lat temu. Chociaż nie było w tych naczyniach prochów ludzkich,

stanowiły one coś w rodzaju galerii zmarłych przodków. Dlatego było ich w Troi tak dużo.

— Az czym jeszcze pan się nie zgadza? — ton Smogora był wyraźnie wyzywający.

— Pan kolega nie raczył zaznaczyć, że urny twarzowe znajdujemy również na terenie, który trudno nazwać, hm... słowiańskim. Mam na myśli Niemcy.

— Pan chce przez to powiedzieć, że popielnice twarzowe z nekropolii Łużyc i Poznańskiego, z całego Pomorza, nie były wytworem rodzimej kultury pomorskiej w ciągu rozwojowym grupy kaszubskiej kultury łużyckiej, ale śladem osadnictwa Gotów na tych ziemiach...

— Tak, tak. Właśnie tak — pokiwał doktor Schmuckdorf z głębokim współczuciem, że musi sprawić zawód i przykreść szanownemu polskiemu koledze — w najbardziej korzystnym dla pańskiej tezy wypadku, można by powiedzieć, że ten element kultury ludność pomorska zapożyczyła od bardziej już kulturalnie ukształtowanych i zaawansowanych zachodnich sąsiadów... A ten element jest rodzimym wytworem germańskim, o czym świadczy jego niezwykła długowieczność.

— Nonsens — huknął z całej mocy Smogor.

Pierwszy raz widziałem go w takim podnieceniu.

— Nie nonsens, tylko prawda. Przez pana przemawia, jak sędzę, przepraszam, nie chciałem urazić... wybujały sentyment narodowy!

— A dlaczego pan nie mówi, że drugi szlak bursztynowy, do brzegów Jutlandii również mógł przynieść z południa ideę sowych waz czy urn twarzowych? Wprost na teren bardziej pierwotnych siedzib Gotów, niż obszar między Odrą i Łabą? Albo dlaczego nie może pan przypuścić, panie doktorze, że to odwrotnie, zachodni sąsiedzi przejęli pomysł i zwyczaj od wschodnich?

Profesor Wilhelm Schmuckdorf potarł czoło z zakłopotaniem, wyglądał na zmęczonego:

— Gotów jestem dać panu koledze odpowiedź na to pytanie z dowodem rzeczowym w rękę. Gdy tylko będziemy mieć dostęp do gabloty z wazą w zbrojowni.

— Ha, ha, ha! — roześmiał się Hubert Smogor, jak gdyby usłyszał najlepszy w życiu dowcip. — Pan uważa, że ta waza w gablocie jest urną twarzową?

Doktor Schmuckdorf rozłożył ręce gestem, który mógł mieć wiele znaczeń i uśmiechnął się tajemniczo:

— Czym ta waza jest, a czym nie jest, nie będę wyrokować, nie mając jej w ręku. Ale czymkolwiek jest, potwierdzi moją rację.

Hubert Smogor odsunął na bok pusty talerzyk po szarlotce z taką furią, jak gdyby uosabiał on wszystkie racje doktora Wilhelma Schmuckdorfa:

— Gdyby to była urna twarzowa, racja mogłaby być tylko po mojej stronie. Natomiast jeżeli pan uważa tę wazę za urnę twarzową, to pan, panie doktorze, a nie ja, zaprzecza własnym tezom. „Sowie Ucho”, w którym pijemy właśnie tę świetną kawę, znajduje się na dawnym szlaku bursztynowym. Bramą Kłodzką i Bramą Morawską wchodzili kupcy z południa na słowiańskie i wcześniej jeszcze prasłowiańskie ziemie, by dotrzeć do Sambii po „złoto Północy”. Więc jeżeli tu są twarzowe urny, właściwe kulturze łużyckiej i pomorskiej, znaczy to, że aż tu siedzieli prasłowianie, do których chyba tym właśnie szlakiem dotarła idea i wzór takich urn.

— Pan zapomina, panie profesorze o innych przybyszach na tych ziemiach.

— Bynajmniej. Urny twarzowe to połowa pierwszego tysiąclecia przed naszą erą, Celtowie tu byli gośćmi na progu naszej ery, Goci, Gepidzi — to drugi wiek naszej ery, sąsiedztwo z germańskimi Markomanami to czas jeszcze późniejszy. Celtowie, Goci, Gepidzi, to wszystko stąd odeszło. Pozostali jak dawniej, tubylcy. Moi przodkowie, nie pańscy. Klasyczna ciągłość osadnicza.

— Ale ta waza w gablocie, to nie jest urna twarzowa.

To oświadczenie podziałało jak grom z jasnego nieba.

Smogor zaniemówił, a Czereja otworzył szeroko usta z wrażenia.

— Miałem zamiar to udowodnić z wazą w ręku — ciągnął niewzruszenie doktor Schmuckdorf, uśmiechając się

triumfująco — ale skoro pan tak się upiera, panie kolego... Pod Wrocławiem odnajduje się czasami naczynia twarzopodobne. Nie urny, nie popielnice, ale zwykle wczesnośredniowieczne ceramiczne wazy, którym za ozdobę służą ludzkie wizerunki. Identyczne z podobnymi zabytkami znajdowanymi w Niemczech. Bo jednak Goci tu wrócili. Tubylcy, jak ich pan nazywa, rozpląnęli się w masie żywiołu germańskiego. Zanikli, jak zanikło wiele ludów i plemion w historii, które uległy geniuszowi silniejszej rasy.

— To absurd! — Hubert Smogor trzepnął dłonią o blat stołu, aż filiżanki zabrzęczały. — Pan chce nam wmówić, że ta waza w gablocie to wykopalisko już z naszej ery?!

— Jak najbardziej.

— Absurd — powtórzył jeszcze raz z naciskiem Smogor i rzucił w stronę oponenta tak gniewne spojrzenie, jak gdyby chciał przebić go wzrokiem na wylot. — Pan wie dobrze, panie doktorze, tak samo jak ja, i może jeszcze ktoś przy tym stole, że ani to nie jest lużycka urna twarzowa, ani twarzopodobne naczynie gliniane z wczesnego średniowiecza.

— Więc czym ona jest? — Schmuckdorf wyraźnie drwił z Huberta Smogora, ale zauważyłem, że jego ręce zacisnęły się groźnie w pięści.

Pomyślałem z przerażeniem, że jeszcze się nam tu panowie uczeni pobiją jak uczniacy o piłkę na boisku. Ale do tego, na szczęście, nie doszło. Profesor Hubert Smogor znany jest z tego, że lubi swoje wykłady kończyć efektowną pointą. Tak też zainscenizował finał obiadu. Wstał od stołu, wyprostował wysoką, szczupłą postać i bez słowa ruszył w stronę drzwi. Stamtąd dopiero, dając do zrozumienia, że z jego woli dyskusja kończy się akcentem, który on uważa za jedyną rację nie dopuszczającą dalszych komentarzy, rzucił krótkie stwierdzenie, brzmiące jak ogłoszony z katedry dogmat:

— Nie uda się panu, doktorze, przed nikim zataić faktu, że to waza trojańska. Sowi waza z tak zwanego „skarbu Priama”.

I wyszedł, stawiając kropkę nad „i” energicznym stuknięciem drzwiami. Najpierw wśród obecnych zapanowała głucha cisza. Potem wybuchł gwar podnieconych głosów. Zatonął w nich

bełkot doktora Wilhelma Schmuckdorfa, któremu ze zgorzienia głos zaczął się zacinać:

— Tak... tak wygląda, kiedy naukową prawdę miesza się z przesadami... Tak wygląda rzetelność niektórych uczonych... Widział te waży, jak był studentem... na wycieczce w Berlinie. Tak pomylić... O mój Boże, tak się pomylić!

Czereja wybiegł za profesorem. Na pewno poniesie mu szklankę wody, aby patron mógł zażyć nasercowe krople. Finelli dyskutował zawzięcie z Sungajłą przyciszonym głosem, wymachując energicznie rękami. Sungajło tłumaczył mu coś cierpliwie. Z wyniosłą miną przysłuchiwał się temu Pedro Rodriguez.

— Oni gotowi pozabijać się o tę wagę i o swoje racje — mruknęła do mnie konspiracyjnie Helena Smogorowa.

— Ale przecież znów tak bardzo się nie kłócili zauważyła Iwona — tak sobie sprzeczali się. Gdyby pani usłyszała choć raz, jak kłócimy się czasami w teatrze, na próbach, albo o role!

— Każde środowisko, pani Iwono — pobłażliwa wyrozumiałość pani profesorowej nie miała granic — ma swoje zwyczaje, i swój, jak bym to nazwała, szyfr. Mój mąż denerwuje się tylko o głupstwa, albo o bardzo wielkie rzeczy. Kiedyś przy oponentach roztrzaskał unikalny garnek, o który toczono spór. Pani zdawało się, że spierają się zwyczajnie, ale ja znam się na tym; zaręczam pani, że co drugie słowo zawierało obrazę, jakiej się nie wybacza, równą śmiertelnemu ciosowi zadanemu w pojedynku. Tym, co oni sobie nawzajem mówili, można twierdzą wysadzić w powietrze... No, ale dość już tego. Pójdę trochę uspokoić męża. Myślę, że obejrzą sobie później już bez krzyku tę wagę i wszystko się wyjaśni. Mam nadzieję, że nie zepsują nam wieczornej zabawy. A teraz chodźmy przespać się przed balem.

Rozeszliśmy się wszyscy do swoich pokojów. Iwona położyła się z jakąś czarodziejską ziołową maseczką na twarzy, aby wieczorem pięknie wyglądać. To, co czynią kobiety, aby udoskonalić swą urodę, napawa mnie zawsze dreszczem zgrozy. Istne średniowieczne tortury. Nie mogłem na to patrzeć. Poszedłem więc, aby odwiedzić Anatola Dudę. Miałem

już dość opieki nad naszą niesforną gromadą i żywiłem nadzieję, że pod czułą opieką pani Marianny Puchałowej nasz kierownik ozdrowiał i obejmie swój posterunek bez dalszej zwłoki. Rzeczywiście czuł się lepiej. Podnieciła go też prawdopodobnie myśl o balu, na który, jak mnie zapewnił, pani Monika przygotowała dla niego szalowy strój.

Gdy szedłem na górę, natknąłem się w sieni na gospodarza „Sowiego Ucha”. Wracał może ze wsi, a może z lasu, z jakiejś dłuższej wyprawy. Sapał potężnie i cały był zaśnieżony. Z niepokojem spoglądał to na barometr, to na niebo.

— Zbiera się na wielki śnieg — mruknął z niezadowolaniem — a wiatr dmie już taki, panie święty, że aż w głowie dudni.

— Żeby tylko nas nie zasypało — zażartowałem — bo nie pozbędzie się nas pan aż do roztopów.

— Żeby to tylko — powiedział i umknął do siebie, jakby obawiając się, że będę go indagować, co znaczy to zaniepokojenie.

Gdyby nie późniejsze wydarzenia, wspominałbym ten wieczór doprawdy jako jeden z przyjemniejszych od wielu lat. Można by użyć określenia, które padło z ust Moniki Rosier poprzedniej nocy i powiedzieć, że na początku zapowiadał się wręcz romantycznie. Na dworze szalała zamieć i wichura, aż gwizdało w kominach i śnieżne zasy wystawały ponad parapety okien na parterze, ale my, zamknięci i izolowani od zewnętrznego świata w naszym skalnym gnieździe, nie odczuwaliśmy tego. Antek Ciołczyk, posłuszny matczynym rozkazom napalił jak należy; kaloryfery buchały ciepłem, na kominkach płonęły brzoszowe polana. Dla dodania nastroju w sali jadalnej paliły się świece zamiast lamp. Wielki dębowy stół odsunięto pod ścianę i zamieniono na bufet, pełen smakowitych zakąsek i trunków. Przy małych stolikach, w przytulnych zakątkach towarzystwo mogło swobodnie rozsiadać się i krążyć, dobierając dowolnie kompanów do zabawy. W sąsiednim salonie tańczyliśmy przy dźwiękach adaptera i radia.

Stroje udały się nad podziw. Talent Moniki Rosier, w połączeniu z zawartością walizek gości, lamusem pani Marianny Puchałowej i rekwizytami zdobytymi wśród

mieszkańców podzamkowej wsi, dał w efekcie barwne i pomysłowe widowisko. Niektórych idei dostarczyły autorce z pewnością nasze spory i rozmowy. Tak więc, doktor Wilhelm Schmuckdorf został królem Troi, Priamem w złotej koronie na głowie i wspianiałym purpurowym płaszczu; docent Adam Sungajło — Parysem w krótkiej, sfałdowanej spódnicy, imponującym hełmie na głowie, nagolennikach na kształtnych nogach, z tarczą w jednej i dzidą w drugiej ręce; Helena Smogorowa zaś — Heleną przez niego porwaną, piękną Heleną z racji swego imienia i urody pasującej do tej roli. Ja otrzymałem nominację na Zeusa. W ten sposób słusznie przypomniano, iż pan oraz sędzia bogów i ludzi do różnorodnych swoich obowiązków zaliczał także opiekę nad gośćmi i cudzoziemcami. Przemiany mojej postaci dokonano za pomocą dwóch zgrabnie upiętych prześcieradeł obszytych złotą tasiemką oraz przyprawionej brody, sporządzonej z frędzli starej portiery, Na głowie miałem złotą przepaskę, a w rękę trzymałem pęk piorunów z miedzianego drutu.

Dobrze się jednak stało, że nie wszyscy wywędrowaliśmy w odległe czasy starożytnej Grecji. Byłoby to nudne i monotonne. A zatem Iwona była Syreną, co jawnie sugerowała jej brokatowa szata, przypominająca rybią łuskę. Doktorowa Marta Schmuckdorfowa wybrała skromniejszy, bardziej stosowny ubiór; pożyczyła na wsi strój ludowy miejscowych kobiet. Wyglądała godnie i poruszała się w nim tak, jak gdyby oswojona była od dziecka z tymi wszystkimi usztywnionymi spódnicami, halkami, bufkami i koronkami. Monika Rosier w obcisłych czarnych rajtuzach, czarnym golfie i czarnej czapeczce na krótko ostrzyżonych niewidocznych spod przykrycia włosach, ucharakteryzowała się na diabła. Robert Stude został robotem — wykorzystano w tym celu nie tylko dużo pudełek, pomalowanych srebrną farbą, zwoje drutu i dwie latarki ręczne, ale także jeden z pancerzy ze zbrojowni. W ogóle kierownik Puchała w pewnym momencie zmiękł i dostarczył nam sporej części rynsztunku pod dwoma warunkami: że nic nie zepsujemy i że to on sam przyniesie nam wszystko osobiście. W dalszym ciągu nie życzył sobie, aby ktokolwiek

wchodził do zbrojowni. W tej chwili zresztą nikt z nas do tego się nie kwapił. Protegowanym okazał się Hubert Smogor i uzyskał nad nami wszystkimi przewagę; kto mógłby konkurować z rycerzem średniowiecznym, od stóp do głów zakutym w stal? Pizarro, zdobywca Peru — w życiu codziennym Pedro Rodriguez — na wspaniałą kabat, uszyty z resztek adamaszkowej narzuty, wdział również lśniący srebrzyście pancerz, przy hełmie powiewały mu długie, barwne kogucie pióra. John Black pełnił obowiązki pirata. Obmyślając dla niego ten strój Monika jako Francuzka dała widocznie upust wiekowej niechęci swego narodu do angielskich podbojów kolonialnych. Nasz angielski historyk przyjął jednak tę narzuconą mu rolę bez protestu i z dyskretnym humorem. Od czasu do czasu straszył tylko autorkę modelu długim nożem, wetkniętym za pas i groźnie łypał na nią jednym okiem, gdyż drugie zakryte miał czarną klapką na tasiemce, która opasywała głowę, obwiązaną czerwoną chustą. Mała Isabella jako Cyganka proponowała każdemu, że powróży mu z ręki. Anatol Duda rozbijał się jako turecki basza. Finelli wykorzystał ze zbrojowni kuszę, by uświetnić nią swój strój narodowego bohatera Szwajcarii — Wilhelma Telia. Marianna Puchałowa była średniowieczną burmistrzową. Jej mąż — Robinsonem. Symbolizował aluzję do swego trybu życia w górskiej samotni, z dala od ludzi. A Czereja — biedny, mały Czereja, na którego nigdy nikt nie zwracał uwagi, towarzyszył mu jako Piętaszek, pomalowany jakimś ciemnym smarowidłem, od którego odcinała się jaskrawymi kolorami mini-spódniczka którejś z pań, obszyta piórkami. Co to jednak znaczy grać całe życie drugie skrzypce w orkiestrze. Nikomu nie przyszło do głowy, aby mu zaproponować postać Priama, Zeusa, rycerza czy wielkiego zdobywcy. Albo chociażby tureckiego baszy. Zdarzają się ludzie, jakby rzeczywiście urodzeni na giernków.

Wstyd powiedzieć, ale szaleliśmy jak dzieci. Świadomi, iż żadne krytyczne oko nie śledzi naszych poczynań, wygłupialiśmy się bez skrępowania i żenady. Bawiliśmy się w chowanego, goniliśmy się po salach i korytarzach, graliśmy w fanty, Puchała, Smogor i ja zrobiliśmy pokaz klasycznego

mazura, żeby udowodnić młodszemu, iż nie tylko twist i lets kiss wymagają herkulesowej kondycji. Pirat John Black kokietował kobiety frywolnym tatuażem na ramionach i porywał wszystkie panie po kolei, uprowadzając do sieni i przykuwając do poręczy schodów grubym łańcuchem, który służył kiedyś chyba do wyciągania wiadra ze studni. Na posadzce sieni widniał wielki napis: Pacyfik, a na schodach, przedstawiających aktualnie statek piracki powiewała czarna flaga z trupa czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Okręt nazywał się „Hades” i branke można było wykupić tylko za tęgi kielich starki. Król Priam tańczył popisowo polkę z piękną Heleną, nawet Piętaszek tak się rozruszał, że bez opowiadania się panu profesorowi, pocałował w policzek brazylijską Cyganekę Isabelle.

Nikt nie wiódł naukowych sporów, nikt nie sprzeczał się o wagę króla Priama. Jeśli ktoś żywił do kogoś urazę — wybaczył. O niechęciach zapomniano. Porachunki spisano na straty.

Tak mi się w. każdym razie wydawało. Piliśmy tego i uwierzyłem, że być może rzeczywiście alkohol posiada czarodziejską moc rozpraszania złych humorów.

Jeszcze jedno złudzenie starszego pana, który z wyszukiwania w ludziach dobrych cech, mających zrównoważyć ich grzechy uczynił sobie zawód i życiowe hobby. Obrońca! Śmieszne. Przed nikim i przed niczym nie udało mi się tej nocy obronić tych, na których czyhało niebezpieczeństwo. Ba, nawet sam siebie nie potrafiłem obronić przed zwątpieniem.

Zwiedziony pozorami beztroskiej zabawy, zapomniałem o tym, że alkohol nastraja nie tylko wesoło, ale też czasem agresywnie.

Na balu maskowym — jak to na balu. Po północy zaczynają pękać baloniki, więdnąć kwiaty przypięte do sukien, makijaż na twarzach kobiet jest już tylko makijażem i to wymagającym retuszu, tu jakaś część stroju się oderwie, ówdzie ukaże się rąbek podszewki, demaskujący pozory. Kolombina chce już tylko spać, Arlekin po pijanemu odgraża się, że wygarnie nazajutrz swojemu przełożonemu naga prawdę w oczy...

Tak też i nasze wesołe szaleństwo zaczęło po pewnym czasie

przygasać. Ujawniał się drugi nurt, odsłaniało się drugie dno, jak w walizce przemytnika. Spoza zabawy zaczęła prześwitywać prawda. Wydało mi się nawet, iż ci ludzie, wciąż jeszcze dziwacznie postrojeni, wciąż jeszcze nosząc na twarzach maski i przyłbice, w pewnych chwilach przejawiają więcej szczerości niż za dnia, kiedy nikt z nich nie był przebrany, nie był ani Parysem, ani królem Priamem, ani diabłem, ani Syreną, lecz uczonym, krawcową, aktorką; iż okazują dopiero teraz prawdziwe twarze, prawdziwe intencje, skrywane za dnia pod istniejącą choć niewidzialną maską dwulicowości.

Musiałem tak myśleć, gdy docierały do mnie urywki zdań, strzępy uwag, fragmenty rozmów.

Wybiła północ.

— No i cóż, królu Priamie, łaskawy ojcze, który mnie, swego biednego syna Parysa kazałeś wynieść jako niemowlę w góry i porzucić na zatracenie... Nie wstyd ci?

— Decyzja była słuszna, a pastuch głupi, że jej nie wykonał. Bogowie ostrzegli Hekabe we śnie, że urodzi głownię, od której spłonie Troja.

— Trudno, bywają wyroki losu, przed którymi nie sposób się obronić, panie doktorze Schmuckdorf! Żadnym podstępem.

— Co pan ma na myśli, panie docencie?

— Pańską tajemnicę. Odkryłem ją.

— Nie radzę skorzystać.

— Lubię ryzyko. Spróbuję.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że ten fragment był równie ważny jak inny jeszcze, który musiałem później dopasować do całości.

— Proszę nie sądzić, że się cofnę — powiedział Rodriguez-Pizarro do Sungajły.

— Wiem o tym — odpowiedział ozięble Parys, trącając się kieliszkiem starki z pogromcą Inków.

I następne, wtedy ledwo zwracające uwagę, urywki:

— Słyszałam kiedyś, kiedy byłam jeszcze bardzo młoda — miękko, z niewinną intonacją wypowiedane słowa dziwnie brzmiały w ustach czarnego diabła — zdanie pewnego znakomitego uczonego. O polityce. Mówił mi, że uczone nie

powinien wtrącać się do polityki.

— Może ten uczony wtedy mylił się — zawyrokował król Priam, z lekkim ociąganiem się. Powiedział to tak, jak gdyby przeproszał. Doktor Schmuckdorf przeproszał, ale czynił to niechętnie.

— Za takie pomyłki płaci się życiem — odparował francuski diabeł i odszedł, aby dla żartu trącić w bok widłami Pizarra.

Czy diabeł może mieć na imię Monika? Ciekawe.

— Już mnie nie kochasz — szeptała ze smutkiem mała czarnowłosa brazylijska Cyganka do płocheo Parysa.

— Przysięgam ci, Isabello... Jak tylko zakończę tę sprawę, będziemy już zawsze razem — na dowód prawdy tych słów piękny chłopiec przycisnął rękę do piersi, na której nie było już pancerza. Trudno w czymś takim tańczyć twista.

Zmienił tylko imię, ale nic ze słów i intonacji, kiedy w chwilę później i w innym miejscu powtarzał to samo zdanie:

— Przysięgam ci, Heleno... Jak tylko zakończę tę sprawę, będziemy już zawsze razem.

— Zakończysz tę sprawę dziś...?

— Tak.

— I tamtą drugą sprawę też. Z Isabellą.

— One się łączą.

— Pamiętaj. Ja jestem na wszystko zdecydowana. Mam dość wszystkiego. I nie mam nic do stracenia.

Żółty peplos, ułożony misternie w drobniutkie fałdki, przepasany złotym sznurem, rozwiewający się przy każdym ruchu jak za podmuchem wiatru i ukazujący silne, białe ramiona, nie odszedł: odpłynął w głąb korytarza i zrobiło się ciemniej; tak bywa gdy słońce schowa się za chmurę.

Tuż przy moim uchu syczał czyjś głos pełen prawdziwej namiętności, tym głębszej, że płynęła ona ze starannie na co dzień skrywanej zawiści:

— O tak... tak. Tu jedna, tam druga. A może jeszcze być i trzecia. On wszystko w życiu chciałby mieć na raz, za jednym zamachem. I wszystko mu się udaje, układa. Razem studiowaliśmy. Na jednym roku. Psim swędem egzaminy poskładał, docenturę dostał. Sztukmistrz, czaruś. A przecież

połowy tego nie umie, co ja...

Pirat włóczy się za Wilhelmem Tellem, czyżby zamierzał zamustrować go na swój statek? Król Priam demokratyzuje się do tego stopnia, że wchodzi w tajemnicze konszachty z Antkiem Ciołczykiem, który krąży od kominka do kominka i poprawia w paleniskach dogasające już kłody. Basza, czyli Anatol Duda, kiwa się sennie na kanapce pod oknem w objęciach robota. Rycerz stoi wsparty o framugę; stracił jakoś animusz. Spod uchylonej przyłbicy błyskają od czasu do czasu czujne oczy, bacznie obserwujące wszystko, co się dookoła dzieje.

A oto ta trzecia, o której wspominał Piętaszek-Czereja; światło jeszcze nie zgasło, więc widzę z daleka postacie, ale słyszę, jak gdyby rozmawiano tuż przy mnie:

— Iwono, czy naprawdę nie możesz mi tego zapomnieć? Nie bądź niemądra. Wiesz, że umiem być miły.

— Nie. Nie mogę zapomnieć i nigdy nie zapomnę.

Idę przed siebie. Sam nie wiem, dokąd niosą mnie nogi. Błąkam się po jakichś korytarzach.

Kiedy gaśnie nagle światło, nie mam pojęcia, gdzie się znajduję. Nie ma okien w tym pomieszczeniu. Nie pomagają pioruny z miedzianego drutu, przytwierdzone do ramienia. Macam ścianę, wreszcie trafiam na otwór. Drzwi. Znów korytarz. Przede mną coś jaśnieje. Uchylone drzwi do kuchni. A więc zabrnąłem do gospodarskiej części budynku, w pobliże mieszkania Puchałów. Natykam się po ciemku na kogoś, kto wyłania się przede mną nagle, jakby wyrósł spod ziemi. To Finelli, poznaję po głosie. Tłumaczy się, że zablądził tak jak ja, o mało nie spadł do piwnicy. Wspieramy się wzajemnie w wędrówce ku jadalni. Moja szata Zeusa nie posiada schowków na papierosy i zapalki. Wilhelm Tell powinien mieć przynajmniej hubkę i krzesiwo. Tego nie nosi przy sobie, ale za to wyposażony jest w mikroskopijną, lecz dającą silne światło, latarkę. Zaczynam biec. Sam nie wiem dlaczego. Jestem czymś przerażony. Zupełnie tak, jak gdybym usłyszał ten krzyk, zanim jeszcze rozległ się rozczłonkowany przez echo i rozniesiony po wszystkich zakamarkach. Jakby ktoś lustro rozbił i porozrzucił

na wszystkie strony jego ostre odłamki.

I znów złudzenie. Jak w cudacznym śnie. Okazuje się bowiem, że krzyczał ktoś wcale nie daleko, ale blisko nas. Kilka jeszcze kroków i natykamy się na bezwładne ciało, leżące na ziemi.

— Trup! Trup! — wrzeszczy histerycznie Finelli i chce uciekać, ale łapię go za połę skórzanej kurty i nie puszczam.

Każę mu poświecić. Pochylamy się nad tym, co leży tuż przy naszych nogach, na środku korytarza, prowadzącego z gospodarskiej części gmachu do wejściowej sieni.

To jednak nie jest trup. Posyłam Finellego do kuchni po szklankę wody. Potrząsani łagodnie tęgim ciałem. Trochę zimnego płynu — i pani Józia Ciołczyk otwiera oczy. Pomagamy jej wstać.

— Po prostu zemdląła — wyjaśniam Finellemu — musiała przestraszyć się, że tak nagle zgasło światło.

Pani Józia nie rozumie po francusku, ale z tonu mojego głosu wnioskuje widocznie, że usiłuję pomniejszyć jej przeżycie. Pochyliła się, podnosi z podłogi upuszczoną świecę, która zgasła podczas upadku i mówi głosem, w którym miesza się lekkie drżenie, odbicie dopiero co przeżytego strachu i nagana pod moim adresem, bo co taki elegancki pan z miasta może wiedzieć o duchach, nawiedzających stare zamczyska górskie:

— Jakby tak pan zobaczył.. Ciekawam, czy by pan nie zemglał też.

— A cóż takiego pani zobaczyła, pani Józiu? — zainteresowałem się współczująco.

— Wilhelma-Diabła. Czarnookiego.

— Kiedy? Teraz?

— Ano, ano. Jak światło zgasło, wzięłam świecę, żeby do stołowego zanieść. Idę ja z zapaloną świecą, a tu idzie se. Przez sień. Prosto na mnie. Akuratnie teraz jego czas. Dziesięć lat temu pan Bukar nieboszczyk go widział, to w tem roku musiał przyjść. On swój czas zna.

Nie miałem cierpliwości do wysłuchiwania tych bredni. Popchnąłem lekko panią Ciołczykową, nie mającą zamiaru ruszyć ani kroku dalej:

— Pójdziemy we trójkę. Jak jest więcej osób, to duch pewnie się nie pokazuje, on tłoku nie lubi. Idziemy, pani Józiu, idziemy, panie Finelli...

Kiedy znaleźliśmy się w sieni, zwątpilem jednak w mój rozsądek. Raczej byłem skłonny przyznać słuszność irracjonalnym teoriom pani Józefy Ciołczyk. Drzwi wejściowe stały szeroko otworem. Wiatr wpychał przez nie kłęby śniegu. Czy duch nie potrafi przenikać przez zamknięte drzwi? Czy musi je sobie otworzyć, żeby pójść na wieżę do swojej pięknej burmistrzowej, nieszczęśliwej branki? Podbiegłem, aby zamknąć drzwi, lecz zanim to uczyniłem, stanął w nich rycerz. Podobny był do portretu w ramie. Tak musiał wyglądać chyba naprawdę legendarny założyciel rodu Dornów. Wśród śnieżnej zawiei, w półmroku, rozjaśnionym tylko świeczką, dopalającym się ogniem na kominku i skośnym promieniem latarki, nie przypominał w niczym żywego człowieka, którym niewątpliwie był, ale ducha z opowieści gospodyni.

— Niech pani znów nie zemdleje — powiedziałem twardo — to nie duch. To pan profesor Hubert Smogor. Czy coś się stało, panie Hubercie?

Smogor zbliżył się w moją stronę krokiem tak nienaturalnie sztywnym, jak gdyby to nie Robert Stude, amerykański wielbiciel Moniki Rosier, ale on był bezdusznym robotem.

Uniósł przyłbicę, która źle zamocowana czy obluźwana ze starości, stale spadała mu na twarz. Jego oczy miały dziwny wyraz. Nie było w nich ani zwykłego wyniosłego chłodu, ani zaciętrzewienia, jakie okazał podczas sporu z Schmuckdorfem. Należały do człowieka, który się załamał.

— Tam... — powiedział drewnianym głosem, wyciągając ramię za siebie, w kierunku frontowych drzwi — na dworze... pod oknem zbrojowni leży trup.

Tym samym krokiem, sprawiającym wrażenie, że poruszanie się przyprawia go o wielki ból, pokonał przestrzeń, dzielącą go od zydła. Był to ten sam zydeł, na którym odpoczywała poprzedniego dnia Helena Smogorowa, zmęczona błędzeniem wśród zamieci. Usiadł ciężko i widać było, że żadna siła nie zdoła ruszyć go z miejsca.

Finelli na pewno nie był trupem, o którego chodziło profesorowi, ale bladością twarzy chyba się od niego nie różnił. W oczach miał obłądny strach, a ręce drżały mu jak w febrze. Słabe nerwy mają dzisiejsi mężczyźni, pomyślałem, i nie zastanawiając się długo, przywołałem na pomoc panią Józję:

— Duchów się pani boi, ale nieboszczyków chyba nie. Chodźmy, proszę zarzucić sobie coś na ramiona.

Zdałem sobie sprawę, że teraz już muszę bardzo śmiesznie wyglądać w moim przebraniu. Odpiąłem brodę, cisnąłem w kąt miedziane pioruny, na nogi wsunąłem długie gumowe buty gospodarza i narzuciłem pierwszą lepszą z brzegu kapotę, wiszącą na wieszaku. Odebrałem od Finellego latarkę i walcząc z wichurą zacząłem przedzierać się przez zasy.

To nie było daleko. Dokładnie w tym samym miejscu opalałem się przed południem. Wydało mi się ono jednak zupełnie inne. Rano panowała tu sielanka, przyroda była dobrotliwa i przychylna ludzkiemu odpoczynkowi. Teraz żywioł dawał do zrozumienia, że potrafi być równie okrutny i wrogi jak przyjazny. Wirujący w podmuchach wiatru śnieg stwarzał mylne wrażenie, zupełnie jak współczesny styl malarski op-artu: dawał złudzenie, że to ciemność wiruje dookoła, nie zaś biel. Wszystko znajdowało się w ruchu: niebo, powietrze, drzewa, i nawet niewzruszona — tak by się zdawało — ziemia, z której podmuch raz po raz podrywał płachty śniegu i popychał je ku górze na spotkanie z białą chmurą pędzoną w dół. Wyglądało to tak, jak gdyby ziemia wrywała się nam spod nóg i miała zamiar pofrunąć w niebo. Jedynym punktem nieruchomym wśród tej piekielnej zamieci był ciemny kształt, spoczywający bezwładnie o kilka kroków od ściany zameczku; ten jedyny stały punkt oporu przyciągał wzrok, zmęczony widokiem śnieżnej karuzeli, stanowił dla oczu pewien rodzaj ulgi. Wszystko kręciło się dookoła niego, jak gdyby w tym miejscu zaczynała się i kończyła zamieć. Jak gdyby stanowił oko cyklonu.

Wydawało się, że odpoczywał, podobnie jak ja to robiłem w tym samym miejscu w blasku słońca. Leżał na wznak, z jedną ręką podwiniętą pod głowę. Oczy miał szeroko otwarte. Ktoś

mógłby pomyśleć, że wpatruje się intensywnie w czyjaś twarz, wychylając się ku niemu z okna zbrojowni, albo tylko po prostu w to otwarte na roścież okno, dziwiąc się, komu taki głupi pomysł przyszedł do głowy, aby w środku zimy, podczas zamieci, w ten sposób wietrzyć pokój. Przy upadku płaszcz, który miał na sobie, piękny zamszowy płaszcz z ciepłą podpinką, należący do Pedra Rodrigueza, rozchylił się. W całej okazałości swej pięknie zbudowanej postaci, w krótkiej spódniczce, skąpo przykryty na piersiach kawałkiem niebieskiej draperii, leżał zabity Parys.

Śmierć nastąpiła bardzo niedawno, krew wyciekająca z rany na czole krzepła wprawdzie na mrozie, lecz jeszcze się sączyła, roztopiając śnieg dookoła głowy i barwiąc go na czerwono.

Kłęknałem przy Sungajle, aby dla pewności sprawdzić jeszcze puls. Pani Józia uznała ten odruch za gest pobożności. Nie krzyczała ze strachu, nie uklękała, nie dostrzegłem, aby przeżegnała się choćby ukradkiem. Powiedziała ostro:

— liii, co mu tam po pacierzach. Ani mu ziemia będzie lekka, ani do nieba nie trafi. Pan mecenas z łaski swojej niech go weźmie pod pachy, a ja za nogi.

Podniosłem się. Trudno było w mroku dojrzeć wyraz twarzy tej kobiety.

— Chwileczkę, pani Józiu. Niech się zastanowię. Nie możemy go tak sobie, zwyczajnie stąd zabrać do domu. Będą potem pytać, jak znaleźliśmy ciało, gdzie leżał, w jakiej pozycji. Muszę tu zrobić znaki.

Wsadziłem rękę w lodowatą zaspę i wyciągnąłem suchą gałąź. Wetknałem w śnieg w miejscu, gdzie leżała głowa. Potrzebny był mi jeszcze jeden patyk, aby zaznaczyć pozycję ciała. Pociągnąłem za coś ciemnego, co wystawało ze śniegu nie opodal drugiej ręki zabitego, odrzuconej na bok. Nie był to jednak zwykły patyk, czy sporej długości uschnięta gałąź. Trzymałem w ręku myśliwską strzelbę. Taką samą jak ta, z której przed południem w moich oczach, ale nieświadomy mojej obserwacji, Robert Stude zastrzelił gawrona. Nie szukałem już dłużej suchych gałęzi. Ułamałem bezlitośnie dolną gałąź świerczka i zamocowałem ją w zaspie, która zdążyła

się nagromadzić przy nogach ofiary — nie wiedziałem jeszcze w tym momencie: zabójstwa, nieszczęśliwego wypadku, czy może samobójstwa.

W sieni zastaliśmy już więcej osób, niż tam zostawiliśmy. Może zaalarmował je Finelli, a może zbiegły się same, dosłyszawszy zamieszanie. W kostiumach, z zapalonymi świecami w rękach, wyglądały jak niesamowita procesja albo uczestnicy jakiegoś pogańskiego obrzędu.

Zgroza. Tym jednym wyrazem można określić nastrój, jaki ogarnął zgromadzonych. Poszukałem wzrokiem Iwony. Nie mogła się domyśleć, że niechcący dwa razy stałem się świadkiem jej rozmowy z Sungajłą. Gdyby o tym wiedziała, postarałaby się na pewno ukryć ulgę, która złagodziła jej rysy twarzy i przywróciła mi moją dawną, pogodną żonę. Helena Smogorowa potrafiła lepiej panować nad swoimi uczuciami. Ani rozpacz, ani satysfakcji. Zrezygnowana, bardzo spokojna, położyła dużą, ale ładną rękę na naramienniku pancerza Huberta Smogora. „Jestem przy tobie” — mówiła mu tym opiekuńczym, poufałym, pocieszającym gestem. Nikt natomiast nie dodawał otuchy małej Isabelli. Długie, czarne włosy splecione i spływające w nieładzie po pstrym szalu nadawały jej drobnej postaci piętno tragedii. Płakała głośno i rozpaczliwie, jak płaczą skrzywdzone dzieci, rozmazując małymi piąstkami po policzkach tusz, czerniący jej piękne, gęste rzęsy.

Wszystko odbywało się zupełnie jak w teatrze. Tak moglibyśmy odgrywać „Dziady”. Z małego tłumu wystąpił naprzód Jan Puchała, sprawiający przez wywinięty futrem na wierzch kozuch barani, ubiór Robinsona, wrażenie jeszcze wyższego i cięższego niż był w rzeczywistości. Trzymał wysoko świecę, oświetlając jej chybottliwym płomieniem leżące przed nami na kamiennej posadzce ciało. Nikt by się nie dziwił, gdyby zaczął w tej chwili recytować: „Ciemno^ wszędzie, glucho wszędzie”, ale on tylko milczał wpatrując się z bezbrzeżnym zdumieniem w przestrzelone w samym środku wysokie gładkie czoło docenta Adama Sungajły. Teraz bowiem, przy świetle, gdy obmyśliśmy krew, mogłem już powiedzieć bez ryzyka

popętnienia omyłki: ten człowiek został zastrzelony. I to dziwnym trafem ze strzelby, która leżała w zasięgu jego ręki, chociaż charakter rany wskazywał, że strzał oddany został z odległości co najmniej dziesięciu metrów. Moje wnioski i obserwacje potwierdzili zarówno Anatol Duda jako stomatolog znający się na anatomii, jak i kierownik Puchała, z łowiectwem i wszelkiego gatunku bronią myśliwską obznajomiony od dziecka.

— W czasie polowania na dziki matka mnie urodziła. W lesie. Lubiała polować, a strzelała lepiej niż niejeden chłop. Do domu nie pozwoliła się nawet zawieźć, żeby nagonki nie przerywać — opowiadał nam ze śmiechem jeszcze poprzedniego wieczora.

— Trzeba zadzwonić po milicję — zwróciłem się do Puchały.

Wzruszył ramionami:

— Nic z tego. Urząd pocztowy, który nas łączy, nieczynny o tej porze. A zresztą, nie przysięgłbym, czy druty nie zerwane. W taką zamieć!

— No to posłać kogoś do wsi... — pierwszy raz od dramatycznej sceny na progu sieni odezwał się profesor Smogor.

— Panie, a któż pojedzie na nartach, czy pieszo pójdzie na dół w taką zawieruchę?! Drogę zasypało, bokiem osypiska... Byłby zaraz drugi nieboszczyk.

Kilka osób podtrzymało sprzeciw Puchały wobec propozycji profesora Smogora. I tak Sungajle nikt i nic już nie pomoże. Trzeba poczekać do rana. Białe piekło uwięziło nas w swoim wnętrzu. Zakpiło z nas. Przekorny reżyser zapowiadał komedię, pokazał dramat.

Teraz dopiero zorientowałem się, że nie jesteśmy wszyscy w komplecie. Brakowało Moniki Rosier, Rodrigueza, Wilhelma Schmuckdorfa, Johna Blacka i Roberta Stude. Gdzie są? Czy poszli spać, zniechęceni brakiem światła, czy zabłądzili po ciemku jak ja, i nie dotarły do nich odgłosy zamętu?

A w ogóle: skąd padł strzał? Kiedy? Czy doprawdy nikt go nie słyszał? I dlaczego okno w bibliotece stoi otworem? Może niesłusznie podejrzewam Huberta Smogora o to zabójstwo? Zdałem sobie bowiem w tym momencie sprawę, że przez cały czas spoglądam na postać — jeszcze dziś przy obiedzie i jeszcze

podczas balu tak imponującą, teraz zaś skuloną żałością na zydłu — jako na zabójcę rywala. Rywala na polu zarówno naukowym, jak i w płaszczyźnie spraw osobistych.

Spojrzałem po obecnych. Ktoś musi się tym wszystkim zająć, ale kto? Na pewno nie Anatol Duda, trzęsący się i ocierający pot z czoła. Nawet Jan Puchała, zdawałoby się wcielenie energii i zaradności, nie przejawiał najmniejszej inicjatywy. Więc chyba ja. Nie miałem wcale chęci, lecz dalszy przebieg wypadków dosłownie wepchnął mi batutę do ręki. Właśnie na moje polecenie pani Józia Ciołczyk przykrywała ciało Sungajły obszernym prześcieradłem, a towarzystwo zaczęło przechodzić do jadalni, gdy zjawił się jeden z naszych nieobecnych dotychczas towarzyszy. Czarną klapkę, przesłaniającą mu jedno oko zsunął na czoło, w zębach zaciskał wygasłą fajkę. John Black, pirat, zmierzał prosto w moim kierunku.

— Ooou, mister Zamorski... Tak bardzo mi przykro. Ale pan musi pójść do zbrojowni. I pani Schmuckdorf. I... i mister Finelli, też.

Popatrzyłem na niego z osłupieniem. Cóż to za nowa historia? Na co mu Schmuckdorfowa, po co Finelli?

Ale John Black widocznie wiedział, co robi. Poprosiłem, aby nikt nie opuszczał jadalni. Dopilnowanie, aby moje polecenie było przestrzegane, powierzyłem Puchale. John Black szedł przed nami przodem, przyświecając latarką. Byłem ogromnie ciekaw, co odkrył, czy też chciał nam pokazać.

Promień latarki oświetlił wreszcie cel naszej wędrówki. Zamknięte drzwi zbrojowni, a przed nimi, jak na straży, dwie postacie: Moniki Rosier i Roberta Stude. Czarny diabeł i robot strzegli tajemnicy, która kryła się za drzwiami.

— Prosiłem państwa, żeby popilnowali. Żeby tu nikt nie wszedł — wyjaśnił lakonicznie John Black i nacisnął klamkę.

Pamiętałem, że poprzedniej nocy drzwi te zamknął Jan Puchała i klucz schował do kieszeni, a jeśli był tu rano z Sungajłą, to też chyba nie zaniedbał powtórzenia tej czynności. Ku mojemu zdumieniu drzwi jednak ustąpiły i znaleźliśmy się w zbrojowni.

Niewiele światła dawały nasze świece, wspomagane przez

latarki Blacka i Finellego, ale wystarczyło go, abyśmy mogli dojrzeć leżącą tuż koło otwartego okna postać.

Marta Schmuckdorf rzuciła się z krzykiem i objęła leżącego ramionami. Odsunąłem ją łagodnie i pochyliłem się. Po raz drugi tej nocy "kłęczałem przy zwłokach. Król Priam nie żył bowiem, co nie ulegało żadnej wątpliwości. Misterna korona z pozłacanej tekturki poniewierała się obok. W piersi doktora Wilhelma Schmuckdorfa tkwił długi sztylet i nie była to jedyna rana, którą mu zadano. Ten piękny sztylet jeszcze wczoraj mogliśmy podziwiać wśród kolekcji broni, rozwieszanej na ścianach zbrojowni. Pod nogą coś mi chrupnęło. Black skierował w to miejsce światło latarki. Dookoła zwłok leżały rozsypane odłamki sowiej wazy. Jej miejsce w gablocie świeciło pustką.

Przez otwarte okno wiatr wpychał do sali tumany śniegu. Na parapecie zebrała się już spora warstwa świeżego puchu. Zanim wyjąłem chusteczkę z zanadruza mojej fałdzistej szaty Zeusa, aby zamknąć okno, nie zacierając ewentualnych śladów pozostawionych na framudze czy kłamce przez kogoś, kto okno to otworzył, wyrzałem na dwór. Zabrałem Finellemu latarkę i skierowałem jej światło w dół. Poprzez ruchliwą zasłonę śniegu żółty krążek wydobył z mroku ciemniejsze wgłębienie między dwoma małymi świerczkami i wbity przeze mnie kołek oraz świerkową gałąź. Śnieg nie zdążył ich jeszcze przysypać. Dokładnie wskazywały miejsce, w którym zginął Adam Sungajło. Niewątpliwie strzał mógł paść z tego okna, kiedy stojący na dole docent uniósł głowę do góry, patrząc na tego, kto znajdował się w zbrojowni.

Dziesiątki wniosków, dziesiątki pytań kotłowały się w mojej głowie. Jestem jednak zwolennikiem faktów. A fakty to między innymi przedmioty. Do nich na przykład zaliczyć musiałem mocną linkę, przytwierdzoną do kłamki okna i zwisającą luzem na zewnątrz. Wciągnąłem ją ostrożnie do środka i zamknąłem okno. Zrobiło się spokojniej, ciszej, nawet tak cicho, jak zazwyczaj bywa w pokoju, gdzie spoczywa zmarły. Marta Schmuckdorffowa po pierwszym wybuchu rozpaczy siedziała w fotelu, który przysunął jej Stude. Milczała; suche oczy przykryła

powiekami; skrzyżowała ręce na kolanach, jak to czynią często zrozpaczone wiejskie kobiety — wtedy, gdy żadna czynność ich spracowanych rąk nie jest już w stanie zapobiec złu, które się stało. To wrażenie potęgował jeszcze strój, jaki pani Marta nosiła. Świąteczny strój miejscowej wieśniaczki.

Musiałem, niestety, zakłócić to milczące skupienie, któremu poddali się również Monika, Stude, Finelli i John Black. Trzeba było działać. Trzeba było choćby pobieżnie obejrzeć salę, niczego nie zmieniając w położeniu znajdujących się w niej sprzętów i przedmiotów.

Co się tu zmieniło, co wyglądało inaczej, niż wczoraj?

Jak zdołałem zauważyć przy mdłym świetle — sporo Pan Jan Puchała, dostarczając nam rekwizytów do maskarady, wprowadził nie lada zamieszanie w pięknych zbiorach. Manekiny, z których zdjęto dla nas zbroje, leżały pod filarem ułożone jeden przy drugim. Sprawiało to niesamowite wrażenie: ktoś mógłby pomyśleć, że odbyła się tu bitwa i obdarte z przyodziewku zwłoki rycerzy przygotowano do zbiorowego pochówku. Na ławie między oknem i gablotą, z której wyjęto sowią wazę, leżały w nieładzie strzelby, użyte przy porannym polowaniu przez ekipę profesora Smogora. Na ścianach brakowało kilku eksponatów. Trudno mi było stwierdzić, czy były to właśnie te, które zdobiły nasze maskaradowe stroje. Ustalenie tego szczegółu pozostawiłem na później.

Finelli i Robert Stude na moje polecenie przeszukiwali kąty sali, tonące w zupełnym mroku. Może tam gdzieś skrył się morderca? Szukali jednak na próżno. Finelli pozaglądał nawet manekinom pod przyłbice. Sprawca podwójnej zbrodni skrył się bez śladu.

— To bardzo interesujące — odezwał się w pewnym momencie naszych poszukiwań John Black. Przywołał mnie ruchem ręki do siebie. Stał przy gablocie i wskazywał mi palcem zamek. Nie lubił tracić słów na darmo, uważał, że powinienem się i tak domyśleć, o co mu chodzi.

Chodziło mu zaś o to: w jaki sposób waza znalazła się poza gablotą, skoro ta była zamknięta i żaden z kluczy nie wskazywał

na to, by ją dopiero co otwierano. Nie widać było również śladów żadnego włamania. Tu klucza brakowało, za to w drugim miejscu inny klucz niepokoił swoją obecnością. Klucz, którym poprzedniej nocy kierownik Puchala zamykał zbrojownię, pamiętałem dobrze. Pan Jan zanim włożył go do kieszeni, pozwolił nam przez chwilę podziwiać misternie wykute kółko. Stara robota tutejszych kowali — powiedział. Ten, tkwiący teraz w drzwiach zbrojowni i to nie od zewnątrz, lecz od wewnątrz, jak gdyby go ktoś celowo przełożył, zamierzając zamknąć za sobą drzwi, by nikt nie przeszkodził temu, co się będzie w zbrojowni działo, był zupełnie nowy. Grube, szorstkie kółko bez żadnych ozdób świadczyło o niedbałej i pośpiesznej robocie.

Ująłem klucz przez chusteczkę, przełożyłem na zewnątrz i poprosiwszy wszystkich, by poszli za mną, przekręciłem, po czym wyjąłem z zamka i zabrałem ze sobą. Poprzednio, gdy ubiegłej nocy zwiedzaliśmy zbrojownię i przed chwilą, gdy prowadzony przez Blacka spieszyłem na oględziny, nie zwracałem uwagi na rozplanowanie korytarzy i pomieszczeń, do których wiodły. Teraz wszystko mogło być ważne. Zanotowałem więc, że korytarz prowadzący do zbrojowni w pewnym miejscu załamuje się pod kątem prostym. Za tym zakrętem, oprócz wejścia do zbrojowni widniały jeszcze jedne drzwi. Otworzyłem je i poprosiłem Blacka, by mi poświecił. Zobaczyłem schody. Część ich biegła w dół, część do góry. Nie wiedziałem, że od moich współtowarzyszy uzyskam na ten temat informację.

— Te na dół prowadzą do piwnicy — powiedział Black.

— Te w górę na korytarz, łączący się ze skrzydłem, gdzie mieszczą się nasze sypialnie — wyjaśnił Finelli.

Rzeczywiście, przypomniałem sobie małe drzwi w końcu naszego korytarza. Nie przyszło mi dotychczas do głowy, by zajrzeć, co się za nimi kryje. Myślałem po prostu, że to jakiś schowek gospodarzy na szczotki, ścierki i tym podobne rzeczy. Ale skąd oni o tym wiedzieli?

— Odkryłem to przejście przypadkowo dziś rano — mówił Finelli, starając się intonacją dać mi do zrozumienia, że nie

należy do tego faktu przywiązywać żadnej wagi — myślałem, że mieści się tam dodatkowa, przepraszam - ubikacja.

John Black nie uważał za wskazane tłumaczyć się. Jak to Anglik. Wszystko, co robi, traktuje jako naturalne i zrozumiałe samo przez się. Co komu do tego. Uzupełnił tylko swoje wyjaśnienie:

— W tej budzić jest kilka zejść do piwnicy. A ta piwnica to też ładny labirynt.

Gdy znaleźliśmy się już wszyscy w jadalni, uznałem za stosowne poinformować zebranych o tym, co zaszło:

— Proszę państwa. Proszę mi wierzyć, jestem do głębi wstrząśnięty tym, co muszę wam powiedzieć. Tej nocy popełniono w tym domu podwójne morderstwo. Jedną ofiarą jest mój rodak, docent Adam Sungajło, drugą, nad czym jeszcze bardziej ubolewam, nasz gość, doktor Wilhelm Schmuckdorf. Przede wszystkim chcę publicznie w imieniu nas wszystkich wyrazić najgłębsze współczucie małżonce doktora, pani Marcie Schmuckdorfowej. Oczywiście, z samego rana, gdy tylko to będzie możliwe, zawiadomimy odpowiednie władze o tym, co zaszło.

— Do tego czasu sprawca pozaciera różne ślady — zauważył John Black.

— To możliwe — zgodziłem się.

— I każdy będzie pamiętać inaczej, co i jak się działo — wtrąciła się znienacka Iwona. Co to jednak znaczy, być żoną sądowego obrońcy. Opowiadałem jej widocznie zbyt często i wiele o niezgodnościach w zeznaniach świadków.

— Panie mecenasie — błagalny głos Anatola Dudy świadczył o jego pełnym upadku ducha — taki skandal! Cudzoziemiec z naszej wycieczki... Ja rozumiem, inaczej nie można... to znaczy, musi być milicja, prokurator, i tak dalej... Ale przesłuchanie... To będzie okropne dla państwa, dla nas wszystkich...

— A jak pan to sobie wyobraża? — spytałem surowo. — Od tego są władze, czuwające nad porządkiem publicznym. Cudzoziemiec czy swój, kto zabił, będzie wykryty. Czy pan ma jakąś inną koncepcję?

Moje złośliwe pytanie nie speszyło jednak naszego nie-

fortunnego pilota wycieczki:

– Najlepiej byłoby, gdyby pan.

– Co, ja?

– Gdyby pan rozwikłał tę sprawę. Wykryje pan sprawcę, milicja go zabierze i koniec, kropka.

John Black orientował się widocznie z tonu tej wymiany zdań, o co chodzi. Poparł Dudę.

– Mister Zamorski... o ile się nie mylę, pan jest prawnikiem. Adwokatem. Możemy nieobowiązująco spisać to, co każdy z nas wie. To ułatwi dochodzenie. I przyspieszy sprawę. Przecież nasza wycieczka za kilka dni kończy się, każdy musi wracać do siebie. Byłyby komplikacje, gdyby nas zatrzymano tu dłużej.

Kiedy nagle odezwała się pani Marta Schmuckdorf, odniosłem wrażenie, że to ktoś nowy, jeszcze nieznamy pojawił się w naszym gronie. Albowiem nawet jej głos zabrzmiał jakoś inaczej, donośniej, swobodniej, pewniej niż zazwyczaj, gdy powiedziała do nas wszystkich głośno po polsku, tyle tylko, że z typowym, nieco gardłowym śląskim akcentem.

– Panie mecenasie. Pan mi tu wyraża współczucie. Ja wierzę w pana uczciwość, w pana dobrą wolę i bezstronność. Zamordowano mojego męża. Morderca jest wśród nas albo ukrywa się tu w zamku. Jeżeli popełnił dwie zbrodnie, może też popełnić trzecią. Może jeszcze komuś z nas zagraża. Ja bardzo proszę pana mecenasa, żeby zrobił wszystko, co możliwe, abyśmy mogli wykryć mordercę i zapobiec nowej katastrofie. Albo... jego ucieczce.

Miała rację, obiektywnie rzecz biorąc. Czy jednak ta racja była wszystkim miła i czy wzbudziła powszechną aprobatę, nie było takie pewne. Smogor miał minę zrezygnowaną, pani Helena z lekkim powątpiewaniem kiwała głową, Finelli okazywał zniecierpliwienie pocierając nerwowo ręce, Czereja pochrząkiwał z zażenowaniem, Isabella nie rozumiała w ogóle o co chodzi, Stude demonstracyjnie ziewał. Twarz Moniki Rosier pokrywała pochmurna zaduma, a nasz gospodarz naradzał się po cichu z panią Józią Ciołczyk. Iwona wyglądała jak zmoczony kociak. Najprzytomniejsza okazała się pani Puchałowa.

Instykt dobrej gospodyni, która nigdy nie traci głowy i wie, że najważniejsze, to zadbać o potrzeby ciała, podpowiedział jej, że kieliszek dobrego trunku i gorąca kawa przywrócą nam z pewnością równowagę ducha.

— Zrobimy z panią Józią trochę kanapek — oświadczyła bezapelacyjnie. — I jeżeli pan mecenas pozwoli, to Antek dorzuci do centralnego, bo zaczyna się robić chłodno, a państwo porozbierani.

Rzeczywiście, wszyscy byliśmy jeszcze w naszych kostiumach. Ale nie było już w nich nic śmiesznego. W zestawieniu z sytuacją, w jakiej znaleźliśmy się, wyglądało to raczej makabrycznie. Nie było jednak rady. Skoro na gorąco mamy odnotować wszystko, co należy, nie można nikomu pozwolić na oddalanie się. Ale przecież ktoś się oddalił...

— Nie widzę wśród nas pana Rodrigueza — po tym, co powiedziała pani Schmuckdorfowa, zaniepokoiłem się. — Panie Anatolu, może pan sprawdzi, czy nie ma go w jego pokoju...

Isabella Rodriguez przebudziła się z odrętwienia:

— Ojciec, już dawno powiedział mi, że czuje się zmęczony i idzie spać. Pójdę z panem...

Puchałowa i pani Józia podążyły do kuchni, Antek zszedł do piwnicy, a raczej do kotłowni, Duda z Isabellą udali się na górę, a ja zostałem z resztą towarzystwa. Musiałem zająć stanowisko wobec votum zaufania, jakie okazała mi przynajmniej część obecnych i zainteresowanych:

— Proszę państwa. Nie pełnię żadnej urzędowej funkcji. Jestem osobą prywatną, chociaż rzeczywiście, mój zawód prawnika wiąże mnie z wymiarem sprawiedliwości. Nie wiem, czy w ogóle moje działanie zostanie wzięte pod uwagę przez kompetentne urzędowe czynniki. Z tym zastrzeżeniem, o ile podtrzymujecie propozycję, która tu padła, mogę przeprowadzić z wami rozmowę. Ale zaznaczam, byłoby to śledztwo całkowicie prywatne i macie pełne prawo nie zgodzić się z moimi wnioskami, jeżeli uda mi się do nich dojść.

W tym momencie rozbłysło światło elektryczne.

— Widocznie to było nie zerwanie naszej sieci, ale wyląc

renie prądu przez elektrownię — ucieszył się Puchała.

Ja zaś uradowałem się z czego innego. Obawiałem się w cichości ducha, że prawem serii będziemy mieli jeszcze jednego, trzeciego nieboszczyka. Prawdę mówiąc, niepokoiła mnie nieobecność wśród nas brazylijskiego plantatora, Pedro Rodrigueza. Okazało się jednak, że po prostu spał głębokim snem w swoim pokoju. Przecierał teraz senne, nieco zaczerwienione oczy i z nieprzenikniętym wyrazem twarzy wysłuchiwał, co się tu działo. Anatol Duda szepnął mi na ucho, że tak głęboki sen mogła sprowadzić na Brazylijczyka dodatkowa butelka koniaku, którą znalazł opróżnioną niemal do dna przy łóżku don Pedra. Rodriguez nie miał już na sobie stroju Pizarra, ani pancerza, ani hełmu z kogucimi piórami. Niemniej jednak prezentował się nadal imponująco w wytwornym, jedwabnym szlafroku.

Byliśmy więc w komplecie. Wśród nas, żywych, znajdował się morderca. Człowiek, który sprawił, że nasza gromadka zmniejszyła się o dwóch ludzi. Jeden leżał nieżywy w sieni, do której wkroczył poprzedniego dnia taki młodzieńczy, zdobywca, pewny siebie, drugi spoczywał martwy w zbrojowni na szczątkach sowiej wazy, wypisz, wymaluj król Priam na gruzach Troi. A może tkwi rzeczywiście jakiś szczątek prawdy w ludowym przesądzie, że sowa to zwiastun śmierci? Głęboko sięgają korzenie tego przesądu, aż do dolnych warstw pagórka Hissarlik, w czwarte tysiąclecie przed tą nocą w Sowich Górach, a miejsca, w których ludzie lękają się głosu tego ptaka, oddalone są od siebie o tysiące kilometrów. Wiele niepojętych zjawisk, przypisywanych od pradawnych czasów nadprzyrodzonym mocom, tłumaczy już dziś nauka jako naturalne procesy zachodzące w przyrodzie.

Tego rodzaju refleksje nie nadawały się jednak na jakikolwiek wstęp do zaimprovizowanego śledztwa. Ten, kogo usiłowałem odszukać, zapewne ucieszyłby się, gdybym oświadczył, że moim zdaniem wszystkiemu winna jest sowa. Zacząłem zatem inaczej:

— W zasadzie zgadzam się z państwem; wszystko wskazuje na to, że zabójca znajduje się w naszym gronie. Nie należy

jednak wykluczyć i takiej ewentualności, że ktoś obcy przeniknął do zamku pomimo tej piekielnej pogody. Zabudowania są tu stare, obszerne, nie podjąłbym się nawet sporządzenia ich planów. Ten ktoś mógł się tu ukryć nawet za dnia. Może jeszcze się ukrywa, albo opuścił zamek właśnie wykorzystując zamieć, idealną osłonę dla kogoś, kto chce zniknąć nie pozostawiając śladów. Ale powtarzam, to tylko ewentualność, hipoteza, podczas gdy istnieją raczej przesłanki wskazujące na to, że morderca nie był osobą obcą w „Sowim Uchu”. Nie rozporządzamy, niestety, żadnymi środkami technicznymi i naukowymi, którymi posługuje się aparat śledczy dla wykrywania przestępcy. Nie pomoże nam mikroskop, ani daktyloskopia, ani żaden chemiczny odczynnik. Możemy operować tylko takimi danymi, których dostarczą nam nasze obserwacje. Obserwacje poszczególnych osób zebrane w całość. Tylko powiązanie pomiędzy ofiarami i nami, pozostałą resztą, mogą nam dać do reki nić, prowadzącą do kłębka. Mam nadzieję, że nikt nie odmówi mi szczerości, jakkolwiek gorzka byłaby prawda, którą ujawni. Ta szczerość będzie podstawowym probierzem niewinności każdego z nas. Kłamać będzie na pewno tylko morderca.

Wygłosiłem ten apel po francusku. Tak uzgodniliśmy. Był to język, który znała lub przynajmniej rozumiała większość zgromadzonych. Gdy skończyłem, odezwała się Monika Rosier:

— Ma pan słuszność. Ale mówić prawdę... tak przy wszystkich?

Nieglupia obiekcja:

— Racja. Dla niektórych osób może to być zenujące. Więc ja mam być spowiednikiem. No dobrze. Wobec tego państwo tu zostaną, a ja przejdę do salonu. Będę was po kolei zapraszał na rozmowę. Na początek zaś, pozwolicie państwo, porozmawiam przez chwilę z moją żoną. Bo od niej też chciałbym się czegoś dowiedzieć. Zresztą, nikogo nie wolno mi wykluczyć z kręgu podejrzeń.

Zgasiłem w salonie duży, kuty w mosiądzu żyrandol. Zbyt wiele światła nie sprzyja intymnym zwierzeniom. Dogasający kominek i dwa małe kinkiety po obu jego stronach wystarczyły

mi w zupełności, by widzieć twarz rozmówcy usadowionego w obszernym fotelu z wysokim oparciem, obitym skórą. Drugi taki sam fotel naprzeciwko przydzieliłem sobie. Między nami niski stolczyk dźwigał przybory do palenia i dwie filiżanki mocnej czarnej kawy, świeżo zaparzonej przez Mariannę Puchałową.

Siedziała naprzeciwko mnie i usiłowała uśmiechać się na pół zalotnie, na pół szelmowsko. Jakby była ze mną w zмовie:

— To był dowcip, Stefanie, prawda?

— Bynajmniej, Iwono. To, co mówiłem o szczerości i o nie wykluczeniu nikogo z kręgu podejrzeń, odnosi się także do ciebie w całej rozciągłości.

— Też wymyśliłeś. A może i siebie podejrzewasz”? Albo... czy nie przyszło ci do głowy, że ktoś podejrzewać może ciebie? Na przykład ja.

Zdenerwowałem się. W jej sytuacji nie zachowywałbym się tak prowokacyjnie:

— No wiesz! Archeologią interesuję się tylko teoretycznie.

— Nie sędę, żeby tu chodziło tylko o te skorupy. Choćby i najstarszej daty.

— Ciekawa teoria — zauważyłem ironicznie. Nie lubię kiedy bliska mi kobieta wymądrza się i w dodatku podważa moje koncepcje. Z tego powodu już raz w życiu zrezygnowałem z wielkiej młodzieńczej miłości; była to kobieta zbyt piękna, zbyt zdolna, zbyt inteligentna i piekielnie żądna sławy. Myślałem, że miła i wesoła tancerka rewiowa zaoszczędzi mi pouczeń.

Nie zrażona moją kpina, Iwona kontynuowała;

— Dziwię się, że nie bierzesz pod uwagę spraw natury osobistej. Żądza sławy. Miłość. Zazdrość. Weźmy ciebie dla przykładu. Nie wyobrażasz sobie, jaką miałeś wściekłą minę, kiedy Sungajło kilkakrotnie zbliżył się do mnie.

Aha! O to jej chodziło. Znam ten sposób; uprzedzić atak przystępując do ofensywy. Udaremniłem jej grę:

— Przestań żartować. Nie mam na to czasu, ani ochoty. Czy nie rozumiesz, że muszę cię wyeliminować z tej paskudnej sprawy? A mogę to zrobić tylko wtedy, gdy powiesz mi, co łączyło ciebie kiedyś z Sungajłą.

Powiedziałem to tak ostro i poważnie, że odechciało się jej przekomarzań. Popatrzyła na mnie smutno:

— Ta sprawa... zupełnie ciebie nie dotyczy, Stefanie. Wierz mi. To stare dzieje. Z czasów Bohdana.

O poprzednim, niedługim i niefortunnym małżeństwie Iwony nie rozmawialiśmy prawie nigdy. Uważałem je zawsze za epizod w jej życiu, myślałem, że i ona tak je traktuje. Był to młody architekt, z początku bardzo o nią zazdrosny. Później zdradził ją z pewną rozwódką, mieszkającą w tym samym domu i uciekł z nową flamą w Polskę. Bohdan Kulesza. Potrzebny mi tu dziś jak dziura w moście.

— Mój ojciec, jako jubiler, miał dużo różnych znajomości, rozmaitych klientów. — Iwona mówiła o swoim nieżyjącym już ojcu; pan ten nie cieszył się moją sympatią. — Sungajło był wtedy bardzo młodym naukowcem. Zarabiał niewiele, ale lubił dobrze żyć i bawić się. Na to potrzebne pieniądze. Ojciec napomknął mi kiedyś, że młody archeolog przynosi mu czasami bardzo starą, cenną biżuterię. Do sprzedania. Nieuczciwy młody pracownik ma możliwość przywłaszczenia sobie takich drobiazków podczas prac wykopaliskowych. Ja, oczywiście, bardzo chciałam mieć bransoletkę sprzed dwóch tysięcy lat. To takie zabawne; nosić błyskotkę prawie z zaświatów. Koleżanki pękały z zazdrości. Tak poznałam Adama. Zaczął u nas bywać. Umiał bawić towarzystwo. A Bohdan... Bohdan był o niego nawet zazdrosny, chociaż ja wcale z Sungajłą nie flirtowałam. A potem Sungajło pokazał, jaki był naprawdę. Kiedyś ojcu przyniósł ktoś bardzo starą biżuterię. Chyba też pochodzącą z wykopalisk. Ojciec miał na to kupca. Zagranicznego. Oczywiście, nie powinien był tego robić. To było nielegalne. Ale przecież wiesz, pomiędzy mną i ojcem nie panowały takie stosunki, żebym mogła się wtrącać w jakieś jego interesy. Więc przy tej nie bardzo legalnej transakcji wziął Sungajłę na eksperta. Adam zrobił ekspertyzę i cudzoziemiec kupił te rzeczy. Ale Adam nie zadowolił się wynagrodzeniem za poradę, to było jego zdaniem za mało. Zażądał od ojca połowy sumy, którą ojciec otrzymał od kupca. To było o wiele więcej, niż wyniósł cały zarobek ojca na tej transakcji. Adam zagroził,

że doniesie władzom. Na pewno zabraliby ojcu kartę rzemieślniczą i warsztat. Może wykryliby jeszcze jakieś jego grzeszki. Byłby zrujnowany, a to nie był już młody człowiek. Ale i tak Adam ojca zrujnował. Musiał mu ojciec za milczenie płacić, i to nie raz. I duże sumy. Coraz też mniej mógł mnie pomagać. A my z Bohdanem byliśmy młodzi, lubiliśmy się zabawić i ładnie ubrać, ale zarabialiśmy razem nie tyle, żeby nam na to wszystko starczyło. Bohdan poczuł, że dobre źródło dochodów wysycha. Nasze stosunki domowe zaczęły się psuć. Ojciec gryzł się, chorował. Ta historia z całą pewnością przyspieszyła jego śmierć.

Wyznanie naiwne, lecz szczere. Ulżyło mi. Tak naprawdę mogło być. Nigdy mi o tym nie mówiła. Jak mało o niej w gruncie rzeczy wiedziałem.

Wstałem, i pogłaskałem ją po włosach, jak małe dziecko. Szukałem w pamięci jakichś słów, które stanowiłyby odpowiedni epilog dla naszej rozmowy. Na próżno. Chyba pierwszy raz w życiu ja, wytrawny majster krasomówstwa, nie mogłem dobrać wyrazów, które nie brzmiałyby sztucznie albo banalnie. Najlepiej w takich wypadkach zażartować:

— Teraz niech Zamorska wróci do klasy, usiądzie grzecznie w ławce i uważa na lekcji. Zadanie domowe omówimy później razem.

Od drzwi jeszcze odwróciła się w moją stronę. Chciała coś powiedzieć. Uprzedziłem ją:

— Tylko błagam cię, nie mów mi, że jestem dobry albo szlachetny, albo coś w tym rodzaju. Bo nie jestem. Zabiję cię miedzianym piorunem i będzie trzeci trup.

Jeszcze nie zdążyły się zamknąć za nią drzwi, a ja nie zdołałem zastanowić się, kogo by tu wziąć na pierwszy ogień na spytki, kiedy nie wołany przeze mnie zasiadł w fotelu przy kominku John Black.

— Spiesz się panu — zażartowałem.

— O tak — odpowiedział zwięźle, nabijając starannie fajkę — będzie korzystne dla pana, jeżeli wyjaśnię kilka spraw, zanim przystąpi pan do następnych rozmów.

— Więc słucham.

— Czy pan orientuje się w przemyśle dzieł sztuki?

— Przyznam się, że nie bardzo.

Ucieszył się w sposób widoczny. Z ledwo uchwytnym poczuciem wyższości wyrecytował:

— Więc nie będę pana w to wprowadzał szczegółowo, powiem tylko, że Interpol... A Interpol, to pan wie, co to takiego?

— Owszem. Międzynarodowa Organizacja Policji Kryminalnej. Współdziała w wykrywaniu przestępstw w skali międzynarodowej. Rabunki, przemyt, handel żywym towarem i tak dalej. Domyślam się, że pan ma zaszczyt reprezentować tę pożyteczną instytucję.

Sklonił głowę w milczeniu. Wyciągnął obie nogi w stronę kominka i przemówił zza obłoku pachnącego szlachetnym gatunkiem tytoniu:

— Jestem z zawodu historykiem. Historykiem sztuki. Z osób tu obecnych interesuje mnie pan Marco Finelli. Widzi pan, tak się składa, że zamieszkałem ostatnio w tym samym miasteczku, w którym zamieszkuje stale ten pan, lubiący zresztą dużo podróżować. Lekarze polecili mi zmianę klimatu, rozumie pan. Miasteczko urocze, leży na granicy Włoch i Szwajcarii. Tak się też dziwnie zbiegło, że właśnie tamtędy, tą przełęczą przewożone są nielegalnie skarby włoskiej sztuki. Ale Szwajcaria to tylko tranzyt. Dalsza droga, to Ameryka Północna i Południowa. Włoska ziemia kryje jeszcze wiele skarbów, wydobywa się je stale i wciąż. Ostatnio, jak pan słyszał może, w okolicach Wenecji, w Spinie, ale także w dawnym kraju Etrusków. Chłop, który wykopie zabytki na swoim poletku, nie kwapi się, by dostarczyć znalezisko do muzeum. Zawsze skłonny jest myśleć, że go tam oszukają. Woli takich, którzy mu po cichu ofiarują pewną okrągłą sumkę dolarów.

— Więc Finelli zajmuje się takim przemytem, a pan go śledzi z polecenia Interpolu — konkretyzowałem mgliste wyjaśnienia Anglika.

Skrzywił się nieznacznie:

— Coś w tym rodzaju. Finelli to pionek w dużym gangu przemytniczym, ale i pionki są ważne, można przy ich pomocy

wygrać partię, albo ją przegrać. Chodzi o ustalenie, z kim ten człowiek współpracuje, z kim utrzymuje kontakty. Kto mu dostarcza towar.

— Pan się domyślił, mister Black, że to nie zabytki Śląska sprowadziły pana Finellego do Polski i do „Sowiego Ucha”.

— Mister Sungajło był widziany kilka razy z mister Finellim na Lido.

— Aha! Rozumiem. Pan wywnioskował, że Sungajło trzyma w Polsce coś, co mogłoby zainteresować Finellego.

— All right. Waszych skarbów wy pilnujecie. Mnie chodziło o to, że jeżeli Sungajło współpracuje z Finellim konkretnie na terenie Polski, to znaczy, że na Lido nie tylko pija z nim chianti i zajada macaroni, ale też mu dostarcza towar. A grono przyjaciół mister Sungajły we Włoszech i w innych krajach, gdzie archeologia ma dużo roboty, jest nam znane. Tylko dowodów przeciwko nim nie mamy. To ostrożni ludzie. Taka praca jak moja trwa czasami miesiącami, a nieraz i latami.

— Czy pan orientował się, mister Black, że tu chodzi o tak zwany „skarb Priama”?

— O, nie. Domyśliłem się dopiero tu, na miejscu. Jak zaczęli się kłócić o tę wagę. Sowią wagę.

— Czy pan nie podejrzewa jeszcze kogoś z naszej wycieczki o współpracę z Finellim i Sungajłą?

— O yes, naturalnie. Mogliby we dwójkę wynieść stąd skarb Priama. Mogliby go we dwójkę sprytnie ukryć, nawet niedaleko, gdzieś w lesie. Chociaż to są chyba skrzynie, bo jak inaczej trzymać ceramikę? Ale w żadnym razie nie mogliby we dwójkę wywieźć tyle garnków za granicę.

Strzeliłem na chybił trafił, ale zgodnie z moimi przypuszczeniami:

— Kogo pan podejrzewa? Pedro Rodrigueza czy Roberta Stude?

Namyślał się przez chwilę:

— Obaj mogą być zamieszani. Wątpię, żeby któryś z nich był potencjalnym nabywcą, to za drogie rzeczy na kieszenie nawet właścicieli dobrze prosperującej plantacji i szeroko reklamowanego domu towarowego. Obaj, albo jeden z nich. Ale

tylko pośrednictwa. Mają już na to pewno nabywców. Mnie się zdaje, że ci dwaj panowie znają się nie tylko z wycieczki do „Sowiego Ucha”. Czasem mówią do siebie po imieniu.

— Po co pan chodził do piwnicy, czy pan tam czegoś szukał?

— Kogoś. Finelli, zanim zgasło światło, zszedł do piwnicy tymi schodami, które pan widział niedaleko zbrojowni. Rozumie się, że chciałem się dowiedzieć, po co. Zszedłem za nim, ale nie dotarłem daleko. Usłyszałem strzał i zaraz po tym zgasło światło.

— Pan usłyszał strzał w piwnicy?

— Tak. To dziwne, prawda? Tutejsze echo. Więc zawróciłem...

— A Finelli wy dostał się z piwnicy innymi schodami, koło mieszkania kierownika po drugiej stronie sieni i trafił na mnie. A ja dziwiłem się, skąd on się wziął. Czyli to nie Finelli zabił Sungaję.

— Na to wygląda. A w korytarzu, przed zakrętem do zbrojowni, jeżeli to pana interesuje, zastałem panią Monikę i tego Amerykanina, Roberta Stude.

— Co tam robili?

Anglik uśmiechnął się i przymrużył oko:

— Pani Monika widocznie nie lubi zbyt gwałtownych pieścizot. Bardzo się wyrывała, ale to silny mężczyzna. I stanowczy.

— Po co pan zabrał do zbrojowni Finellego?

— Żeby mieć go na oku. Gdyby chciał zwiać, Puchała nie upilnowałby go. Śnieg i skały to dla naszego Marco żadna przeszkoda. Ma wprawę.

Podziękowałem Johnowi Blackowi za wyczerpujące informacje, z pewnością pomogą w wyjaśnieniu zagadki. Poprosiłem, aby nakłonił profesora Smogora do złożenia mi wizyty. Gdy znikająca w drzwiach biała w poziome niebieskie paski koszula pirata, zadałem sobie jeszcze jedno pytanie, które powinienem był właściwie zadać współpracownikowi Interpolu, o ile oczywiście John Black był nim w istocie; czy to jest możliwe, aby w instytucji zajmującej się śledzeniem i wykrywaniem nielegalnego handlu dziełami sztuki, nie była znana książka niejakiego C. W. Cerama pod tytułem „Bogowie,

groby i uczeni”, w którym to niezwykle popularnym na całym świecie dziele na stronie 67 jest mowa o zamku pod Wrocławiem, gdzie ukryta została część daru Henryka Schliemanna dla berlińskiego Museum für Früh und Vorgeschichte?

Więc załóżmy, że wierzę Blackowi. Niech mu będzie, że nie wiedział o „skarbie Priama”. Choć tak samo dobrze może być on wysłannikiem angielskich kolekcjonerów, podpatrującym konkurencję. Może nawet pragnącym ją ubiec w wywiezieniu trojańskich waz znajdujących się w Polsce, ale przez nas jeszcze nie odnalezionych.

Tak się zamyśliłem, iż nie zauważyłem, że profesor Hubert Smogor siedzi już naprzeciwko mnie i przygląda mi się ponuro.

— Trochę się panu dziwię, panie Stefanie, że podjął się pan tej tak niemiłej misji.

Oho, pomyślałem, będą trudności z panem profesorem.

— A co miałem robić, panie Hubercie? Chyba to jednak dla nas wszystkich najlepsze wyjście. Niech mi pan powie, czy pan od dawna znał Wilhelma Schmuckdorfa? Co to był za człowiek?

— Bywałem w Niemczech jeszcze jako student. Dawniej w Polsce archeologia nie należała do preferowanych gałęzi nauki. Jeśli się chciało rzeczywiście nauczyć czegoś, trzeba było jeździć za granicę. Pan orientuje się, że należę do tych, którzy dopiero stworzyli w naszym kraju zręby wiedzy archeologicznej.

Skłoniłem z szacunkiem głowę, co zostało przyjęte z ciepłym uznaniem przez mojego rozmówcę. Samopoczucie jego wydatnie poprawiło się; wpłynęło to na skłonność do wyjaśnień:

— Schmuckdorf był w tamtych czasach młodym uczonym, nieco starszym jednak ode mnie. Ten spór, który podjęliśmy w czasie obiadu, był naszym starym sporem. o czymkolwiek byłaby między nami mowa, i tak rozmowa zawsze musiała zejść na ten temat. To fanatyk. Ale nie fanatyk w jakimś sensie hitlerowskim. O ile wiem, nie zapisał się nigdy do partii hitlerowskiej, prywatnie wypowiadał się przeciwko faszyzmowi, nie utrzymywał stosunków towarzyskich z bardziej zaangażowanymi działaczami. Ale był fanatykiem w sensie

naukowym. Niemiecka nauka, niemiecka kultura, to było jego tabu, jego świętość. Oczywiście, w tym sensie był nacjonalistą, był niemieckim ultrapatriotą. Jeszcze przed wojną czasami korespondowaliśmy w sprawach naszych muzeów. Podczas wojny oczywiście ten kontakt urwał się. Spotkałem go dopiero tu teraz.

— A w jakim muzeum pracował przed wojną. doktor Schmuckdorf? Bo o ile mi wiadomo, teraz mieszkał gdzieś w Niemczech Zachodnich i był na emeryturze.

— Przed wojną pracował w Museum für Früh und Vorgeschichte.

— Czy pan nie sądzi, panie Hubercie, że to on właśnie zdeponował trojańskie wazy zwane skarbem Priama w „Sowim Uchu”?

Smogor uśmiechnął się sceptycznie:

— Zaraził się pan od naszego blagiera, panie Stefanie. Tak nazywaliśmy docenta Sungajłę w kółku ludzi, hm... jak to powiedzieć... kompetentnych. To znaczy naprawdę uczonych. No bo to nie był prawdziwy naukowiec z krwi i kości. Karierowicz. Błyskotliwy, powierzchowny. Szukanie tych waz, to była od kilku lat jego „ideé fixe”, jego konik. W kołach naukowych nikt tego nie traktował poważnie, więc przestał się wygłupiać.

— Pan nadal jest przekonany, że to była fantazja?

— Przyznam się panu, że od wczoraj straciłem tę pewność. Ale my, nowocześni uczeni mamy dość mglistych hipotez, narobiły dużo szkody w nauce. Wierzymy w fakty. To, że Schmuckdorf tu przyjechał, dla mnie nic nie znaczyło. On, zdaje się, pochodził gdzieś z tych stron, czy też jego żona, nie pamiętam. Natomiast faktem dla mnie mogła stać się ta waza. Sowią waza z gabloty w zbrojowni, która na pewno nie była urną twarżową Prasłowian. Niestety, uniemożliwiono nam dokładne zapoznanie się z eksponatem — dodał ze złością.

— Pan stwierdził w jadalni, że to waza króla Priama.

— Chciałem po prostu sprowokować Schmuckdorfa do wypowiedzi. Myślałem, że kiedy się zaciętrzewi, wygada się na temat losów tej trojańskiej ceramiki. On lubił się tak zaperzać.

Straszny raptus.

- Chyba zależałoby nam na wykryciu tego skarbu?
- Oczywiście, ale jesteśmy zdani wyłącznie na przypadek.
- Czemuż to?

— Bo znam stanowisko tego typu uczonych, moich kolegów, jak Schmuckdorf. Przedstawię panu, panie Stefanie, jego tok rozumowania. „Skarb Priama” był darem Niemca dla narodu niemieckiego. Jest zatem własnością tego narodu niezależnie od tego, gdzie się w tej chwili znajduje. A jeżeli jest tu... gdzieś przy nas... te ziemie, ich zdaniem niemieckie, wrócą kiedyś do Niemiec. Wtedy będzie czas, by wykopać skarb i umieścić go z powrotem w berlińskim muzeum. A do tej pory trzeba milczeć. I dlatego milczą. I dlatego nikt z nich, choćby wiedział, gdzie to jest, nie piśnie ani słówka. Myśli pan, że mało innych jeszcze dzieł sztuki poukrywanych jest w całej okolicy? Zaręczam, że całe stopy.

— Więc pan uważa, panie Hubercie, że Schmuckdorf nie był za tym, aby skarb wykopać i wywieźć za granicę?

— Powiem panu, że z pewnością był temu absolutnie przeciwny. Uчени przypominają czasami zazdrosnego skąpca. Pies na sianie. Sam nie zje i innemu nie da. Jego manią było, żeby wazy trojańskie znalazły się z powrotem w rękach niemieckich naukowców, ale nie amerykańskich dorobkiewiczów, rozsiane gdzieś po świecie. Jedną z istotnych wartości tej kolekcji była jej objętość. Obfitość materiału badawczego. Cóż po skorupach rozsianych po całym świecie, po prywatnych salonach, nie zawsze wiadomo gdzie.

— Więc takie stanowisko Schmuckdorfa mogło spowodować jego konflikt z ludźmi, którzy chcieli skarb wykopać i wywieźć po kryjomu, powiedzmy do Szwajcarii albo Ameryki?

— Niewątpliwie tak.

A teraz... Bardzo pana przepraszam, panie Hubercie, że o to zapytam, to znaczy wrócę do wydarzeń dzisiejszej nocy. Niestety, wziąłem na siebie ten obowiązek i muszę go wypełnić — uważałem, że dość już tych naukowych rozważań, które praktykowałem z lubością Smogor, pieszcząc się z bardziej wyszukаныmi sformułowaniami. Co robić, szło mi jakoś

niesporo z tym człowiekiem, onieśmielającym każdego w zasięgu ostro i chłodno patrzących władczych oczu. Język mi się plątał, jakałem się, po prostu bełkotałem. Chciałbym wiedzieć, dlaczego wyszedł pan na dwór i co pan tam zobaczył.

— Jeżeli powiem panu, że dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, to i tak pan nie uwierzy — zadrwił, ale z satysfakcją dostrzegłem, że moje pytanie spieszyło go. Widocznie sądził, że tak mnie przywalił naukową argumentacją, iż zapomnę go spytać o te nienaukowe okoliczności.

— Nie uwierzę — odpowiedziałem z uśmiechem, który określa się przymiotnikiem „szeroki”.

— No cóż, trudno. Proszę jednak o całkowitą dyskrecję. Jeżeli to możliwe. Sungajło nadskakiwał mojej żonie. Kobiety, stwierdzam to z ubolewaniem, lubią takie hołdy, bez których doprawdy, mogłyby się śmiało obejść. Zamierzałem położyć kres tej niesmacznej zabawie. Zobaczyłem, że Sungajło wychodzi na dwór. Za nim pomknęła kobieca postać. Byłem zbyt daleko, by stwierdzić, która to z pań. Przypuszczałem jednak, że to moja żona.

Przerwałem:

— A może pan dowiedział się przypadkowo, że dzisiejszej nocy Sungajło ma zamiar zabrać stąd skarb i ulotnić się nie tylko razem z nim, ale także z panią Heleną?

Załamiał się:

— Tak. Miała spakowaną małą walizeczkę. I bilety do Pragi Czeskiej na jutro, a stamtąd na samolot do Wiednia. Znalazłem w jej torebce. I z góry napisany list pożegnalny do mnie.

Fe, fe, panie profesorze. Chodzący pomnik ku czci nauki zagląda do torebki żony i szpera w jej walizce, jak pierwszy lepszy zazdrosny śmiertelnik? Zdawał sobie z tego sprawę:

— Kochałem Helenę, kocham ją i teraz. Mimo wszystko. Nie mogę sobie wyobrazić bez niej życia. Więc sam pan rozumie, że straciłem głowę, kiedy zobaczyłem kobietę, która wymknęła się za nim. Wybiegłem za próg tak jak stałem, w tej idiotycznej zbroi. Ale nie dojrzałem żadnej kobiety, może ukryła się, nie wiem. Z okna zbrojowni padało światło, na dole, pod oknem stał Sungajło, zadarł głowę do góry i krzyknął. Jeżeli słuch

mnie nie omylił, bo wiatr potężnie gwizdał, zabrzmiało to jak coś w rodzaju: „Addio, Priamos”.

— Więc tam w oknie musiał być Schmuckdorf?

— Chyba tak, ale nie zobaczyłem go. W tym samym momencie nastąpił błysk i usłyszałem strzał. I krzyk. Ale czy to krzyczał Sungajło, czy też. Schmuckdorf na górze, nie mogę powiedzieć. Sungajło upadł, a ja podbiegłem do niego. Wie pan, taki odruch. Można kogoś nienawidzić na śmierć i życzyć mu ciężkiego skonania, ale jeżeli ten ktoś naprawdę umiera, człowiek rzuca się na ratunek. Nie miałem już tam jednak nic do roboty. On nie żył.

— A w oknie?

— W tej samej chwili, w której Sungajło upadł, światło zgasło. Gdyby nawet był ktoś w oknie nic bym nie zobaczył. Jeszcze jeden szczegół może się panu przydać. Natychmiast po wystrzale ktoś wyrzucił strzelbę przez okno. Spadła obok Sungajły, ale jej nie ruszałem.

— Czym pomysłem były wycieczki do „Sowiego Ucha”?

— Sungajły. Mnie zresztą bardzo się tu spodobało. Więc byliśmy tu dwa razy. Raz na jesieni, podczas tego fatalnego polowania, kiedy zginął Bukar, drugi raz na Gwiazdkę i Nowy Rok, i teraz przyjechaliśmy po raz trzeci. Wykorzystałem przerwę egzaminacyjną. Z Sungajłą widywaliśmy się ostatnio rzadziej. Wysiadywał miesiącami za granicą. Poświęcił się specjalności śródziemnomorskiej.

— Niech mi pan jeszcze powie, panie Hubercie, jakie jest pana zdanie o Czerei. Magistrze Karolu Czerei.

Zdziwił się, że interesuje mnie osoba tak mało ważna. Uśmiechnął się pobłaźliwie i lekceważąco:

— Och, to bardzo porządny chłopak, ale...

— W wojsku nazywają takich oferumą, a w szkole fujarą.

— Właśnie. Umie przyswajać sobie wiedzę, bo przecież inaczej nie zaliczyłbym go do grona moich współpracowników. Jest w pewnym sensie chodzącą encyklopedią, może go pan pytać o wszystkie daty, o każdy fakt. Przydaje się. Nie muszą na przykład niczego sprawdzać, szperać po bibliografiach, wystarczy mi go zapytać. On ma to wszystko w głowie. Dlatego

wozę go ze sobą. Ale nigdy jeszcze nie wpadł na żaden pomysł, nie wysnuł żadnej hipotezy, niczym nie zabłysnął. To nie jest umysł twórczy.

Pomyślałem, że przy profesorze Smogorze trudno chyba komukolwiek zabłysnąć, swym talentem przyćmiewa całe otoczenie. Ocalić kilka promyków sławy dla siebie może tylko ten, kto wyrwie się z jego kręgu. Na przykład Sungajło: gdyby nie miał złych skłonności, mógł być zrobić karierę na złość Smogorowi.

Hubert Smogor dał mi do zrozumienia, że jest bezbrzeżnie znużony. Dramatycznym gestem dotknął dłonią genialnego czoła i patrzył na mnie z bolesnym wyrzutem. Podziękowałem mu nader uprzejmie, chociaż nurtowało mnie dużo wątpliwości. Miał na pieńku ze Schmuckdorffem od lat. Nienawidził Sungajły po pierwsze z powodu Heleny, po drugie ze względów zawodowych. Był więc właściwie jedynym w naszym gronie, pozostającym w konflikcie z obu zabitymi.

Ale jak mógł zabić jednocześnie dwie osoby, znajdujące się blisko siebie wprawdzie, ale bądź co bądź w dwóch różnych punktach? Zakradł się do zbrojowni, najpierw zabił Schmuckdorffa, stojącego przy oknie, potem strzelił do Sungajły i wyrzucił broń przez okno w śnieg, a następnie ześliznął się po tej linie, która była przytwierdzona do klamki okna. Przebiegł przestrzeń dzielącą to miejsce od drzwi frontowych i zjawił się przede mną w sieni. Gdybym go nie zobaczył wracającego, w ogóle nikt by nie wiedział, że znajdował się na dworze. Światło zgasło i było ciemno. Ale kogo wychodzącego wobec tego widziała Józia Ciołczykowa? Widziała rycerza. Przy blasku świecy. Mógł to tak samo dobrze być robot — Robert Stude, albo Rodriguez noszący pancerz na atlasowej kurcie. Ale jeżeli widziała Smogora, to on kłamie, twierdząc, że wyszedł, kiedy jeszcze światło było i że słyszał strzał.

Po to, aby tak dokonać morderstwa, Smogor musiałby sprowadzić sobie obu panów w jedno miejsce. Załóżmy, że wiedział o planach Sungajły, o zamierzeniu wykradzenia sowiej wazy ze zbrojowni. Wspólnik Sungajły — mogłaby to być Helena, mogłaby być Isabella, mógłby nim być Finelli albo, jak

twierdzi Black, któryś z Amerykanów — ma spuścić wazę na lince przez okno zbrojowni prosto w ręce Sungajły. Hubert Smogor dowiaduje się o tym i mówiąc szkolnym żargonem, napuszcza Wilhelma Schmuckdorfa na Sungajłę. Zabija obu i teraz tylko czeka, aż ja odnajdę współnika Sungajły, na którego można będzie zwalić winę.

Kto mi to potwierdzi? Może Czereja?

Tak odpowiada spokojnie na moje pytanie pan magister. — Ale to ja dowiedziałem się pierwszy. Adam tak się dziwnie kręcił na balu, jak gdyby miał jakieś podejrzone zamiary. Był nawet, powiedziałbym, wytracony z równowagi. W pewnej chwili rozejrzał się i kiedy myślał, że nikt na niego nie zwraca uwagi, wymknął się. Ja jednak obserwowałem go i cicho poszedłem za nim. Miał klucz od zbrojowni, otworzył drzwi, ale światła nie zapalił. Posługiwał się ślepą latarką. Mówię o tym, bo nie widziałem, skąd wyciągnął tę wazę. Zobaczyłem ją już dopiero na parapecie. Przywiązywał ją do linki, której drugi koniec zamocował przy kłamce okna. Cofnąłem się i schowałem się za tymi małymi drzwiami na zakręcie, za którymi są schody do piwnicy i na górę do naszych sypialni. Adam wyszedł ze zbrojowni, a ja poszedłem do profesora Smogora i powiedziałem mu o tym wszystkim. Myślałem, że pójdzie zaraz zrobić awanturę Adamowi, ale on poszedł do doktora Schmuckdorfa i chyba mu to powtórzył, bo doktor Schmuckdorf okropnie się zdenerwował.

Młody człowiek zadziwił mnie. Coś się w nim najwyraźniej zmieniło. Nie był już załęcznionym, jękającym się wobec swego pryncypała uczniakiem. Piętaszek emancypował się. Ruchy miał pewne, głos spokojny, zrównoważony. Zastanawiałem się, która z okoliczności sprawiła tę metamorfozę: śmierć znienawidzonego zdolniejszego kolegi czy tarapaty, w jakie dostał się jego przełożony? Autorytet w opalach, autorytet podejrzany o dokonanie zbrodni, autorytet zwyczajnie po ludzku zazdrosny o żonę i przegrywający miłosną partię w rozgrywce z człowiekiem o wiele mniej wartym — to zerwana smycz. Bóstwo zeszło na ziemię — nie ma bóstwa. W dodatku potknęło się. Wierny czciiciel i zarazem niewolnik może

podnieść głowę i wstać z klęczek. Milczałem, żeby się przekonać, jak daleko sięga akt wyzwolenia. Śmiało ciągnął dalej:

— W ogóle zastanawiam się, panie mecenasie, nad tym, jakim frajerem byłem dotychczas. Przepraszam za to określenie, ale tak to jest. Coś mnie zawsze krępowało, jakby mnie ktoś ścisnął obręczą. Podobno najtrudniej skoczyć z trampoliny pierwszy raz. Ja nigdy na ten pierwszy skok nie umiałem się zdobyć, rozumie mnie pan? Miewałem różne pomysły, przychodziły do głowy rozmaite ciekawe wnioski związane z badaniami, w których brałem udział, ale nigdy nie ośmieliłem się wystąpić publicznie. Dzieliłem się moimi spostrzeżeniami z innymi, najczęściej z profesorem Smogorem. On umiał ubrać moje myśli w odpowiednią formę. Stawały się od razu sensacją. Czasami wymknęło mi się jakieś słowo w gronie kolegów. I znów było to samo. Oni pisali rozprawy, ogłaszali wyniki, zarabiali na tym pieniądze i robili kariery. Ja stałem w miejscu. O wzmiance w książce Cerama na temat waz trojańskich ukrytych w zamczku pod Wrocławiem, to ja powiedziałem kiedyś w towarzystwie. Lubię czytywać czasami takie książki popularnonaukowe. Koła zawodowe, naukowe, ich nie czytają, bo one są przecież przeznaczone dla laików, ignorantów. W literaturze fachowej nie znalazłby pan takiej wzmianki jak u Cerama. Więc skąd o tym mógłby Smogor albo Sungajło wiedzieć. Ale Adam wykorzystał moje napomknienie. No i on w końcu odnalazł „skarb Priama”, nie ja...

— Zdobyłby dużo pieniędzy, gdyby mu się udało wywieźć te wazy z Polski — zauważyłem.

— Ale mu się nie udało — stwierdził lakonicznie.

— Gdzie pan był w tym czasie, kiedy zostali zamordowani Sungajło i Schmuckdorf?

— Nie wiem, kiedy zostali zamordowani. Ale wtedy kiedy zgasło światło, byłem, za przeproszeniem w ubikacji. Źle się czułem. Nie mogę dużo pić.

Chciało mi się śmiać, ale się powstrzymałem. Pechowiec. Po pierwsze: nie ma alibi. Po drugie: taka stracona okazja do odegrania jakiegokolwiek bądź znaczącej roli w dramacie!

Ludzie tego pokroju, stale poniżani i wykorzystywani przez innych, cierpiący na kompleks niższości, może nawet niezasłużenie, gotowi są w pewnych okolicznościach życiowych do popełnienia choćby i zbrodni, byleby tylko zaprzeczyć swojej nijakości. Żeby zdobyć rozgłos. Żeby o nich mówiono: patrzcie, kto by się tego spodziewał, no, no! Czy tak też nie mogło być w tym wypadku?

Wstał, wyprostował niewysoką, szczupłą postać, może mu się wydawało, że urósł trochę tej nocy:

– Pan kierownik Puchała bardzo doprasza się, żeby pan mecenas porozmawiał z nim jak najprędzej.

Chciałem odłożyć konferencję z Puchalą na później, ale skoro mu się śpieszy, widocznie ma mi coś ważnego do zakomunikowania. Istotnie, jego rewelacje nie były bez znaczenia:

– W duchy nie wierzę, panie mecenasie, ale że w tym domu od wczoraj cuda się dzieją, to fakt, panie święty.

Sądziłem, że ma na myśli podwójne morderstwo, więc puściłem domniemanie o cudach mimo uszu:

– Dlaczego, panie Puchała, zamknął pan rano na klucz zbrojownię?

Nie chodziło mu o morderstwo, kiedy powoływał się na moce nadprzyrodzone:

– Bo wpadłem w szewską pasję, panie święty. Ciekawym, co by pan mecenas zrobił, gdyby panu pod nosem goście rąbnęli wazonik z zamkniętej szafki.

– Tę wazę z sową?

– Właśnie. Ja tam na archeologii się nie znam, nie wiem co to za dziwo. Fakt, że rano jej nie było. Drzwi zbrojowni były zamknięte, gabłota zamknięta, a wazy ani śladu. Przeszukałem wszystkie kąty. Dlatego nadziwić się nie mogłem, skąd się ona tam z powrotem w nocy wzięła.

– Dlaczego rano mi pan o tym nie powiedział?

Spojrzał na mnie spode łba i uśmiechnął się z zażenowaniem:

– A co, może miałem wśród takich gości śledztwo przeprowadzać, kto mi wazonik ściągnął? Patrzyli wszyscy na niego jak sroka w gnat, ale żeby mi kto słówko o nim

powiedział, to nie. Może to i wartościowa rzecz, jeżeli profesor Smogor tak się nią zainteresował. Pomyślałem sobie, jak rano ten garnek znikł z gabloty, że Smogor będzie się wściekać. Woląłem nic nie mówić. Tylko zbrojownię zamknąłem, żeby się nikt nie dowiedział, że nie ma wazy. No i pomyślałem sobie też, że jeżeli taki wazonik skradli, to mogą jeszcze coś innego... Rozumie pan mecenas. Cudzoziemcy, bo cudzoziemcy, ale kto ich tam wie, co to za jedni.

Nalegałem, czułem się nieco urażony:

— No, ale mnie...

Zdenerwował się:

Był pan mecenas u mnie w nocy w mieszkaniu? Był. Widzi pan. A ja klucz od zbrojowni miałem w kieszeni kurtki, która wisiała na wieszaku w tym pierwszym małym pokoiku, przez który wchodzi się do sypialni mojej żony.

— Więc i mnie pan podejrzewał. Że zakradłem się, zabrałem klucz i poszedłem do zbrojowni po tę wazę. Ładnie.

— Niech się pan nie gniewa, panie mecenasie. Ale ja jeszcze przed wojną jednego bardzo uczonego człowieka znałem, zoologa. Na lato do mojej leśniczówki przyjeżdżał, bo liszkami różnymi zajmował się i zbierał je. Popielniczki lubił. Jak wyjeżdżał, ani jednej w leśniczówce nie zostawił. Żona je w końcu chować musiała, a na stole nadtłuczone spodeczki stawiało się zamiast popielniczek. Też nie darował, zabierał tak, że ani się człowiek obejrzał. Miał ich ponoć w domu na kopy. To skąd ja mogę wiedzieć... Może pan mecenas wazoniki zbiera?

— A dlaczego pan sam nie spał, kiedy przyszedłem, żeby odwiedzić pana Anatola?

— Wciąż mi się zdawało, że po zamku ktoś łązi. I drzwi od sieni ktoś otwierał. Ale jak poszedłem zobaczyć, nikogo nie zauważyłem.

— Klucz od gablotki ma pana żona, pani Marianna?

— Tak. Zawsze nosi taki duży pęk kluczy przy sobie. Ma ten kluczyk, nie zginął. Wytrychem musiał złodziej otworzyć, panie święty. To zresztą prosty, zwykły zameczek.

— A czy istnieje drugi, zapasowy klucz od zbrojowni?

— Oczywiście, panie święty. Jakże by inaczej. Wisi w szafce z kluczami w korytarzu, z którego wchodzi się do kuchni. Czy pan myśli, że nie sprawdzałem? Był rano, wisił sobie spokojnie. I teraz też wisi. Ten klucz, którym otworzono zbrojownię dzisiejszej nocy, a i wczorajszej chyba też, jest dorobiony. Ciołczykowej pytałem, mówi, że nikt nie brał, nikt nie pytał, nikomu nie dawała.

— Co robił Sungajło przed południem w zbrojowni? Widziałem go, jak wychylał się z otwartego okna — spytałem dość podstępnie, bo nie wspomniałem, że drugą osobą, widzianą przeze mnie w tym samym miejscu i o tej samej porze, był sam kierownik.

— Poszedłem do zbrojowni po te zbroje i inne rzeczy do maskarady, a on za mną. Nawet nie zauważyłem, kiedy wszedł. Otworzył okno, wyrzał, tłumaczył się, że strzał słyszał koło domu, a to było już po polowaniu profesora Smogora, więc się zaniepokoił. Tak mówił. Zezłościłem się i wyprosiłem go. A na gablotę to nawet okiem nie rzucił.

— Ciekawe. Taka gratka dla naukowca, jak ta waza. Proszę bardzo, niech mi pan jeszcze powie, gdzie pan był w chwili, w której zgasło światło?

Robinson-Puchala zerknął na mnie podejrzliwie, jak gdyby chciał przejrzeć moje intencje i westchnął z rezygnacją:

— Powiem coś panu, panie mecenasie, jak księdzu na spowiedzi, ale niech pan to zatrzyma przy sobie, dobrze? Pan wie, jak to dziś, bez znajomości trudno żyć. Tę posadę w „Sowim Uchu”, która mi się bardzo podoba, bo to, panie święty, jak u siebie na gospodarstwie, wyrobiła mi matka Anatola Dudy, bo ona i moja żona to siostry.

A Anatol pewnie dba o to, żeby z „Orbisu” do pana wycieczki często przyjeżdżały? — mrugnąłem porozumiewawczo.

— To źle? Miejsce piękne, obsługa jak się patrzy, dbam o wszystko jak należy. Wszyscy korzyść mają. No więc ja właśnie z Anatolkiem w salonie, o tu, w tym samym miejscu, co my z panem teraz siedzimy, gadkę sobie uciałem. Co i jak. Kiedy następna wycieczka przyjedzie, kto i tak dalej. Ale jak się należy nie dogadaliśmy się, bo trochę za dużo sobie chłopak popił.

Wtedy światło zgasło.

— To chyba wszystko na razie, panie Puchała. Jeżeli będzie mi pan jeszcze potrzebny...

— Nie wszystko, panie mecenasie — odpowiedział z determinacją, jakby teraz dopiero zdecydował się, że ujawni to, co wie — może to pana zainteresuje.

Wyciągnął w moją stronę długi, wąski przedmiot, zawinięty w szmatę. Rozwinąłem ostrożnie. Była to myśliwska strzelba. Nie ta sama jednak, którą znalazłem przy ciele Sungajły, bo tamtą zabezpieczyłem, aby nie zatarły się ewentualne ślady i trzymałem w zasięgu mojego wzroku na gzymsie kominka. Spojrzałem pytająco na Puchałę

— Tę strzelbę miała rano na polowaniu pani Helena. Mówi zawsze, że ją lubi, bo do ręki jej pasuje i prosi, żeby innej nie dawać. Po pani Helenie wziął ją ten rudy Amerykanin, sklepikarz, no jak mu tam...

— Robert Stude.

— Właśnie. Przed obiadem wrócił z lasu i postawił ją przy wieszaku w sieni. Widziałem, że tam stoi, ale nie miałem już czasu, żeby do zbrojowni zanieść i schować. A jeszcze potem zapomniałem po prostu, bo jak to przed balem. Urwanie głowy. Trunki musiałem szykować, z Antkiem meble poprzestawiać.

— I tam tak do tej pory stała?

Żeby tam stała, tobym nic nie mówił, bo tylko z mojej winy nieporządek i tyle. Ale poszedłem drzwi frontowe w sieni zamknąć, wyrzałem jeszcze, żeby zobaczyć, czy aby pogoda się nie polepsza i widzę na zewnątrz, w kącie futryny stoi oparta o drzwi wejściowe. To znaczy, na dworze ktoś ją zostawił.

— Tak, to komplikuje sprawę. Bez ekspertyzy rusznikarskiej nie dowiemy się, z której to strzelby zastrzelono docenta Sungajłę. Bo typ broni i kaliber zdaje się ten sam, co tamtej — wskazałem wzrokiem na gzyms kominka.

Istotnie, obie strzelby były bliźniacze. Tylko rusznikarz powie nam, z której lufy wystrzelony pocisk przebił czoło Parysa. Nie mieliśmy jednak rusznikarza i musiałem radzić sobie bez tej cennej, fachowej pomocy.

Celowo nie zapytałem Puchały, czy wie, gdzie znajduje się

zakopany lub ukryty na terenie „Sowiego Ucha” skarb Priama. Gdyby wiedział — zakładając, że jest człowiekiem uczciwym - powiedziałby mi teraz. Jeżeli jest w zмовie z kimkolwiek i zna skrytkę, i tak jej nie wyjawia.

Przywołałem Anatola Dudę. Nie spodziewałem się wiele po jego informacjach, pragnąłem tylko ustalić, w jaki sposób doszło do spotkania w „Sowim Uchu” grupy profesora Smogora i naszej orbisowskiej wycieczki. Zainscenizowano je jako zupełnie przypadkowe, lecz musiało być ukartowane. Kto należał, aby zagraniczna wycieczka właśnie w „Sowim Uchu” zaznała rozkoszy polskiej zimy? Mogło to mieć znaczenie dla ustalenia powiązań Sungajły i doprowadzić do drugiego współnika, który był mi pilnie potrzebny.

Anatola Dudę wyraźnie gnębił nadmiar wypitego alkoholu, jasność umysłu miał nieco przyćmioną, z trudem usiłował sprostać moim wymaganiom:

— Żebym to ja pamiętał, panie mecenasie... Zdaje mi się, że doktor Schmuckdorf pisał coś na ten temat do pana kierownika Chrząszczkiewicza. Że chciałby z żoną spędzić kilka dni w jakimś górskim schronisku w Sowich Górach, ale nie w takiej miejscowości gdzie dużo ludzi. Tu właściwie wyboru dużego nie ma. Jak Sowie Góry, to wiadomo, że tylko „Sowie Ucho”, bo najlepiej zagospodarowane. Ale coś sobie przypominam jeszcze... Zaraz, zaraz... Jak to było? Kiedy ustalaliśmy z uczestnikami trasę wycieczki, w ogóle cały jej program, Finelli bardzo upominał się o to „Sowie Ucho”. Mówił, że słyszał nawet za granicą od kogoś znajomego, że tu tak pięknie.

— A pan to poparł energicznie, żeby wujkowi się przysłużyć. Rozumiem.

— Panie mecenasie... Pan nie powie o tym Chrząszczkiewiczowi? Błagam. Bo wyleją mnie z roboty i mama będzie się gniewać...

Przyrzekłem dyskrecję i żeby mieć już spokój z rozgązionym i solidarnym klanem Dudów-Puchałów, poprosiłem panią Mariannę Puchałową.

— Wszystko przez tego Tolka — gderała — to znaczy Anatola. Nasprawdzał tu Bóg wie kogo. Jakbyśmy bez tych zamorskich

cudaków żyć nie mogli. Owszem, nie powiem, obroty przy nich większe, ale i bałagan też. A ja na stare lata już chcę więcej spokoju, a z tym Tolkiem to wciąż kłopoty. Jedyne chłopak w rodzinie, bo nasz syn w czasie wojny zginął, więc wszyscy koło niego skaczą. Moja siostra to już nie wie, czym mu dogadzać. Dobry zawód ma, to jeszcze czegoś innego jej i jemu się zachciało. A czy to jest zajęcie dla młodego solidnego chłopaka z zawodem? Wykolei się, jak mi Bóg miły. I nie nadaje się do tego. Języki słabo zna, ludźmi kierować też jeszcze nie umie, doświadczenia życiowego za grosz, bo mamunia każdy pyłek przed nim zamiecie, żeby się biedak nie potknął...

Zgadzałem się, lecz odłożyłem na inną okazję wymianę poglądów z tą rozsądną niewiastą na temat dróg, którymi powinna chadzać młodzież:

— Skąd się wzięła ta waza w gablocie, pani Puchałowa? Podobno pani ją tam wstawiła.

— Z piwnicy w wieży. Kura mi kiedyś do tej piwnicy przez okno wpadła, bo ją pies wycieczkowiczów gonił i aż tam zagnał. Piękna kura, nośna, wlażłam w te gruzy, żeby ją poratować. Schowała się ze strachu w sam kąt, za skorupy, co tam leżą. Wyciągnęłam ją, no i patrzę, taki wazon śmieszny. Z sową. Pomyślałam, że jak Sowie Góry i „Sowie Ucho”, to ta waza w sam raz pasuje, żeby ją na widoku postawić, a nie w piwnicy trzymać. No i postawiłam.

— Czy w tej piwnicy są jeszcze podobne wazy? Czy w ogóle wygląda tam tak, jak gdyby coś jeszcze było prócz skorup? Może jakieś skrzynie, paki?

— Bo ja wiem, może gdzieś i są. Piwnica spod wieży kiedyś łączyła się z zamkową, ale tyle tam gruzu, że komu by się chciało nogi łamać i zdrową głowę narażać. Ja nic takiego w każdym razie nie widziałam. A na ziemi w piwniczce pod wieżą, tak jak panu mecenasowi już powiedziałam, same skorupy. Jakieś ułamki.

Czyżby „skarby Priama” uległ zagładzie podobnie jak jego część w Lebus porozbijana na »progach chat nowożeńców? Gdyby tak było, tłumaczyłoby to gorliwość Sungajły i jego współnika, czy też współników przy zdobywaniu egzemplarza,

który ocalał. Ale tej wazy też już nie ma. Pozostały okruchy, zaciśnięte w martwej dłoni ostatniego obrońcy skarbów Troi.

— Gdzie pani znajdowała się, pani Puchałowa, kiedy zgasło światło?

Pani Marianna zastanowiła się przez chwilę. Potem wykrzyknęła, uradowana, że może mi dać jasną i niedwuznaczną odpowiedź na moje pytanie:

— Gdzieżby?! W kuchni, a jakże. Bo ja to najczęściej w kuchni. Józia to dobra gospodyni, ale swoje dziwactwa ma i trzeba jej pilnować, kiedy są goście. Pomóc też trzeba, bo sama by nie dała rady. We dwie byłyśmy. Ona zmywała, a ja wycierałem talerze. Jak światło zgasło, kazałam jej iść do sieni, stołowego i salonu i zobaczyć, czy wszędzie są świece, no i pozapalać. A sama w kuchni zostałam. Później usłyszałam, że jakieś zamieszanie się zrobiło, no i też poszłam do sieni. Właśnie wtedy pan z Józią nieboszczyka wnosił.

Podziękowałam pani Mariannie za tak wyczerpujące wyjaśnienie i poleciłem, by przysłała do mnie Antka Ciołczyka.

Patrzył na mnie spode łba, pochmurno i z początku w ogóle nie okazywał chęci do rozmowy. Dopiero kiedy zagailem dyskusję na temat trudności, jakie miewają dorośli synowie z matkami, którym wydaje się, że są oni wciąż jeszcze małymi chłopcami, nabrał do mnie zaufania i wyznał szczerze:

— A bo matce się zdaje, że ją smarkacz. Że może mnie szturchać jak chce. Ja i tak się jej urwę. Do wojska na jesieni. Nauczę się tam jakiego fachu. Bo ja tylko podstawówkę skończyłem. Nie chciało mi się uczyć. Teraz to żałuję.

Pewnie wolał po lasach wnyki na zające zastawiać. Ale nie wypomniałem mu tego, nie chciałem tracić duchowego kontaktu, jeżeli miałby mi się wypowiadać szczerzej niż rodzonej matce.

— Chciałby pan pewnie, panie Antoni, ożenić się przed wojskiem.

— A pewnie, że bym chciał. Tylko że nie mogę, choć miałbym z kim.

— A to czemu?

— Pieniądzy nie mam. Matka ma, ale nie daje. I mówi, że

Franka, fryzjerka, to nie dla mnie para. Bo ona ma wymagania. Pewnie, że ma. Kto dziś chciałby żyć, jak kiedyś ludzie żyli. Ładna jest, ubrać się lubi, to fakt.

— Zarabia pan tu jako palacz i dozorca. No i goście, turyści, wycieczkowicze też chyba dają parę złotych za Usługę...

Mój niewinny ton nie sugerował żadnych podejrzeń ani oskarżeń, lecz Antek nastroszył się:

— Zarobek to matka zabiera, na papierosy mi tylko zostawia. Tyle właśnie mam, co goście dadzą.

Zdecydowałem się na atak.

— Panie Antku, musi mi pan pomóc. Przrzekam panu, że to, co pan mi powie, zachowam do mojej wyłącznej wiadomości. Ani matce nie powiem, ani Puchale. Wie pan, ja jestem adwokatem, obrońcą, umiem milczeć. Ładnie bym wyglądał, gdybym rozgłaszał wszystko, co mi ludzie powiedzą. Więc jeszcze raz zapewniam, że nie wydam pana. Ale jeżeli mi pan nie powie, jak to było z tymi kluczami od zbrojowni, to nici z naszej sztamy. Ja do tego i tak dojdę, bo powiedzą mi ci, którym pan klucz dostarczył za forszę. Będzie gorzej.

Okazał skrajne przygnębienie:

— Bo ja... bo...

— No, wal pan śmiało.

Dobra jest — zdecydował się — powiem. Jak tylko wróciłem rano ze wsi, przyszedł do mnie jeszcze przed polowaniem pan docent Sungajło z tym czarnym, jak on się tam nazywa...

— Finelli?

— Chyba. Po imieniu mówił do niego „Marco”. No i pan docent powiedział mi, żebym po cichu zabrał klucz od zbrojowni z szafki i mu dał. Temu czarnemu.

— A dlaczego sam nie wziął? Czuł się tutaj przecież bardzo swobodnie.

— Jak u siebie w domu, panie mecenasie. Nie wiem dlaczego sam nie wziął. Może dlatego, że i matka, i pani Puchałowa, i pan kierownik wciąż się tam kręcili. Za to, że im przyniosłem ten klucz, dali mi dwieście złotych. Przed obiadem ten czarny przyniósł mi go z powrotem i zawiesił na miejscu w szafce.

— A wieczorem też kazali panu przynieść klucz?

— Nie. Oni nie. Ale ten Niemiec.

— Doktor Wilhelm Schmuckdorf?

— Tak. On po polsku trochę mówił. Bardzo źle, trudno było nieraz zrozumieć, ale tak, piąte przez dziesiąte. Tyle że zrozumiałem o co mu chodzi. Dostałem za to pięćdziesiąt marek.

Przypomniałem sobie tę scenkę podczas maskarady: Schmuckdorf pertraktuje poufnie z Antkiem. Schmuckdorf wymienia ostre zdania i pogróżki z Sungajlą. Potem to, o czym powiedział Czereja: chwilowe przymierze dwóch antagonistów, Smogora i Schmuckdorfa w obliczu rabunku, zagrażającego trojańskim wazom. Zapewne Schmuckdorfa zgubiła zawziętość. Uważał się za jedynego uprawnionego do ochrony zatajonej darowizny Henryka Schliemanna.

Upewniłem się jeszcze raz:

— To było podczas balu?

— Tak. Przyniosłem ten klucz, ale...

— Dał go pan może komuś innemu?

— Nie. Dałem Niemcowi. Ale niech mi pan mecenas powie, jak to możliwe... Ja mu daję ten klucz, on idzie do zbrojowni, otwiera sobie nim drzwi, wchodzi, tam go zabija ktoś, a klucz wraca do szafki kolo kuchni. Jak?

Pofrunął sam czy co? Bo żeby nieboszczyk go tam z powrotem zaniósł i powiesił na miejsce, to tylko moja matka gotowa uwierzyć.

— Myli się pan, mój drogi. W drzwiach zbrojowni od środka siedział inny klucz, podrobiony. Mam go tu, przy sobie. Niech pan zobaczy, panie Antku.

— Dorobiony — zgodził się potulnie, przyglądając się kluczowi, który wyciągnąłem z kieszeni. — Tamten zupełnie inny. Taki sam stary jak ten, co go pan kierownik Puchała nosi w kieszeni kurtki.

— A więc to musiało być tak, że kiedy doktor Schmuckdorf pobiegł do zbrojowni, zastał drzwi już otwarte. Wszedł i tam stało się to wszystko, co się stało, potem zaś morderca, pozostawiając dorobiony klucz w drzwiach, zabrał Schmuckdorfowi klucz zapasowy i zaniósł na miejsce do szafki.

Powiedziałem to i zadałem sobie w duchu pytanie: tylko po co to zrobił? Nie umiałem na nie odpowiedzieć.

Antek pokiwał głową:

— Na to wychodzi. Ale ja muszę powiedzieć panu mecenasowi, że ja to tam nie żałuję pana Sungajły. Choć może on i uczony człowiek.

Zadziwiła mnie ta rodzinna solidarność. Przecież pani Józia Ciołczykowa też nie oplakiwała nieboszczyka. Jej wyobraźnia wręcz nie umieszczała go w rajy wśród aniołów i dusz ludzi sprawiedliwych. W oczach chłopaka dostrzegłem jednak coś więcej niż niechęć. Była to nienawiść.

— Zrobił panu co złego?

— Tak. Po mojemu, to on jesienią zabił na polowaniu pana Wawrzyńca Bukara.

— Poprzedniego kierownika „Sowiego Ucha”?

— Właśnie. Najpierw był z nim w przyjaźni. Przyjeżdżał tu często, jeszcze latem tamtego roku. Poczęstunki przywoził, prezenty. Ale wujek...

— Bukar był pana wujkiem?

— Nie. Ale matka moja tu od wojny pracuje, Bukar też od samego początku tu był. A że ojca nie znałem, umarł zanim się urodziłem, pan Bukar mnie wychowywał. Był mi jak ojciec. Dobrze dla mnie zawsze chciał i żebym go słuchał, lepiej by mi było. Mówiłem na niego wujek. Więc wuj na te prezenty od pana Sungajły nie leciał i słyszałem jak sobie raz i drugi przygadali mocno. Wujek nawet kiedyś powiedział: „lepiej by było, żeby pan przestał tu się tak kręcić i węszyć”. No to potem pan Sungajło już nie przyjeżdżał sam, tylko z profesorem. Wtedy wujkowi nie wypadało tak wyprosić. A na tym polowaniu jesienią to ja też byłem i na moje oko pan Sungajło bliżej miejsca wypadku był, niż pani profesorowa ale ona później świadczyła, że strzelba w rękę wujka prosto w głowę mu wypaliła.

— Dlaczego nikomu pan o tym nie mówił?

— A bo to chciał mnie kto słuchać? Zresztą... dał mi wtedy pan Sungajło tysiąc złotych i kazał milczeć. Że niby nic nie widziałem, nie słyszałem, i w ogóle byłem daleko. Forsa to mi

się przydała, nie powiem, ale jak tak dłużej o tym zacząłem myśleć, to mnie coraz większa złość brała. Na niego i na mnie samego. Na niego, że to on pewnie coś tam pomajstrował z tą amboną na sośnie i że on wujka zabił, i że mnie sobie tanio kupił. A na siebie złość, że taki dureń i podły, że pieniądze od niego wzięłem. Tak mi było, jakbym wujka sprzedał. Nie powiem, nie. Nagłej śmierci to ja panu Sungajle już dawno życzyłem. No i na moje wyszło.

— Gdzie pan był, panie Antku, kiedy zgasło światło? — zadałem sakramentalne już pytanie.

W jadalni na kominku żar przegarniałem. Pana żona stała przy nim i grzała się. Ładna pani. A z tym światłem to pan mecenas wie, co to było?

— Pan Puchała mówił, że pewno elektrownia wyłączyła prąd, więc chyba chwilowa awaria.

— Nijaka awaria. Kiedy poszedłem już po wszystkim do centralnego dorzucić w kotłowni, popatrzyłem na tablicę, gdzie wszystkie korki od światła. Przekreślony był główny korek. Ktoś wyłączył. No to włączyłem z powrotem.

Masz tobie raz! To nikomu z nas nie przyszło do głowy. Ktoś wyłączył. Jeżeli tak, to chyba tylko Finelli, który prosto z piwnicy wylazł w moje objęcia. Drugi ewentualny kandydat: John Black, prawdziwy czy rzekomy wysłannik Interpolu. Sam się przyznał, że schodził do piwnicy w krytycznym momencie, deptając po piętach Finellemu. Komu tu wierzyć?

Niech pan powie, panie Antku, matce, żeby tu do mnie przyszła. Ale niech się pan nie boi. Wszystko, co pan mi mówił, zostanie między nami.

Trzymała się prosto, z godnością, ręce skrzyżowała na wydatnym biuście.

— Pani była w kuchni, pani Józiu, kiedy to wszystko się działo, to już wiem. A potem, idąc do sieni, zemdląła pani. O tym wiem jeszcze lepiej, bo sam panią podnosiłem i cucilem.

Potwierdziła skinieniem głowy:

— Zgadza się. Bardzo panu mecenasowi dziękuję, że tak się mną zajął.

Spytałem familiarnie:

— Dobrzy ci Puchałowie, pani Józiu?

— Owszem, nie narzekam.

— A jaki był Wawrzyniec Bukar?

— To całkiem inna sprawa. Nie żyje już, to mogę mówić, bo co komu do tego, ino mnie to dotyczy. Młoda dziewucha byłam, tylko że zmarnowana, jak z robót, z Niemiec tędy zaraz po wojnie wracałam. Siadłam przy drodze odpocząć, przy tej, co spod góry do wsi prowadzi. Nadszedł, popatrzył na mnie i zabrał tu, na górę. Że pracę da, mieszkanie i jeść. Zgodziłam się. Nikogo na świecie nie miałam. Ani niczego. No i tak tu zostałam. Byliśmy ze sobą. No, pan mecenas rozumie, co mówię. Antek to jego syn. Kiedyś to nawet żenić się Wawrzyniec ze mną chciał, ale ja mu wytłumaczyłam, że on jest dla mnie za mądry, a ja prosta i głupia dziewczyna. Nie chciałam, żeby się mnie kiedyś wstydził. Tak to było. Kochał Antka. Dobry był dla mnie.

Otarła wierzchem dłoni łzę z policzka.

— Czego mógł chcieć od niego Sungajło, kiedy tu przyjeżdżał?

— A bo ja wiem. Mnie Wawrzyniec nie wszystko mówił. Uważał pewnie jak ja, że to nie na mój rozum. Obiło mi się tylko o uszy kiedyś, że pan Sungajło chciał, żeby mu tajemnicę jakąś wydał. Ale o co to dokumentnie szło, nie mam pojęcia. Widać jakąś swoją tajemnicę Bukar miał.

— Czy utrzymywał stosunki z kimś za granicą? Czy przyjeżdżał tu ktoś do niego? — zadałam to pytanie, bo zaczęła mi się zarysowywać pewna, mglista jeszcze, koncepcja.

— Przyjeżdżać, to nie przyjeżdżał nikt. Listy pisywał i dostawał, ale rzadko. Od siostry. Znaczy się od pani Marty Schmuckdorfovej. Bo to jego rodzona siostra. Jak zginął, to napisałam do niej. Nie wiem, czy co z moich kulfonów wyrozumiała, ale widać tak, bo przyjechała. Z godzinę albo i dwie wczoraj rano w kuchni u mnie przesiedziała, wypytywała, co i jak, ale tylko jak pani kierownikowej w kuchni nie było. Mówiła, że nie chce, żeby ktoś wiedział, że ona i Bukar byli krewni. Ja się niczemu takiemu nie dziwię, bo ja jej też nie mówiłam, że żyłam z Wawrzyńcem i że Antek to jej bratanek.

Bo i co jej do tego, jak nawet Antek o tym nie wie.

— Dlaczego teraz dopiero przyjechała, po pół roku?

— Nie mogła wcześniej, jej mąż, znaczy się pan doktor, całą jesień i pół zimy chorował.

Poczułem, że zrobiłem duży krok na drodze do wyjaśnienia wielu zawilości, w które obfitowała ta niezwykła sprawa. Należało zrobić krok następny, toteż zaprosiłem panią Martę Schmuckdorffową, aby mi towarzyszyła w tym niełatwym zadaniu.

Nadal już teraz mówiła po polsku, zastępując niemieckimi wyrazami te tylko polskie słowa, które zdążyły ulecieć jej z pamięci:

— Wilhelm był siostrzeńcem Dorna, ostatniego właściciela „Sowiego Ucha” i okolicznego majątku. To znaczy matka Wilhelma była siostrą Dorna. A ojciec, i mój, i Wawrzyńca był zarządzającym. Moja rodzina tutejsza, ale polska. Śląska. Ja w tej wsi urodziłam się, na dole... Wilhelm przyjeżdżał tu często na wakacje, znaliśmy się od dziecka. Potem pokochaliśmy się, jak jeszcze był studentem. Pobraliśmy się, chociaż jego rodzina była przeciwna. Ale on był zawsze uparty i gwałtowny. Zerwał z rodziną, wyjechaliśmy do Berlina. To był dobry człowiek. Bardzo go kochałam.

— Przed samą wojną zameczek i majątek już nie należały do Dornów?

— Nie. Stary Dorn zmarł, wdowa po nim sprzedała wszystko, tak jak mąż mówił podczas pierwszej naszej kolacji, niejakiemu Baumannowi. Mój ojciec też już wtedy nie żył, ale posadę rządcy po nim odziedziczył mój brat. Baumann zostawił go na gospodarstwie, bo sam mieszkał tu rzadko, był funkcjonariuszem gestapo.

— Pani tu już nie bywała?

— Nie, nie przyjeżdżałam. Moja rodzina też miała mi za złe, że wyszłam za Niemca, choć on był z rodziny Dornów. Mój mąż przyjechał tu raz, podczas wojny. Ale beze mnie. Wiedziałam o tym wyjeździe tylko tyle, że wywiózł tu do „Sowiego Ucha” część zbiorów z muzeum, w którym pracował. Na polecenie władz, oczywiście, ale pomysł był jego, żeby właśnie tu...

— Czy to odbyło się w porozumieniu z Baumannem?

— Baumann został tylko powiadomiony o tym oficjalnie przez władze. Znajdował się wtedy gdzieś na froncie. Nie było go tutaj, kiedy Wilhelm przywiózł zbiory.

I nigdy nie został uświadomiony, gdzie mieści się skrytka. Tylko dwie osoby zajmowały się, nie wiem: zakopaniem, czy zamurowaniem tych rzeczy. Wilhelm i Wawrzyniec, mój brat. Wilhelm odszukał go, wtajemniczył we wszystko i kazał pilnować. Wie pan, to może dziwne, może nawet i niedobre, ale moja rodzina od wieków służyła Dornom. Posłuch wobec Dornów był rodzinną zasadą. Więc jak mojemu bratu Wilhelm powiedział, że tylko jednemu człowiekowi, właśnie jemu, Wawrzyniec może wydać kiedyś skarb, nie znalazłaby się siła na świecie, która zmusiłaby Wawrzyńca do złamania słowa i zdradzenia tajemnicy.

— Pani brat wywiązał się z zadania.

— Tak. Od czasu do czasu pisał, że wszystko w porządku. Tylko przed samą śmiercią dał znać, że jakiś zwariowany polski archeolog kręci się za bardzo koło kryjówki. „Na co czekasz, Wilhelm”, mówiłam mu. „Można dogadać się z polskim rządem, porozumieć się co do podziału albo odszkodowania, a tak, zobaczysz, ktoś to ukradnie”. Nie słuchał mnie. Twierdził, że ma jeszcze czas. Pan się domyśla chyba, na co on liczył. To bzdura. Dornowie i Baumannowie stąd odeszli, pozostali tacy, jak moja rodzina. Przy nas to już zostanie na zawsze.

— Skąd pani dowiedziała się o śmierci brata?

— Jego gospodyni, Józia, napisała. Dziwny to był list. Tak, jak gdyby ta kobieta miała podejrzenia, że nie był to po prostu nieszczęśliwy wypadek. Mieliśmy zaraz przyjechać, ale mąż rozchorował się na serce. Leżał aż do końca grudnia w łóżku. Jak tylko wyzdrowiał, zaczęliśmy się starać o wyjazd. Wycieczka „Orbisu”, to było to, co najmniej rzucało się w oczy. Nalegał tylko w liście do dyrekcji, żeby pozwolono nam odwiedzić te strony.

— Czy mąż pani mówił, co to były za zbiory, czy nie wspomniał choćby wczoraj, gdzie znajduje się skrytka?

Pokiwała smutno głową:

— Nie. Nie wiedziałam. Nie mówił mi. Może jednak mi nie ufał do końca, chociaż byłam tyle lat jego żoną. Czasami żartował sobie z mojej „polskiej duszy”. Dopiero tu, na miejscu, z dyskusji domyśliłam się, że to chodzi o część zbioru waz trojańskich. Okropnie złościł się z powodu tej wazy w gablocie. Coś mu się z nią nie zgadzało, ale nie wiem co. I krzyczał do mnie, że wszystkiemu winien mój brat. Kiedy zapytałam, dlaczego, machnął tylko ręką i mruknął, że nie będzie mi tłumaczyć, bo się nie znam na tym.

— Czy ktoś oprócz pani brata ostrzegł męża wcześniej, że tu kręcą się koło skarbu? Czy orientował się, że zastanie tu zainteresowanych, takich jak na przykład docent Sungajło?

— Tak. To przyspieszyło nasz przyjazd. Któregoś dnia jeszcze w domu powiedział mi, że okrężną drogą dotarł do niego list od Baumanna. Baumann pisał, że jest za granicą, że ukrywa się pod przybranym nazwiskiem i że potrzebuje pieniędzy dla siebie i swoich kumpli. I że wobec tego postanowili wykopać i wykraść z „Sowiego Ucha” trojańskie wazy, bo mają na nie bardzo bogatych amerykańskich kupców. Żądanie Baumanna polegało na tym, aby Wilhelm zdradził kryjówkę.

— Jak zareagował na to pani mąż?

— Ogarnęła go taka wściekłość, że bałam się o jego zdrowie. Nawet o życie. Żeby znów nie dostał zawału: Nie o to tylko chodziło, że był fanatycznie przywiązany do tych waz. Jak już panu powiedziałam, to był bardzo porządny człowiek. Brzydził się hitleryzmem i tym wszystkim, co ci ludzie robili. Takim znów bohaterem, żeby przeciwstawić się im, walczyć z nimi, nie był. Do żadnego ruchu oporu nie należał, unikał nawet kontaktów z takimi, których mógłby podejrzewać, że należą do antyhitlerowskiej tajnej organizacji. Uważał, że naukowiec ma swoje cele, wyższe niż doraźne działanie polityczne.

I teraz, rozumie pan mecenas, ci sami ludzie, którymi tak gardził, żądali, aby oddał do ich dyspozycji najdroższą dla niego rzecz, po to, aby mogli bezpiecznie i w dobrobycie Siedzieć za granicą, unikając kary, na którą zasłużyli. To było całkowicie sprzeczne z jego poglądami. Na to nie mógł się zgodzić. Przyjechał tu, żeby ratować co się da, żeby

przeciwdziałać zamiarom Baumanna.

— Dlaczego nie porozumiał się po dobremu z profesorem Smogorem?

— Oni kłócili się przez całe życie. O spisku nie mógł uprzedzić Smogora, bo Baumann mu groził, że go zabije. A Smogor nie wiedział o zamierzonej kradzieży, więc zaczął męża przy obiedzie wyciągać na słówka. Pewnie chciał, żeby w zapale zdradził się, że wie, gdzie są wazy. Mąż podkreślał wciąż, że tu ich nie ma, chciał odwrócić uwagę Sungajły, Smogora i innych, od „Sowiego Ucha”.

— Niech mi pani powie, pani Marto, czy Baumann jest tu, wśród nas, w „Sowim Uchu”?

— Tak.

— Kto to jest?

— Nie wiem.

Zaprzeczyła bardzo stanowczo. Mogło to mieć dwojakie znaczenie: albo że wie, ale nie zdradzi tej osoby, więc lepiej, żebym nie nalegał — albo, że naprawdę nie wie i ma o to wciąż jeszcze żal do męża, którego zaufanie do niej posiadało określone granice.

Nie układałem sobie specjalnie kolejności zaproszeń na zwierzenia przy kominku, jedna rozmowa wynikała z drugiej, nawiązywała do niej, potwierdzała poprzednią albo jej zaprzeczała. Pomyślałem sobie jednak, że skoro już rozpocząłem rozmowy z kobietami, warto by teraz porozmawiać 'z dwiema paniami, które na pewno mają mi dużo do powiedzenia. Zaprosiłem więc na pogawędkę panią profesorową Helenę Smogorową.

W przeciwieństwie do Józi, Marianny Puchałowej i Marty Schmuckdorfowej, miała minę obrażonej królowej:

— To są moje najbardziej osobiste, prywatne sprawy, panie Stefanie, ale wiem, że pan i tak mi nie da spokoju.

— Po prostu, pani Heleno, postaram się o informacje z innego źródła. Od innych ludzi. Rozczaruję panią, ale sporo już wiem i to, co pani kryje, albo co pani mi ujawni, sądząc, iż robi mi pani wielką przysługę, nie stanowi już dla mnie sekretu.

— Mówili panu, że byłem przyjaciółką Adama?

– Czy to nieprawda?

– Prawda. Uważam, że nowoczesna kobieta ma pełne prawo dysponowania dowolnie swoją osobą. Nie jesteśmy już niewolnicami domowego ogniska.

– Widzę, że pani ma bardzo nowoczesne poglądy. A zatem pełne równouprawnienie?

– Kto mówi o równouprawnieniu? Coś takiego nie istnieje w naturze. Zawsze zachodzi przewaga jednego z czynników. Chodzi o to, czy przeważa lepszy, wartościowszy, czy też mniej wartościowy. Pan to nazywa „nowoczesne poglądy”! Ależ my po prostu zaczynamy zawracać ze złej drogi, na którą wprowadzili mężczyźni ludzkość stopniowo w ciągu wielu wieków.

– Pani mówi o matriarchacie?

– Nie tylko. Dwa tysiące lat temu na Mazowszu i nad brzegami Bałtyku istniało państwo Amazonek, z czego też zapewne wywodzi się nazwa „Mazowsze”. Być może były to potomkinie lub dalekie spadkobierczynie idei Amazonek, które pod wodzą dzielnej królowej Pentesilei wspierały Trojan i króla Priama w walce z Grekami. Czy pan wie, jakie to były mądre kobiety i jak mądrze urządziły swoje państwo?

– Nie wiem, jak urządziły i nie wiem, jak ono mogło istnieć, skoro panie wyeliminowały ród męski z jego dość, powiedziałbym, naturalnej roli w pomnażaniu ludzkiego gatunku. Jak to przetrwało?

To było bardzo proste. Korzystały w tym zakresie z usług mężczyzn sąsiednich plemion. Chłopców, gdy się rodzili, zabijały albo w najlepszym razie odsyłały do ojców. Dziewczęta wychowywały starannie, aby kontynuowały tę tradycję. Dowodem rzeczowym są rozległe cmentarzyska na Mazowszu, nad Wisłą i Narwią, chociażby w Kleszewie koło Pułtuska, nawet na Pomorzu Wschodnim. Są to cmentarze wyłącznie kobiet. I małych dzieci. Zupełny brak grobów mężczyzn. Społeczeństwo kobiet. Potwierdzają jego istnienie, lub legendy o tym istnieniu, średniowieczni podróżnicy i kronikarze z Alfredem Wielkim na czele.

Pani mnie przeraża. Czy one zabijały mężczyzn?

Nie wiadomo. Może. A w każdym razie uważały ich za

niegodnych takiej czci po śmierci, jaka przysługiwała kobietom.

— Nie ma pani zbyt dobrego mniemania o mężczyznach.

Jeżeli pan mecenas jako mężczyzna nie obrazi się, powiem, że nie mam.

Dziwię się. Mając tak interesujących mężczyzn przy sobie, wysnuwa pani takie drapieżne teorie.

Kto panu powiedział, że oni są interesujący?

Pani mąż. z pewnością należy do luminarzy naszego społeczeństwa.

Muszę z żalem wyznać panu, że zaliczam się do głównych autorów tej legendy i producentów aureolki.

— Czyż tak?

— Tak. Beze mnie zagubiłby się w świecie jak małe dziecko. Co mówię, w świecie! We własnym mieszkaniu.

— Czy Sungajło bardziej imponował pani?

— Ależ skąd. Po prostu miałam już dość niańczenia mojego uczonego małżonka. Z biegiem lat tetrycjeje i zaczyna być nudny. Chciałam trochę pożyć w świecie. Adam miał zorganizować sprawę tych waz i ja między innymi podjęłam się wywiezienia ich części przez Czechosłowację do Austrii i dalej do Szwajcarii. Kto tam interesuje się ceramiką na granicy. Zawsze można powiedzieć, że to wyroby ludowe. Nikt u nas nie wie, jak wyglądały trojańskie wazy.

— Pani chciała więc użyć Sungajły jako narzędzia, a potem zostawić go na lodzie. Czy nie bała się pani, że jemu podobny pomysł mógł przyjść do głowy w związku z pani osobą?

Piękne usta Heleny zniekształcił brzydki grymas:

— Wyobrażał sobie, że bardzo mi na nim zależy. Taka męska zarozumiałość, wie pan. Schlebiał sobie, że nie ma życia dla mnie bez niego, co nie było prawdą. Nie przeszkodziło mu to w uwodzeniu tej małej Brazylijki. Czy miał wobec niej poważne zamiary, nie wiem. Coś jej tam pewnie naobiecował. W tym sensie mogłabym więc nawet przyznać panu rację: „zostawił mnie na lodzie”. Ale za granicą, gdybym miała ze sobą wazy, choć kilka, nie żałowałabym, gdybyśmy się rozstali. I też w tym sensie pan ma rację, że może nawet ja pierwsza zrobiłabym ten krok. Nareszcie urządziłabym sobie moje własne życie,

niezależne od nikogo, bez tych nieznośnych konwenansów, którym ulegać musi „pani profesorowa”. Chciałam być wolna. Nic z tego.

W jej głosie brzmiał zawód.

— Jeżeli pani tak mało w gruncie rzeczy zależało na panu Adamie, dlaczego pani osłaniała go swoim zeznaniem wtedy, gdy zginął Bukar?

— Ach, to pan też już o tym wie. Tak, to Adam zabił Bukara. Podciął gałąź, na której urządzona była ambona. Bukar spadł z wysokości sześciu metrów i stracił przytomność. Adam strzelił do niego z jego własnej strzelby z bardzo bliską żeby wyglądało na nieszczęśliwy wypadek. Takie rzeczy zdarzają się na polowaniach. Słyszał pan może, jak pewnego myśliwego, jadącego samochodem zabił jego własny pies. Leżał na tylnym siedzeniu przy nabitej strzelbie. Nadepnął łapą na spust. Potem przez długi czas cała milicja nie mogła dojść jak to się stało. Tu jedynym świadkiem byłam ja, o czym Adam z początku nie wiedział, ale zaraz mu to powiedziałam.

— Miała go pani w ten sposób w rękę.

— W pewnym sensie, owszem. Zmusiłam go do wyjawienia planów i włączenia mnie do spółki. No cóż, takie alibi, zeznanie tak poważnej osoby, jak pani profesorowa, jest coś warte.

Zadziwił mnie cynizm tej kobiety.

— Właściwie dlaczego Sungajło zabił Bukara?

— Najpierw proponował Bukarowi, żeby za pieniądze zdradził miejsce ukrycia trojańskich waz. Ale Bukar odmówił. Mało tego, zagroził, że da znać albo władzom uniwersyteckim, albo komu trzeba, a miał chyba na myśli Schmuckdorfa, i skarb zostanie przeniesiony w inne miejsce, o którym znów nikt nie będzie wiedział. Adam bał się, że Bukar ostrzeże Schmuckdorfa. Poza tym wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę i w to, że odnajdzie skrytkę, skoro już ma lokalizację. Bukar, jedyny opiekun, przeszkadzał. Więc go usunął.

— Widzę, że pani jest dokładnie wtajemniczona w plany i intencje pana Sungajły. Może mi wobec tego pani powie pokrótce, z kim jeszcze zawarł spółkę pan Adam. Oprócz Finello, o którym wiem wszystko.

— To kreatura, ten Finelli. Niestety, to on właśnie ma rozległe kontakty, które nam były potrzebne. Adam znał go z czasów, kiedy pracował we Włoszech. Sprowadził go do Warszawy i w Warszawie omówiliśmy cały plan. Finelli miał zasugerować w „Orbisie” wycieczkę właśnie do „Sowiego Ucha”. O ile się orientuję, Adam nawiązał również jeszcze za granicą kontakty z Rodriguezem i Robertem Stude.

— Gdzie pani się znajdowała w tym czasie, kiedy zgasło światło? — zapytałem kandydatkę na Amazonkę dwudziestego wieku. Mimo woli wypadło to oschle.

Piękna Helena uśmiechnęła się tajemniczo:

— Nawet by pan nie zgadł. W tym czasie, kiedy rozgrywały się w tym budynku dwie tragedie, dwie kobiety zwierzały się sobie ze swoich sercowych kłopotów. Panna Isabella Rodriguez i ja. W jadalni. Dałam jej do zrozumienia, że Adam ma bardzo niestałe upodobania. Raz podobają mu się postawne blondynki, kiedy indziej znów drobniutkie brunetki. Ale brunetki niech się nie cieszą, niech nie liczą na wierność. Trafi się ruda piękność i co wtedy będzie?

Pani Helena zupełnie widocznie nie dbała o to, co o niej pomyślę. Przyszło mi jednak nagle do głowy, że tak samo dobrze wszystko to może być gra. Demonstruje mi cynizm, amoralność, okrucieństwo, mówi o lekceważeniu Adama, podczas gdy to wszystko nie jest prawdą. Prawdą zaś jest to, że zabiła Sungajłę, gdyż kochała go, a on ją zdradził.

Nawet nie spodziewałem się, że moje zastrzeżenia okażą się tak szybko prawdą, potwierdzoną przez pannę Isabellę Rodriguez:

— Pani Smogorowa podeszła do mnie w jadalni i prosiła o krótką rozmowę. Usiadłyśmy w kąciку, żeby nas nikt nie słyszał i nie widział. Pani Smogorowa strasznie płakała. Mówiła, że zabrałam jej człowieka, bez którego nie może żyć.

Przecież pani go jej jeszcze nie zabrała, panno Rodriguez. Mógł zaprzestać flirtu z panią i wrócić do pani Heleny.

Uśmiechnęła się smutno, ale z poczuciem wyższości: Właśnie że nie mógł. W listopadzie wzięliśmy z Adamem ślub w Wenecji. W samej katedrze Świętego Marka. Och, to było takie

piękne!

U nas w Polsce ślub kościelny nie ma urzędowego znaczenia, miła pani. Mógłby w Polsce zawrzeć ślub cywilny z kim by tylko chciał.

Z czarnych oczu trysnęły łzy:

To samo powiedziała mu pani Smogorowa.

— Pani jej wspomniała o tym ślubie?

Tak Była wściekła, o jaka wściekła! Bałam się, że zacznie mnie bić. A potem powiedziała mi, że Adam mnie oszukał. Że ona go ma w rękę i on o tym tak dobrze wie, że nie ośmieliłby się wiązać z inną kobietą. Że cała ta historia ze mną to dla niego tylko pretekst do interesów z moim ojcem. I jak tylko on dostanie te wazy, rzuci mnie.

— Uwierzyła jej pani?

— Pokazała mi dwa bilety do Pragi Czeskiej na jutro, a Adam nic mi nie mówił o tym, że wybiera się do Pragi. Z nią.

— Ma pani rację. Jeżeli ktoś popełnia małe kłamstwo, stać go i na wielkie. Cóż wtedy pani zrobiła? Myślę, że była pani wstrząśnięta.

— Sama już nie wiem, co mówiłam. Chyba powiedziałam jej, że jak tak, to go zabiję. Bo dla mnie to małżeństwo z Adamem było strasznie, ale to strasznie ważne. Nie tylko dlatego, że zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia, kiedy spotkaliśmy się na Lido. Mój ojciec to twardy człowiek, dla mojej matki nie był dobry. Odkąd matka umarła, źle mi w domu. Jeżeli nie wyjeżdżamy za granicę, to czuję się na naszej plantacji jak niewolnica. U nas w Ameryce Południowej istnieje taki stosunek do kobiety. Niedobry. A Adam był inny. Opiekował się mną, ale pozwalał mi też robić, co chciałam. Mówił, że w Polsce tak jest. Że kobieta nie musi we wszystkim słuchać ojca i męża. Ojciec też jest skąpy. Adam mówił, że jak zrobi dobry interes na tych wazach, będziemy żyć po królewsku.

Przypomniałem sobie, co mówił Smogor o kobiecej postaci, która wybiegła w ślad za Sungajłą z domu:

— Wiem, co pani zrobiła następnie. To, co robią zazwyczaj kobiety, kiedy dowiadują się czegoś nieładnego o swoim mężu. Dodam do tego, że jest pani kobietą południową, a więc

skłoną do gwałtownego uczucia i niemniej gwałtownego działania. Zdrajcę należy zabić. A przynajmniej postraszyć i zrobić mu piekielną scenę. Światło w domu jeszcze się świeciło, zobaczyła pani, że Sungajło wychodzi na dwór, może nawet pani pomyślała, że już właśnie ucieka i nigdy pani już się z nim nie spotka... Pobiegnęła więc pani za nim, ale jeszcze po drodze, zarzucając na plecy cokolwiek bądź z wieszaka, zauważyła pani strzelbę, opartą o ścianę. Z tą strzelbą w rękę wybiegła pani, żeby ukarać niewiernego.

— Skąd pan o tym wszystkim wie? — jej oczy pełne były naiwnego zdumienia.

— Z życia, droga pani, z życia. Studiowanie ludzkich pasji to mój zawód. A co działo się dalej?

— Odtrącił mnie i warknął jak zły pies: „Odejdź, mała”. To było koło tych świerczków, które rosną pod oknem zbrojowni. Stałam tuż obok, kiedy podnosił głowę patrząc w to otwarte okno, i kiedy zawołał „Addio, Priamos”, i widziałam z boku, jak z okna wysuwa się lufa. O, Boże! Ja ją widziałam, nie wiem, czy on widział, bo szukał mnie wzrokiem wśród zamieci, a potem znów podniósł głowę do góry. I wtedy padł strzał. A ja mogłam go ostrzec, mogłam zawołać, mogłam skoczyć, podbić mu nogi albo z mojej strzelby wystrzelić na alarm. Ale nie zrobiłam tego. Więc to ja jestem winna śmierci Adama. Ja! Ja!

Trojański królewicz Parys miał żonę, zanim jeszcze porwał Menelaosowi Helenę. Nazywała się Ojnone i była nimfą. Wprawdzie Parys zabił Achillesa z pomocą Apollina, żeby zaprzeczyć opinii — złej opinii — jaka o nim panowała w Troi, lecz wkrótce potem Parysa zranił niejaki Filoktet zatrutą strzałą. Jedną tylko Ojnone, żona Parysa znała lekarstwo na ten jad i mogła mu pomóc. Poszedł do niej na górę Ida, gdzie Ojnone opłakiwała zdradę męża. Odmówiła mu jednak pomocy i Parys wrócił do Troi, by tam wkrótce umrzeć. Ojnone pożałowała swego okrutnego odwetu na niewiernym mężu i podążyła za nim do Troi. Za późno. Z rozpaczyny odebrała sobie życie. Mam nadzieję, że ta mała biedna, zdradzona Ojnone naszych czasów, nie robi tego samego.

Gdy przestała wołać to swoje uparte „Ja, ja, ja”, zapytałem

spokojnie:

— Więc nie strzelała pani z tej strzelby. A co pani z nią zrobiła?

— Najpierw strasznie krzyknęłam, kiedy Adam upadł. Chciałam podbiec, ale zrozumiałam, że trzymam strzelbę w rękę i każdy pomyśli, że to ja go zabiłam. Zobaczyłam, że idzie w naszą stronę ktoś, ale nie widziałam kto, bo światła już z okien nie padały i było okropnie ciemno. Kiedy podszedł bliżej, poznałam profesora Smogora. Pochylił się, potem wyprostował i odszedł w stronę drzwi frontowych. Nie widział mnie, bo stałam za świeczkiem.

I pan mnie też nie widział. Kiedy pan klęczał przy Adamie, a pani Józia przyglądała się, co pan robi, okrążyłam drzewka i uciekłam do domu. Strzelbę zostawiłam na dworze przy drzwiach sieni. Zakradłam się cichutko, w sieni był tylko pan profesor Smogor, siedział na zydłu z głową pochyloną. Nie zauważył mnie. To wszystko. To naprawdę wszystko, panie mecenasie. Czy pan mi wierzy?

Wierzyłem raczej jej, niż pani Helenie. W świetle tego, co mówiła Isabella, pani Helena nie miała alibi. Obie kobiety nie były razem, kiedy padł strzał. Mogła więc i Helena, znakomita strzelczyni, przebiec szybko do zbrojowni i schwyciwszy jakąkolwiek bądź strzelbę z tych, które leżały pod oknem na ławie, oddać strzał przez otwarte okno. Schmuckdorf nie zdążył jej powstrzymać, a gdy zorientowała się, że ma świadka swojego czynu, przebiła go sztyletem. Stary, schorowany człowiek i stosunkowo młoda, silna, zdrowa kobieta to nierówni partnerzy.

Pan Marco Finelli już ochłonął z przerażenia i teraz uśmiechał się przekornie, a nawet bezczelnie.

— To prawda, zamierzałem razem z Adamem Sungajło, którego poznałem we Włoszech, wywieźć z Polski trojańskie wazy, zwane skarbem Priama. Domyślałem się, że tę niedyskrecję zawdzięczam panu Johnowi Blackowi.

A może on próbował pana nabrać, że śledzi mnie z ramienia Interpolu? Co?

— Nic podobnego — skłamałem — zna pana z widzenia, bo

mieszka w tym samym miasteczku, na granicy włosko-szwajcarskiej, co i pan.

Roześmiał się łobuzersko:

— Akurat. Na oczy go tam nie widziałem. Owszem, z ramienia Interpolu od pewnego czasu snuje się za mną jak cień pewna ładna pani. Natomiast John Black... nie wiem czym się zajmuje, ale wiadomo mi, że przed kilku laty opuścił Anglię i wyjechał do Polski. Do Włoch ani do Szwajcarii po drodze nie wstępował.

— Skąd pan o tym wie?

— Muszę dużo wiedzieć o różnych ludziach, inaczej nie mógłbym prowadzić interesu. Zresztą, w tym wypadku to nieważne, mogę panu ujawnić, ostrzegł mnie Adam Sungajło. Żeby uważać na Blacka. Spotykał go w Warszawie w towarzystwie, które wydało mu się podejrzane.

Rozwiązanie zagadki, kogo Adam Sungajło uważał za podejrzane towarzystwo, mogłoby mi niesłychanie ułatwić życie, ale Finelli nie był człowiekiem, który nadawałby się do wyjaśnienia tej kwestii. Powróciłem do sprawy sowych waz:

— To, co chcieliście zrobić z Sungajłą, nazywa się przemytem. Pan się chyba orientuje.

Wydał pogardliwie wargi:

— Phi. Przemyt. Nie lubię tego określenia. Ja ułatwiam prawdziwym znawcom i wielbicielom sztuki możliwość posiadania, a raczej obcowania na co dzień z przedmiotami, będącymi własnością niczyją. Niczyją czyli ogólnoludzką. Robię to oczywiście za pieniądze, dla pieniędzy, bo każdy musi na świecie z czegoś żyć, więc i ja też. Ale nie robię nic innego, jak tylko to samo, co robił Henryk Schliemann i inni tak zwani wielcy archeologowie. Czy pan się zgadza ze mną?

— No, nie bardzo... To jednak było co innego.

— Ależ nie, bynajmniej. Schliemann, o tym wszyscy wiedzą, przeszmuglował skarby trojańskie z Turcji do Grecji. Musiał je przez pewien czas ukrywać przed konfiskatą. Zgłaszał pretensje do tych skarbów rząd turecki. Ale przecież, na Boga i Mahometa, rząd turecki również nie był prawym posiadaczem skarbów, zakopanych w ziemi, która przechodziła setki i tysiące

razy z rąk do rąk. Ci, którym sprytny Niemiec sprzątnął sprzed nosa skarb, nie byli nawet dalekimi potomkami tych, którzy sobie wazy lepili. Ja nawet sprostuję to, co powiedziałem, że Schliemann przeszmurował. Nie, on tylko potajemnie wywiózł. I też nie był w moich oczach właścicielem skarbu. On go tylko chwilowo miał. Jakże mógł więc nie- swoją własność darować komuś? W tym sensie dla mnie berlińskie muzeum też nie było właścicielem tych waz i innych rzeczy z Troi. Chociaż tak się zdawało biednemu Schmuckdorfovi. Teraz skarby te znajdują się, powiedzmy, tu. Tak twierdził Adam. Czyje są? Wasze, polskie? Czy też pana, jak on się nazywa... Puchalla? Śmieszne. One należą do całego świata i do nikogo. Każdy ma do nich prawo, więc i ja, i ten, kto ode mnie chce je dostać, płacąc mi za dostarczenie. A że dostarczenie jest trudne i kosztowne, zapłaci dużo. Nie za wazy. Za ich dostarczenie.

— Ależ, panie Finelli — zaprotekowałem z oburzeniem — to byłaby ogólna anarchia, powszechny rozbój, gdyby tak podchodzić do sprawy, jak pan to proponuje. Prawo poszczególnych krajów reguluje już te kwestie.

Prawo międzynarodowe również, określa okoliczności...

— Bzdura, bzdura, bzdura! — wykrzyknął z emfazą — te prawa, te ograniczenia i zakazy wymyślili sobie doradcy finansowi rządów. To im łąta budżet, nadwerężony przez nadmierne wydatki na policję, reprezentację, wojsko i inne takie instytucje pożytku publicznego. Przyjdzie czas, że skarby sztuki staną się własnością międzynarodową. Zabytki, prócz zabytków architektury, będą krążyć po świecie. Ale nie w taki sposób, że ktoś nagle powiada: „A teraz, od tej chwili, to dzieło jest moją własnością, będę je trzymał w tym jednym miejscu na kuli ziemskiej i wara komu do tego. Chroni mnie prawo mojego kraju!” Ale tak teraz jest. Moi mocodawcy, moi klienci nie są gorsi od tak szanownych instytucji naukowych, jak Luwr czy British Museum. Z jakiej racji paryski Luwr mianował siebie właścicielem Wenus z Milo albo Nike z Samotraki? Lord Elgin w 1810 roku wyłamał ze skarbcza w Mykenach fryz z zielonych kamieni i umieścił go w Muzeum Brytyjskim w Londynie. I pan chce mi wmówić, że ten fryz należy do British Museum?

Wiedziałem, że nie ma racji, mogłem przytoczyć dziesiątki argumentów przeciwko jego poglądom. Mogłem mówić o prawie znalazcy, o potrzebie konserwacji i fachowej opieki nad zabytkami, o dobru nauki, o pożytku, jaki płynie dla całej ludzkości z wykopalisk, poszerzających naszą wiedzę o zamierzchłej przeszłości, ale zrezygnowałem. Nie byłem bowiem pewien, czy Finelli prezentuje mi tu swoje idealistyczne i romantyczne wizje, gdyż istotnie tak myśli albo dosztukowuje ideologię do brzydkiego proceduru przemysłowca – czy po prostu chce mnie zagadać i przypuszcza, że ja, naiwny, dam się na to złapać.

– Proponuję, żebyśmy kiedy indziej przedyskutowali ten frapujący temat, panie Finelli. Na razie chciałem panu wyjaśnić pańską sytuację. Ponieważ niczego jeszcze pan z Polski nielegalnie nie wywiózł, nic panu nie grozi. I jeżeli pana rola w wypadkach, które tu zaszły, ogranicza się rzeczywiście wyłącznie do pomocy, udzielonej panu Sungajle przy nieudanej próbie zabrania stąd czegokolwiek, co miałoby wartość historyczną chwała świętemu Markowi, pana patronowi. Ale jeżeli dojdziemy do tego, że brał pan udział w dokonaniu zbrodni, podwójnego morderstwa, marny pana los. Dlatego radzę, żeby mi pan wszystko wyznał. Całą prawdę.

Stracił swój ferwor i pewność siebie, ale nie w takim stopniu, który świadczyłby o tym, że jest przerażony, bo czuje się winny:

– O key, jak powiedziałby pański angielski pupilek. Wszystko powiem, bo arii ja, ani moi klienci nie lubimy rozlewu krwi. Ja w tym palców nie maczałem. Bo też nie ja jeden miałem pomagać signore Sungajło.

– A kto jeszcze?

– Nie wiem. Adam mówił, że sprowadził tu kogoś, kto będzie bardzo pożyteczny. Myślałem, że to ten Niemiec, doktor Schmuckdorf. Że będzie zainteresowany zabraniami z Polski tych rzeczy. Ale okazało się, że to zasuszona muzealna mumia.

– Na czym polegało pana zadanie? Nie mam na myśli kolejnego etapu, który nie nastąpił, to znaczy wywiezienia waz. Ale tu, na miejscu, przedwczoraj i wczoraj. Co pan robił?

– Spacerowałem.

— Pan sobie ze mnie kpi, panie Finelli.

— Ja wcale nie kpię, panie mecenasie. Moje zadanie polegało właśnie na nieustannym chodzeniu. Może się to panu wydać dziwne... te stosunki między mną i Adamem. Wygląda na to, że słuchałem jego poleceń. Ale to moja taktyka, która już nieraz pomogła mi w trudnych sytuacjach. To ja byłem jego zleceniodawcą. Ale wolę zawsze wiedzieć mniej, niż wiedzieć za dużo o sposobie, w jaki ludzie zdobywają potrzebne mi obiekty. Tak lepiej, zdrowiej. No więc i tu robiłem to, co polecał robić mi Adam, bardziej niż ja zorientowany w waszych stosunkach.

Koniecznienie chciał, żebym go nie uważał za małego łotrzyka, międzynarodowego aferzystę podrzędnej kategorii. Dziwna mania wielkości.

— Czy nareszcie dowiem się czegoś konkretnego? Dokąd pan spacerował i po co?

— Najpierw tej nocy, kiedy przyjechaliśmy, po wizycie w zbrojowni. Kiedy wszyscy poszli do pokojów, Adam przyniósł mi klucz od zbrojowni, taki stary klucz. Kazał iść cichutko do zbrojowni, wyjąć wazę z gabloty i albo ją przynieść do jego pokoju, albo schować gdzieś w dobrym miejscu w zbrojowni. Poszedłem przez schody, o których pan już wie: z korytarza sypialnego piętra do zakrętu korytarza koło zbrojowni. Ale ani nie mogłem tamtędy wrócić, ani zabrać wazy, bo deptał mi po piętach mister John Black. Chodzi jak kot, ale dosłyszałem jego kroki, skradał się za mną. Wobec tego schowałem wazę pod spódnicą tego ludowego stroju, który stoi na środku sali, a sam wróciłem okrężną drogą, żeby uciec Blackowi.

— Gablota była zamknięta na klucz. Jak pan się do niej dostał?

Z uśmiechem zadowolenia wyjął z kieszeni scyzoryk.

Rozłożył go. Nie były to różne ostrza, jakich zwykli używać harcerze, rybacy i myśliwi. Oprawka ukrywała ^v w dość obszernym wnętrzu komplet precyzyjnych, malutkich wytrychów. Ładna zabawka.

— Rozumiem — pokiwałem głową. — A co pan zrobił z kluczem?

— Adam pokazał mi miejsce, w którym miałem zawiesić

klucz. Taka szafka w korytarzu przy kuchni. Zrobiłem to i wróciłem na górę. Rano Adam powiedział, że musi mieć ten klucz znowu, ale że to do niczego stale zdejmować go z haczyka w szafce. Tam kręcą się bez przerwy domownicy. Trzeba na godzinę dostać ten klucz do ręki i dorobić według niego drugi. Ten smutny chłopiec, syn gospodyni przyniósł go, a ja poszedłem na dół do wsi. Przyczepił się do mnie Black, ale na dole udało mi się go gdzieś zgubić. Poszedłem do ślusarza, którego wskazał mi Adam, pokazałem na migi, o co mi chodzi i za godzinę miałem duplikat klucza do zbrojowni. Wróciłem na obiad, oddałem temu Antonio klucz z szafki, a duplikat wziął ode mnie Adam. To już wszystko z kluczami. Jak pan widzi, naprawdę wymagało to spacerowania.

— A co pan robił w nocy w piwnicy? Tej nocy, nie tamtej. Kiedy zgasło światło i natknęliśmy się na siebie zanim krzyknęła gospodyni.

— No widzi pan — ucieszył się jak dziecko — znów spacerowałem. Adam posłał mnie, żebym wyłączył światło. Jeszcze przedtem był ze mną razem w piwnicy, żeby pokazać, gdzie są wyłączniki.

— Czy ta waza w zbrojowni to było wszystko, co znalazł Sungajło?

— Po balu mieliśmy nad ranem iść po skrzynie i wynieść je w las, gdzie Adam wyszukał podobno dobre miejsce na schowanie. Ale ja naprawdę nie wiem, gdzie są schowane te skrzynie. Proszę mi wierzyć, panie mecenasie. Gdybym wiedział — dodał z zagadkowym uśmiechem, który nie wydał mi się przyjemny — może niepotrzebna byłaby mi współpraca Adama...

Byłbym doprawdy naiwnym optymistą życiowym, gdybym choć przez chwilę przypuszczał, że Finelli zdradzi mi kryjówkę skarbu, o ile ją zna. Odprawiłem go do jadalni i zająłem się brazylijskim plantatorem.

Pedro Rodriguez wyglądał wciąż jeszcze nie tylko jak potomek konkwistadorów, ale jak sam Pizarro, choć zdjął z siebie jego zbójcecki strój. Wytworny, kwiecisty szlafrok leżał na nim jak królewska szata, twarz miała wyraz nieprzystępny,

hardy i bynajmniej nie zachęcający do wchodzenia z nim w bliższą komitywę. Mimo to musiałem prosić go o potwierdzenie wiadomości udzielonej mi przez jego córkę.

— Tak — odpowiedział, podnosząc dumnie głowę — ożenił się z nią we Włoszech. Zażądałem tego. Nikt nie będzie bezkarnie bałamucić córki rodu Rodriguezów. Moi przodkowie zdobywali Peru.

— Czy pan lubi sztukę?

— Owszem, bardzo nawet. Ale nie te wylizane malowidła, trącające kolorową fotografią, jak włoski renesans, jak Holendrzy, albo broń Boże, francuski barok i rokoko. I nie te przepiękne podobno rzeźby greckie i włoskie. Zawsze mi się zdaje, że to gipsowe figurki z odpustu. Ja lubię prymitywy. Surowe formy. Kanciaste linie. Sztukę z epoki narodzin cywilizacji. Kiedy siła, naga siła, którą reprezentował człowiek pierwotny spostrzegła się, że zdolna jest stworzyć piękno. Te rzeczy zbieram.

— Interesowały więc pana zapewne trojańskie wazy?

— Nie kryję, że tak. Mój zięć zaproponował mi zakupienie części kolekcji, którą tu ukrył podczas wojny. Tak twierdził. Ale mówił, że rząd nie uznaje jego prawa do własności tych rzeczy i dlatego musi wywieźć je po kryjomu. Naturalnie, nie byłoby mnie stać na zakupienie całości. Ale mam człowieka, który posiada duże znajomości. W obu Amerykach są ludzie, którzy kupiliby te wazy.

— Co pan robił, panie Rodriguez, kiedy zgasło światło?

— Światło zgasło? W ogóle nic o tym nie wiem. Na schodach świeciło się, kiedy poszedłem na górę do swojego pokoju. Położyłem się, przekręciłem kontakt i zasnąłem!

Patrzył na mnie swoim ostrym, nieprzyjemnym wzrokiem jak gdyby spoglądał z góry w dół, chociaż siedzieliśmy naprzeciwko siebie i byliśmy mniej więcej jednakowego wzrostu. Pozbyłem się go bardzo chętnie i zmieniłem na rozmówcę bardziej podatnego do wynurzeń. Na Roberta Stude, rudowłosego wielbiciela Moniki Rosier. Amerykański handlowiec traktował sprawę rzeczowo. To miała być zwykła transakcja finansowa:

Rodriguez? Utrzymuję z nim stosunki handlowe, kupuję jego

kawę i tak dalej. Zaproponował spółkę. Wiedziałem, że to by się opłaciło. Poważna oferta. Wszystko skalkulowałem sobie. Mam dostęp do kilku naftowych milionerów z Teksasu. Oho, bogatszych od dziesięciu trojańskich królów. I prawdziwych władców w swoich majątnościach. Mogliby kupić nie tylko trochę tych starych garnków, ale wszystkie zamki w całej Polsce. Dolarami zapłacić. Ale wasz rząd nie rozumie się na dobrych interesach.

Nie pytałem już, w jakim zakresie współdziałał z Sungajlą. Właściwie nie było mi to potrzebne. Interesował mnie inny problem:

— W jaki sposób znalazł się pan koło zbrojowni w momencie, kiedy popełniono tam morderstwo?

Zafrasował się. Pocierał dłonią o krótkich, grubych palcach okrągły podbródek, który zaczął już porastać nieogolonym rudawym zarostem.

Och, to dość proste. Chociaż wy, Polacy, wy, Europejczycy w takich okolicznościach powołujecie się zaraz na dżentelmenerię... Chodzi o kobietę. Rozumie pan? „Cherchez la femme” mruknął z okropnym francuskim akcentem i zarżał głupkowskim śmiechem. Śmiech miał nieprzyjemny - podoba mi się bardzo ta paryżanka. Szykowna. Chciałbym ją zaangażować na kierowniczkę działu mody, który mam zamiar otworzyć w moich domach handlowych. Może nawet ożeniłbym się z nią. Bo ja jestem rozwiedziony.

Kto z was był pierwszy na zakręcie korytarza przy zbrojowni, pani Monika, czy pan?

To ona zerwała się nagle z miejsca w jadalni, gdzie odpoczywaliśmy po tańcu i wybiegła. Bałem się, że chce już uciec na górę, spać. Wiedziała o tych schodach na górę, bo poprzedniej nocy pokazywał je nam mister Puchau. Dogoniłem ją. Stała przed drzwiami zbrojowni i miała dziwną minę. Odciągnąłem ją siłą, bo i po co mieliśmy chodzić do zbrojowni? Nie wiedziałem, że drzwi otwarte. Zacząłem całować Monikę, ale ona wyrwała się, jak gdyby to było co złego. Wtedy usłyszeliśmy strzał. Ktoś strzelał w zbrojowni. A potem zaraz zgasło światło i coś jeszcze kotłowało się za drzwiami. I taki

trzask, jakby coś upadło i zbiło się. Pewno ta waza. Monika chciała biec tam, ale ja jej nie puściłem.

— Dlaczego? Może chciała biec na ratunek. To naturalne.

— Ale ja ją lubię i nie chciałem, żeby jej stało się coś złego. Jak mężczyźni walczą, to kobiety nie powinny się wtrącać. Nagle koło nas zjawił się Black. Zaświecił latarką, było bardzo głupio, bo wyglądało, jak gdybym nie wiem co robił tej kobiecie. Monika zaczęła krzyczeć do niego, żeby natychmiast wszedł do zbrojowni i zobaczył, co się tam dzieje. Zatrzymał nas przed drzwiami, a jak wyszedł stamtąd kazał nam stać i pilnować, żeby nikt nie wchodził, dopóki on nie wróci. Voilà!

We francuszczyźnie poczynił znaczne postępy, jak zdążyłem zauważyć, ale inne jego umiejętności bardziej mnie zastanawiały:

— Gdzie pan nauczył się tak świetnie strzelać, mister Stude? Byłem świadkiem, jak jednym strzałem strącił pan gawrona kołującego nad sosną. To jest bardzo trudne. Nie każdemu się udaje. Wiem, bo mam znajomych pod Warszawą, których co roku latem nawiedza plaga gawronów. Nie pomagają żadne lowy. Żadne strzelanie.

— W czasie wojny — odpowiedział bez zająknięcia. — Walczyłem w Europie. Dotarłem aż do Łaby.

Pozostała mi już tylko Monika Rosier. Doprawdy, nie potrafię powiedzieć, dlaczego odsunąłem ją na koniec długiej listy moich rozmówców. Czy dlatego, że jakoś nie pasowała mi do pozostałych osób dramatu, czy też spodziewałem się, iż jej wyznania będą szczególnie ważne? A może podświadomie lękałem się tej rozmowy?

— Bardzo panią przepraszam — odezwałem się tak serdecznie, jak tylko potrafiłem — za mimowolną niedyskrecję. Zupełnie przypadkowo dotarły do mnie fragmenty pani dyskusji z doktorem Schmuckdorfem podczas wczorajszego balu. Mówię „wczorajszego”, bo zaczął się już nowy dzień. Niech pani patrzy, świta...

Nie zainteresowała się moją marginesową uwagą o porze dnia. Była poważna i skupiona:

— O uczonych i o polityce. Czy to ma pan na myśli?

— Tak.

— Rozumiem. Moje słowa naprawdę mogły panu dać dużo do myślenia po tym, co się stało. Muszę więc, jeżeli ma pan na to czas i ochotę, opowiedzieć krótko moją historię rodzinną.

— Słucham uważnie.

— Mój ojciec był archeologiem. Ubóstwiałam go. Było nas tylko dwoje na świecie, bo matka zmarła kiedy ja przyszedłam na świat. Ojciec dużo podróżował, bardzo często zabierał mnie ze sobą. Prowadził prace wykopaliskowe, przeważnie w Mezopotamii, jego specjalnością były sprawy Sumerów. Moimi pierwszymi zabawkami były sita do przesiewania piasku, w których odnajdowały się okruchy glinianych naczyń, metalowe ułamki jakichś przedmiotów i narzędzi, kości. Tako młoda dziewczyna wiedziałam więcej o kulturach sprzed pięciu tysięcy lat, niż o współczesnej nam cywilizacji i dlatego bardzo się zdziwiłam, kiedy wybuchła wojna. W żaden sposób nie mogłam zrozumieć, dlaczego stali się nagle naszymi wrogami ludzie, z którymi tak często mój ojciec serdecznie korespondował, spotykał się na naukowych zjazdach, a często i w wykopach stanowisk archeologicznych. Zamiast wykopów były okopy. Prace naukowe poszły w ką, a mój ojciec zaczął znikać najpierw na godziny, a później na całe dni i tygodnie nie mówiąc mi dokąd się udaje. Kiedyś nie wrócił, mnie zaś dano znać, że został aresztowany i grozi mu wysłanie do obozu. Albo śmierć. Albo jedno i drugie. Nie wiedziałam, do kogo mam się zwrócić o ratunek. Ktoś poradził mi, żebym napisała albo pojechała do doktora Wilhelma Schmuckdorfa. Przyjaźnił się z moim ojcem, cenił wysoko jego dorobek naukowy i podobno nie zatrząskiwał drzwi przed ludźmi skrzywdzonymi przez swych współziomków. Otrzymałam przepustkę, choć było to nieprawdopodobnie trudne. Posłużyłam się jako pretekstem starą notatką ojca, abym jakieś materiały dotyczące wykopalisk trojańskich przesłała na adres Wilhelma Schmuckdorfa. Zawiodłam się jednak. Pan doktor Wilhelm Schmuckdorf oświadczył mi, że nie zajmuje się, jako uczoney, polityką.

— To pani mu wypomniała podczas maskarady.

— Tak, bo z początku nie poznał mnie, albo udawał że nie

poznaje. Więc przypominałam mu moją osobę.

— Czy pani ojciec...?

— Ojciec zginął w obozie. A mnie, już świadomą, co dzieje się nie w pokładach dawno zamarłego życia, ale w naszym świecie naszego wieku, koledzy wciągnęli do francuskiej partyzantki, Ruchu Oporu, żeby nie trzeba było kiedyś rozkopywać pagórka, pod którym skryłby się Paryż. Po wojnie dowiedziałem się, że mojego ojca zakatował w obozie osobiście niejaki Baumann. Była to bestia w ludzkiej skórze, mająca na sumieniu setki, jeśli nie tysiące, ofiar.

Rozumiem — powiedziałem ze współczuciem. Rozumiałem już bowiem w tej chwili więcej, aniżeli to, co zawierały ostatnie zdania wypowiedziane przez panią Rosier: zrozumiałe dla mnie stało się całe jej zachowanie. — Chciała go pani pociągnąć do odpowiedzialności, ale on zwiął, jak wielu jemu podobnych. Pewnie za Ocean.

I dobrze się ukrył. Pod przybranym nazwiskiem. Szukałam go przez całe lata. Bezskutecznie.

— Czy teraz go pani odnalazła? Czy po to przyjechała pani aż do „Sowiego Ucha”?

Moja przyjaciółka, mieszkająca w Meksyku, która również w czasie wojny przeszła przez obóz, znała Baumanna. Napisała do mnie niedawno, że spotkała go przypadkiem i rozpoznała. Dowiedziała się też, że wybiera się on do Europy, do Polski, bo ma tu jakiś interes do załatwienia. Podawała w przybliżeniu datę, co ułatwiło mi przyłączenie się do tej samej grupy. Ale niestety, o jednym moja przyjaciółka nie pamiętała, a może z jakichś nie znanych mi powodów nie mogła napisać. Nie dowiedziałam się od niej, pod jakim nazwiskiem Baumann się ukrywa i nie wiem, jak on wygląda.

Czy Schmuckdorf pani tego nie powiedział?

— Nie chciał. Pytałam,

A dlaczego nie porozumiała się pani ponownie z tą przyjaciółką z Meksyku?

Nawet zatelefonowałam do niej tego samego dnia, kiedy otrzymałam list. W przeddzień mojego telefonu zginęła w katastrofie samochodowej.

Czy nie uważa pani, że to dziwne? Rozpoznaje Baumanna, daje pani znać i natychmiast ginie w wypadku.

Ma pan rację. Miałabym podwójny powód, by szukać tego człowieka i...

— Oddać go w ręce sprawiedliwości, czy samej wymierzyć mu karę? — spytałem łagodnie.

Odpowiedzią było milczenie.

— Po co pani pobiegła do zbrojowni?

— Zobaczyłam, że doktor Schmuckdorf wymknął się z jadalnego pokoju i skierował się w tamtą stronę. Chciałam jeszcze raz zaapelować do niego. Prosić, by powiedział mi, kto z obecnych jest Baumannem. Nie zdążyłam. Prześladowuje mnie przecież od początku ten Robert Stude. Dopadł mnie, kiedy właśnie chciałam nacisnąć klamkę.

— Miałem wrażenie, że pani sprzyja jego zalotom.

— Cóż za przypuszczenie! Było mi to wygodne, bo gdyby Baumann był wśród nas i zorientował się, kim jestem, nie zmieniłam przecież nazwiska, bo nie wyszłam za mąż, mógłby sądzić, że moim celem jest wcale nie śledzenie jego, ale złapanie zamożnego Amerykanina na męża.

— A jeżeli Robert Stude jest Baumannem?

— Tym bardziej. Przyjmuję jego nieustanne oświadczenia, a zatem nie podejrzewam go. Czujność poszukiwanego winowajcy uszpona w obu wypadkach.

A jeżeli to ona w gniewie zabiła Schmuckdorfa, Robert zaś, usiłując ją kryć, daje jej z miłości alibi? Takiej myśli, takiego podejrzenia nie mogłem wyeliminować całkowicie. Tylko po co zabijałaby Sungaję? A jeżeli...

Byłbym snuł owe „a jeżeli” dość długo, zbierając rzeczy, które zamierzałem zabrać do jadalni po odejściu pani Moniki Rosier, gdyby mojej kontemplacji nie przerwał mister John Black. Od niego — nie licząc Iwony — zacząłem, na nim też widocznie miałem skończyć zaimprovizowane prywatne śledztwo. Czego chciał?

— Zdaje się, że pan żałuje swojej nieszczerości wobec mnie — zapytałem zjadliwie. Trudno, byłem już zmęczony.

— O, nie — odpowiedział mi po polsku.

Była to polszczyzna poprawna, chociaż nie pozbawiona dość wyraźnego angielskiego akcentu.

Tak poznałem tej nocy jeszcze jedną historię ludzkiego życia. Syn Anglika, który zginął w ostatnim roku wojny i Polki, wojennej emigrantki, po śmierci ojca prawie wyłącznie mówił w domu po polsku. Matka do końca życia nie nauczyła się dobrze języka swojego męża. Naprawdę studiował historię. Matka zawsze marzyła, by pojechał do Polski. Jej nie było już sądzone wrócić do rodzinnego kraju. Po jej śmierci zdecydował się, kiedy dotarło do niego wezwanie, aby młodzi Polacy żyjący na obczyźnie przyjeżdżali do Polski na studia. Postanowił uzupełnić swoją wiedzę w Warszawie. Studiuje polską archeologię i uważa, że to jest pasjonujące zajęcie. Jakże problemy! Robota na całe życie. Chyba więc wypadnie mu pozostać już tu na zawsze...

— Dlaczego znalazł się pan w naszej wycieczce, dlaczego w pewnym sensie zachowywał pan incognito?

— Nie wiem, czy mogę, czy wolno mi to panu powiedzieć. Ale właściwie muszę. Sprawy zaszły zbyt daleko. Pan wie, że milicja często zaprasza archeologów do współpracy. Zdarzają się takie wypadki, kiedy nasza wiedza uzupełnia metody techniki milicyjnej. Ta specjalność bardzo mnie interesuje i w tym sensie zaangażowałem się. Zlecono mi teraz zadanie, o którym mówiono, że jest bardzo delikatnej natury. Nie tylko Interpol, ale i nasze polskie władze mają informacje o międzynarodowych gangach handlarzy dziełami sztuki. Miałem zwracać uwagę na Finello, o którym dostarczono mi pewne dane, te, które panu już grzecznie wyrecytowałem, żeby pan od razu mógł się zorientować w sytuacji.

— Czy to wszystko?

— Ktoś dał nam znać, że w tej wycieczce weźmie udział pewien osobnik, którym bardzo interesują się czynniki, ścigające zbrodniarzy wojennych. Ten pan ukrywa się pod przybranym nazwiskiem. To było moje drugie zadanie. Zresztą podejrzewano, że Finelli i Baumann są w zмовie. Ja też czytałem Cerama, panie mecenasie. Dla niektórych ludzi było do przewidzenia, że Baumann kiedyś zniecierpliwi się i

wyruszy ze swojej kryjówki po legendarny skarb króla Priama.

— Czy pan wykrył wśród obecnych Baumanna?

Prawie. Ale muszę uzupełnić moje dane tym, co wie już pan mecenas od wszystkich, z którymi rozmawiał.

— Aha. Przyszła koza do woza.

Uśmiechnął się tak rozbijając, że gotów byłem mu wybaczyć figiel z Interpolem. Ale czy teraz mówił prawdę, czy znów próbował mnie nabrać? Nie miałem pewności. Wierzyć, czy nie wierzyć?

— Czy pan mecenas pamięta, z ilu manekinów pochodziły broje, pancerze i te wszystkie rycerskie rekwizyty, którymi obdarzył nas pan Puchała?

Zastanowiłem się przez chwilę, przypominając sobie, co i kto miał na sobie:

— Chyba z czterech. No tak, teraz przypominam sobie. Przecież cztery manekiny leżały rozebrane pod filarem w zbrojowni. Nie widywałem zresztą dotychczas takich manekinów. Zazwyczaj broje wieszają się na takich wysokich stojakach. Bukar miał dużo czasu, nudził się i pewnie bawił w wojsko.

— Więc z czterech, pan mówi. To się zgadza. Ja też je policzyłem. Mam pewien śmieszny zwyczaj, pozostał mi z dzieciństwa. Lubiłem liczyć różne jednakowe elementy: kratki w firance, okna w domach, guziki przy płaszczach, drzewa rosnące szpalerem. Doszedłem do takiej wprawy w tym ćwiczeniu, że wyrobiłem sobie świetną pamięć wzrokową. Wystarczy, że spojrzę na rząd jednakowych, równo ustawionych przedmiotów, a moja pamięć rejestruje je, utrwała jak fotografia.

— No, cztery manekiny to nie tak znów wiele, żeby aż fotografować je wzrokową pamięcią. Można policzyć palcem.

— A manekiny, które stały w zbrojach na podwyższeniu pod ścianą, policzył pan palcem, panie mecenasie?

— Wcale ich nie liczyłem — przyznałem ze skruchą.

— To źle. Ja też ich palcem nie liczyłem. Popatrzyłem tylko na nie, kiedy Finelli i Stude poszli je oglądać, czy nasz morderca nie ukrył się w cieniu tego rycerskiego oddziału.

— No i co? — zaczynałem się już niecierpliwić.

— Teraz, jak zamknę oczy, to je widzę. Poprzedniej nocy manekinów w zbrojach było dwanaście. A kiedy weszliśmy do zbrojowni i zastaliśmy w niej zwłoki Schmuckdorfa, manekinów w zbrojach stało pod ścianą dziewięć.

— A powinno było stać osiem, skoro cztery leżały rozebrane pod filarem.

— Właśnie. Jaki z tego wniosek?

Taki, że morderca nie opuścił zbrojowni po zabiciu Schmuckdorfa. Nie mógł tego zrobić, bo Monika i Stude pilnowali drzwi. Morderca był w zbrojowni razem z nami przez cały czas.

•

Mecenas Zamorski przerwał swoją opowieść w tym dramatycznym miejscu. Nasza wyobraźnia, poruszona jego opowiadaniem, z trudem powracała z „Sowiego Ucha” do mojego skromnego domku w podwarszawskiej miejscowości.

— Czy już nic więcej na ten temat pan nam nie powie, panie Stefanie? Jak się skończyła ta historia? — czułam się trochę zawiedziona.

Spojrzał na mnie z wyrzutem i ubolewaniem:

— Jaka pani niecierpliwa, pani Basiu. I niedobra.

— Ależ, panie Stefanie! — obruszyłam się. — Jak można posądzać mnie, że jestem dla pana niedobra?

— Po pierwsze, należy mi się małe wytchnienie, czy nie?

— Należy! — zakrzyknęliśmy chórem.

-- Poproszę więc... ale nie, nie o kawę, tylko o szklanekę bardzo mocnej, dobrej herbaty. Takiej, jaką nad ranem, kiedy było już po wszystkim, częstowała nas w „Sowim Uchu” pani Marianna Puchałowa.

— Proszę, panie Stefanie, oto herbata. Więc to było „po pierwsze”. A po drugie?

— Po drugie — odpowiedział z zagadkowym uśmiechem dlaczego zawsze wszystko musi być na mojej wyłącznie głowie? Komuś popłacze się życie, leci do Zamorskiego i woła: „ratuj,

mecenasie!”... Popelniono morderstwo w tajemniczych okolicznościach i znów Zamorski ma sobie łamać głowę, kto zabił! A pomóc mi, nie łaska?

Byliśmy zaskoczeni, ale niektórym bardzo się to spodobało. Długowłose Jurek zadudnił uradowany:

— To my mamy pomóc panu mecenasowi w rozwiązaniu tajemnicy „Sowiego Ucha”?

— Jak najbardziej, młody człowieku, jak najbardziej — potwierdził życzliwie Zamorski.

— Czy pan jej nie rozwiązał? — moja sąsiadka, pani Sosnowska nie mogła się nadziwić.

— Mam pewne koncepcje — powiedział wymijająco — wasze argumenty, drodzy państwo na pewno przyczynią się do ich skonkretyzowania. Więc słucham, słucham pilnie. Kto odważy się pierwszy? — jego wzrok spoczął na pani Hannie. Wyraźnie apelował do jej zasobów wiedzy o starożytności. Może też powodowała nim sympatia, zrodzona ze wspólnoty zainteresowań.

Pani Hanna zarumieniła się, ale podjęła śmiało temat:

— Wciąż nie mogę oprzeć się wrażeniu, panie mecenasie, że tych ludzi, których tak barwnie pan nam przedstawił, konflikty między nimi tak krwawo rozwiązane, powiązania bliskie, ale skomplikowane, skądś już dobrze znam...

— Brawo, pani Hanno! — przyklasnął Zamorski.

— Ten tłum ludzi, to „kłębowisko namiętności”, miłość i śmierć, zazdrość i zawiść, zemsta po latach... Ależ do każdej sceny, relacjonowanej przez pana, można byłoby dobrać cytate. Ta scena z maskarady, albo parada bohaterów przed panem, czy nie mieszczą się w homerowskim opisie Hadesu, gdzie „Tak rojąc się kolejno, dusze jak nietoperze w zakątkach okropnej pieczary, kłębią się i wirują...” — albo czy pan nie pytał ich, słowami siódmej pieśni Odysei: „Gościu! pozwól, żeć jedno pytanie zrobię: coś zasz? skąd się tu wzięłeś?”. O stosunkach, jakie zapewne panowały w domu Schmuckdorfów, może dać nam pojęcie to, co mówi Zeus do Hery w księdze pierwszej „Iliady”: „O wszystkich rzeczach być uświadomioną, zbyt ciężar dla ciebie, choć mi jesteś żoną”. A sam Schmuckdorf?

Uczony, stroniący od polityki, czy nie mógłby się powołać na słowa bogini mądrości, wyrzeczone do boga wojny: „Ares, Ares okrutny, co gubisz narody, przelewasz krew, a w gruzy świetne mienisz grody! Czyliż nam do tych bojów mieszać się przystoi? Niech pan nieba zwycięstwo da Grekom lub Troi, my ustąpimy...” ;— to z księgi piątej „Iliady”. A w księdze dwudziestej czwartej, czyż to nie o Baumannie mowa: „.Tak o gdy kto zabije gwałtownie człowieka, przed zemstą prawa w obce krainy ucieka...”

Oczywiście, historia z „Sowiego Ucha” nie pokrywa się dosłownie z intrygą spod Troi, ale ileż tu konfliktów powtórzonych! Adam-Parys, porywający Helenę, żonę wyniosłego Menelaosa-Smogora. Priam-Sehmuckdorf, broniący swojego skarbu. I ten duch rycerza, pojawiający się regularnie co dziesięć lat, nasuwający przypomnienie, że dziesięć lat trwało oblężenie Troi, jak dziesięcioletnia walka Zeusa z tytanami.

— Niewykluczone zgodził się Zamorski. - Jaki jest pani wniosek końcowy?

Zamyśliła się głęboko, po czym odezwała się z wahaniem:

Jako kobieta, skłonna jestem przychylić się do wątku miłosnego. Dramat zazdrości. Profesor Hubert Smogor zabija Sungajłę, a potem Schmuckdorfa. Motyw drugiego zabójstwa nie jest zupełnie jasny. Może to pasja fanatyka określonej idei naukowej. Pani Smogorowa powiedziała przecież, że uczeni potrafią tak się zaciętrzewić, iż nie panują nad sobą. Przykład: rozbita bezcenna waza. Mogło też być i tak, że po prostu musiał usunąć świadka swojego czynu. Spuścił się potem na dół po linie i zjawił przed panem w hallu. Isabella wstrząśnięta tym, co się stało, mogła nawet nie zauważyć, z której strony nadszedł profesor Smogor. A w hallu pani Józia Ciołczyk mogła zobaczyć na przykład tego Brazylijczyka, który przecież też miał na sobie pancierz. Szedł na górę do pokoju, żeby położyć się spać. Skłamał panu mówiąc, że udał się na górę zanim zgasło światło, bo nie chciał być zamieszany w to morderstwo.

Zamorski ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził. Spojrzał pytająco na mnie:

— Czy pani też przychyła się do wątku pięknej Heleny jako motywu przewodniego tej małej trojańskiej wojny, pani Basiu?

— Chyba nie — oświadczyłam przekornie. — Zanim wystąpię z moim oskarżeniem, chciałabym uzyskać jeszcze jedną informację. Mianowicie, gdzie znajdowała się pani Marta Schmuckdorf w krytycznym momencie?

Nie powiedziałem? zdziwił się Zamorski. — Widocznie przeoczyłem ten szczegół w homeryckim natchnieniu. Pani Marta zeznała, że poszła do sypialni na górę po lekarstwa dla męża. Po tubkę z „Eucardiną”. Schmuckdorf zażywał te pastylki, kiedy dolegało mu serce.

Wobec tego mogłaby potwierdzić, czy Pedro Rodriguez istotnie był na górze.

— Nie spotkała go.

— Więc ktoś kłamie, albo pani Marta, albo Rodriguez. Załóżmy, że pani Schmuckdorffowa kłamie i wcale nie była na górze. Znajdowała się na dole. Taka kobieta jak ona... Żyjąca wyłącznie sprawami swego męża, człowieka, którego tak kochała, że wyrzekła się dla niego rodziny i właściwie również narodowości... Czy nie jest zdolna do największych poświęceń? Miłość kobiety, rozpacz kobiety, to potężne bodźce emocjonalne. Mogło być zatem i tak: Schmuckdorf, zaalarmowany przez Smogora biegnie do zbrojowni. Wierna żona, wbrew zakazowi, za nim. W zbrojowni znajduje się współnik Sungajły. Nie wiem, kto. Może Black. Ten młody człowiek coś za wiele kręci. Buja pana, niech się pan nie gniewa, panie Stefanie, nabiera raz na historyjkę o Interpolu, drugi raz na wzruszającą bajeczkę o synu Polki, wracającym do kraju swej maiki i spełniającym tu patriotyczne zadanie. Doktor Wilhelm Schmuckdorf wpada w furję, odgraża się tak, że współnik Sungajły przebija go sztyletem. Ten widok, dostrzeżony przez Sungajłę z dołu przez otwarte okno, wyrывa z jego ust okrzyk, zapamiętany przez Isabelle i profesora Smogora: „Addio, Priamos”. Żegnaj, Priamie. Pani Marta wpada w tym momencie do zbrojowni. Ten drwiący okrzyk Sungajły decyduje o tym, że strzelba, pochwycona przez panią Martę zostaje skierowana przeciwko niemu, a nie przeciwko

rzeczywistemu zabójcy. Pani Marta trafia. Jej zawziętość jest taka, że ciska jeszcze strzelbę w ślad za kulą. Wspólnik Sungajły albo nie zdążył jej powstrzymać, albo gdy wdarła się do zbrojowni, skrył się gdzieś w mrocznym kącie.

Zamorski słuchał uważnie, ale zgłosił zastrzeżenie:

— Nie widzę jednak sposobu, w jaki pani Marta mogłaby się wymknąć niepostrzeżenie ze zbrojowni. Znalazła się w sieni w chwilę po tym, jak przyniosłem z Józią ciało Sungajły. W tym samym czasie Monika Rosier i Robert Stude już pilnowali drzwi zbrojowni.

— Pan wspominał o tej linie, zwisającej z okna na zewnątrz zbrojowni. Jeżeli jest pan zdania, że mogła ona utrzymać ciężar wysokiego mężczyzny, jakim jest Hubert Smogor, to tym bardziej posłużyć mogła szczupłej i drobnej kobiecie. Pani Marta zna zamek, jest tutejsza, że tak powiem. Nie potrzebuje szukać ścieżek, przejść. Bawiła się na pewno w chowanego z Wilhelmem, kiedy byli dziećmi. To trwa chwilę: przebiec dokoła domu i przedostać się do niego przez kuchenne wejście. Tego nie braliście pod uwagę. W kuchni nikogo już nie ma. Nikt z was nie zwrócił uwagi, którymi drzwiami pani Marta weszła do sieni. Było ciemno. A z tymi manekinami, na które zwrócił panu uwagę Black, sprawa niejasna. To on je rzekomo liczył, czy „fotografował” pamięcią, nie pan. Jeszcze jeden chwyt dla odwrócenia pana uwagi od jego osoby.

I znów Zamorski nie zajął stanowiska wobec mojej koncepcji. Zwrócił się do pozostałych osób przy stole:

— A państwo co na to? Panie Jurku, co myśli młodzież?

Młodzież w osobie Jurka, syna pani Hanny, była przeciwna kumoterstwu:

— Nie podoba mi się cała ta sitwa rodzinna. Ci Puchałowie i ten cały Anatol Duda. Cóż to za alibi: Puchała był z Dudą, Duda był z Puchałą. Taki Duda, jeśli kończył stomatologię i zna anatomię, dobrze wie, w jakie miejsce ciała uderzyć, żeby od razu zabić. A Puchała zawołany myśliwy, też pewnie umie dobrze trafiać. Przepraszam, panie mecenasie, ale pan mecenas o jednym nie powiedział wyraźnie. Że zabici zostali obaj mężczyźni, którzy wiedzieli, gdzie jest ukryty „skarb Priama”.

Nie żyją. Skoro dotychczas nigdzie nie czytałem, żeby ten skarb został odkryty, to znaczy, że nikt z was dotychczas go nie odnalazł. Ale ci, którzy pozostali na miejscu, w „Sowim Uchu”, bo tam stale mieszkają? To znaczy Puchałowie. Antek. Pani Józia. Oni sobie teraz będą szukać, gdzie by to mogło być. No i w końcu znajdą. Zobacz pan.

— Niech pan go nie słucha, panie mecenasie — zaśmiała się pani Hanna — mój syn nie cierpi dentystów. Prowadzę z nim nieustanną wojnę w sprawie chodzenia do dentysty, kiedy musi zaplombować ząb. Stąd ten brak sympatii do Dudy.

— Wszystko, co mówił pan Jurek, nie jest pozbawione logiki — bronił Jurka Zamorski — nie wiem tylko, jak to sobie pan Jurek wyobraża, w jaki sposób ci dwaj panowie mogli dokonać morderstwa.

Jurek stropił się, ale próbował uprawdopodobnić swoje podejrzenie:

— Sungajło zjawia się z Puchałą, żeby Puchała pomógł mu w wydostaniu wazy, która była w gablocie w zbrojowni. Puchała inscenizuje historię z kradzieżą wazy, a Sungajło robi zamęt z tym dorobionym kluczem, żeby Puchała pozostał poza podejrzeniami. Przecież sam pan mecenas widział ich obu razem wychylających się z okna zbrojowni w południe. Badali, czy tędy da się spuścić na linie sówią wazę. Omawiali plan. Przy jego wykonaniu w nocy nakrył ich doktor Schmuckdorf. Mówiąc „addio, Priamos”, Sungajło dał Puchale rozkaz zabicia Niemca. Albo może zrobił to Duda, jeżeli wzięli jego także do pomocy. Na przykład za określone pieniądze. Puchała decyduje się: Sungajło może go sypnąć, bo to łobuz. Sungajło zna skrytkę, lepiej się go pozbyć i samemu po pewnym czasie, jak wszystko ucichnie, odszukać ją. Strzela do Sungajły.

— Ale jak wydostali się ze zbrojowni? — nalegał Zamorski.

Tego już nie wiem skapitulował Jurek i nagle wystrzelił - to stary zamek, na pewno ma jakieś ukryte przejścia. Ze zbrojowni też z pewnością jest jakieś wyjście, które zna Puchała jako kierownik schroniska.

Na twarzy Zamorskiego odbił się zawód:

— Och, ta młodzież. Wszystko tak dobrze pan ułożył 1 kłapa.

Przy pierwszej trudności szuka pan prawie nadprzyrodzonego wyjścia z sytuacji. Kolej na panią i na pana zwrócił się do państwa Sosnowskich.

Pani Sosnowska była zdania, że zrobili to do spółki Monika Rosier i Robert Stude:

— Od początku ta para była ze sobą w komitywie. Ta cała historyjka o ojcu-archeologu i Baumannie jest nieprawdziwa. Gdyby była prawdą, pani Marta Schmuckdorfova na pewno wspomniałaby panu, że zna Monikę z dawnych lat, a o tym w ogóle nie było mowy. Black ich nakrył po prostu, kiedy próbowali wymknąć się ze zbrojowni. Byli w zмовie z Sungajłą, ale po co im trzeci wspólnik do podziału łupu, jeżeli można obejść się bez niego. Zobacz pan, że ta parka po pewnym czasie wróci, jeżeli udało się jej pana wyprowadzić w pole, i dobierze się do sowych waz. Jeśli zaś idzie o Schmuckdorfa, zgadzam się z tymi z państwa, którzy twierdzili, że padł ofiarą jako ten, który wtargnął do zbrojowni i usiłował przeszkodzić rabunkowi wazy. Tylko z tą różnicą, że ja oskarżam o to zabójstwo Monikę i Roberta. Pan sam mówił nam, panie mecenasie, że pana uwagę zwróciły ręce Moniki. Takie nie kobiece, silne, wyrobione. Mogła właśnie ona posłużyć się sztyletem. A Robert, trafiający gawrona w locie, z łatwością trafił Sungajłę w środek czoła.

Pan Sosnowski skrzywił się z niesmakiem:

— Ja osobiście nie lubię takich kobiet, jak pani Helena Smogorowa. Amazonka, gardząca mężczyznami. Proszę, proszę... Ale obejść się bez nich jakoś nie potrafi. Jedno z dwojga: albo tak napuściła Isabellę na swojego niewiernego kochanka, że ta mała zastrzeliła go, nie namyślając się długo, albo sama to zrobiła. Pobiegła szybko do zbrojowni i strzeliła. Może chciała zabić oboje. Ale nakrył ją tam ten niemiecki profesor. Zaczęła się szamotać z nim i przy tej szamotaninie strzelba wypadła jej z ręki za okno. Albo Schmuckdorf podbił jej rękę, kiedy celowała jeszcze do Isabelli. Zabiła Schmuckdorfa jako świadka swojej zbrodni.

— Wszyscy już wypowiedzieliśmy swoje zdanie, panie Stefanie — podsumowałam dyskusję w imieniu moich gości —

może więc teraz pan nam dopowie, jak to naprawdę się skończyło.

– Tak, tak – odezwały się głosy – czekamy niecierpliwie. Jesteśmy ogromnie ciekawi.

Zamorski dopił herbatę, zgasił papierosa i przybrał wygodną pozycję w ulubionym fotelu:

– Nie ma wśród was, moi drodzy współbiednicy, zgody, tak samo jak nie było jej wśród Achajów, oblegających Troję. Niemniej jednak każdy z was dał mi jakąś część prawdy. Pomogliście mi wyeliminować z kręgu podejrzeń szereg osób. Niezmiernie cenną wskazówkę zawdzięczam pani Hannie.

Pani Hanna zarumieniała się z radości.

– Doprawdy? Ogromnie mi to schlebia. Ale co takiego powiedziałam, panie mecenasie, co panu pomogło?

– Pani ogólny pogląd na całą sprawę. W wojnie trojańskiej istotnie krzyżuje się co najmniej kilka wątków. Poeta przekazał nam tę wojnę jako walkę z powodu kobiety, o kobietę. Historycy mówią: była to wojna plemion starszych, zdomowionych w Azji Mniejszej z młodszymi, agresywnymi plemionami greckimi o hegemonię w tym zakątku świata, o dominację nad basenem Morza Śródziemnego. Stare szkoły historyczne upatrywały w wojnie trojańskiej po prostu wyprawę łupieżczą. Powiadali: Grekom chodziło o złoto Troi. Którą wersję miałem wybrać jako pasującą do mojej małej „wojny trojańskiej”? Przeważała ta, moim zdaniem najistotniejsza, bo 'ona wywołała konflikt, chociaż pozostałe dwie teorie również znalazły pewne zastosowanie. Mam na myśli walkę podjętą przez Sungajlę i Finellego o szlak bursztynowy, który chcieli przekształcić w szlak przemysłowy. Przeciwstawili się im, każdy z własnego punktu widzenia Smogor i Schmuckdorf. Sądzę, że gdyby Sungajle udało się bezkarnie wywieźć skarb Priama z „Sowiego Ucha”, tą samą drogą, przetartym już szlakiem, po jakimś czasie inne dzieła sztuki wypłynęłyby w szeroki świat. Nie wiemy, jakie miał dalsze plany. Ale jeszcze jedna uwaga pani Hanny wskazała mi właściwy kierunek. Ta mianowicie, że nie stosując oczywiście dosłownie analogii trojańskich, powiedzieć można, iż kłębiło

się w „Sowim Uchu” tej i poprzedniej nocy, jak pod Troją, albo w homerowskim Hadesie. Jeden przeciwko drugiemu, drugi przeciwko trzeciemu. A jak to było pod Troją? Zaraz, zaraz... Kto zabił Patroklosa, przyjaciela Achillesa?

— Hektor — zawołałam szybko, zazdrosna o prymat, jaki wiodła w zakresie antyku pani Hanna.

— Słusznie. A kto Hektora?

— Achilles — tym razem popisał się pan Sosnowski.

— A Achillesa?

— Parys, brat Hektora.

— No, a Parysa?

To pamiętała pani Hanna:

— Filoktet zatrutą strzałą, którą odziedziczył po Heraklesie, czyli Herkulesie, jak mówi się u nas częściej.

— Widzicie państwo, nie chodzi mi o to, żeby ściśle utrzymać paralele pomiędzy trojańskimi pojedynkami i serią zabójstw w „Sowim Uchu”, lecz o samą zasadę. Tę, że pierwszy zabija drugiego, pierwszego trzeci, i każdy mord wywołuje następną zbrodnię. Czy chcecie wrócić razem ze mną do „Sowiego Ucha”, żeby rozwikłać do końca jego tajemnicę?

Wyraziliśmy gremialnie i entuzjastycznie zgodę.

Zamorski podjął akcję w tym miejscu, w którym ją przerwał.

*

Piętnaście par oczu spojrzało na nas, gdyśmy wkroczyli z Blackiem do jadalni. Jedne oczy patrzyły z trwogą, inne z niepokojem, jeszcze inne czujnie, wyniośle, z wrogością. Wszyscy razem prezentowaliśmy jednak chyba żalodne widowisko, zmęczeni, poprzebierani wciąż jeszcze w nasze maskaradowe stroje, i myślę, że jakiś reżyser, nakręcający film historyczny chętnie zaangażowałby nas do roli statystów przedstawiających tłum oberwańców i łazików.

Wszyscy milczeli, a ja poczułem cały ciężar okrutnej odpowiedzialności. Nie mając żadnych materialnych, rzeczowych dowodów w rękę, jakimi posługuje się tak fachowo milicja, mając do dyspozycji wyłącznie przesłanki logiczne i

psychologiczne, miałem wskazać winnego. Krótko mówiąc: oskarżyć. A oskarżyć w tej sytuacji znaczyło właściwie i wydać wyrok. Nie bezpośrednio, lecz pośrednio. Konsekwencją bowiem mojego działania mogłaby być tylko bardzo surowa kara.

Po raz pierwszy w życiu miałem wystąpić prawie jako prokurator. Czy podołam temu zadaniu? Podtrzymywał mnie na duchu niespodziewany sojusznik: czyjeś spojrzenie, przesłane z drugiego końca stołu. Dobry poseł mówił mi: „Niczego się nie bój. Ja wierzę, że ci się uda”. Uśmiechała się do mnie niebieskimi oczami Iwona. Jeszcze nigdy i za nic nie byłem jej tak wdzięczny, jak za to dodanie mi otuchy. Zacząłem więc mówić śmiało, a w trakcie mówienia nabierałem coraz więcej pewności co do mojej racji i toku rozumowania:

— Obdarzony waszym zaufaniem starałem się jak najwnikliwiej zbadać wszystkie okoliczności. Oto zrekonstruowany przeze mnie przebieg zdarzeń. Tak musiało być, proszę państwa i inaczej sobie tego nie wyobrażam. Dzięki niedyskrecji autora książki „Bogowie, groby i uczeni” zaczyna krążyć po świecie plotka o zdeponowaniu części darowizny Henryka Schliemanna w jakimś zameczku pod Wrocławiem. Niektórzy dochodzą do wniosku, że pora wydobyć ten skarb, dopóki nie dobrały się do niego odpowiednie czynniki naukowe Polski. Baumann, właściciel „Sowiego Ucha” z czasów wojny, ukrywający się w Ameryce przed wymiarem sprawiedliwości, ma przyjaciela, posiadającego rozległe kontakty, nazwijmy delikatnie: handlowe. Do tych kontaktów należy pan Finelli, ustosunkowany w różnych sferach i od lat zajmujący się rozprowadzaniem po świecie dzieł sztuki w sposób nie zawsze zgodny z prawem, obowiązującym w poszczególnych krajach. Finelli wynajduje odpowiedniego człowieka. Przeprowadzał z nim już kilka transakcji. Tak się składa, że człowiek ten, a jest nim Adam Sungajło, orientuje się nieco w całej sprawie. O skarbie Priama i jego ukryciu pod Wrocławiem napomknął mu już kiedyś jeden z kolegów, magister Karol Czereja. Zostaje zawarta umowa: Sungajło dowie się, o który to zameczek chodzi i zorganizuje się wspólnie wywóz trojańskich waz. Nikt

jednak z całej spółki nie zna dokładnie miejsca w „Sowim Uchu”, gdzie skarb się znajduje. Sungajło jedzie najpierw sam, żeby je wyśledzić. Skarbu pilnuje jednak na polecenie doktora Schmuckdorfa, jego szwagier, tutejszy Polak, Bukar, wierny rodzinie Dornów, z której pochodzi Schmuckdorf. Bukar nie tylko nie chce wydać skarbu, ale grozi, że zmieni skrytkę lub wyda wazy polskim władzom. Sungajło zabija go, inscenizując nieszczęśliwy wypadek na polowaniu. Mamy więc już pierwszego zabitego. Ale sprawca uniknie wymiaru sprawiedliwości, chociaż nie uniknie zemsty. Czy nie tak było, panie Finelli? Bo przecież Sungajło musiał panu zdawać relację ze swych poczynań w Polsce. I to nie on pierwszy wysunął propozycję wywiezienia stąd waz, tylko pan na czyjeś polecenie zwrócił się z tym do niego, kusząc wielkim zarobkiem, a może i sławą?

— Tak — wymamrotał zaskoczony Finelli. — Adam mówił o tym Bukarze. Powiedział też, że teraz nie ma innej rady, tylko trzeba zwabić do „Sowiego Ucha” doktora Schmuckdorfa, bo on jeden wie, gdzie skrytka. I że jak się tu staruszka przycisnie, to wszystko wyśpiewa, albo zdradzi się, sprowokowany przez nas.

Więc miałem rację. Zarówno śmierć Bukara, jak list Baumanna prowokują doktora Schmuckdorfa do przyjazdu do Polski. Zanim jednak jeszcze dojdzie do obecnego spotkania w „Sowim Uchu”, Adam Sungajło podczas swojej ostatniej bytności za granicą pozyska nadspodziewanie łatwo sojuszników. Kombinuje tak: „Po ucieczce z wazami, jeżeli nie będę już mógł wrócić do Polski, muszę zdobyć jakieś oparcie za granicą. Ciepłe miejsce, gdzie się zadekuję i będę mógł korzystać z zarobionych na przemyconych wazach pieniędzy”. Żeni się z piękną dziewczyną z Brazylii, której ojca namawia do wzięcia udziału w wyprawie po wazy. Pan Rodriguez obiecuje sprowadzenie jeszcze kogoś z przyjaciół. Cóż w tym dojrzy ktoś złego, że kilku cudzoziemców wywiezie z Polski gliniane garnki, jakich wiele w sklepach z wyrobami ludowymi? I oto lądujemy wszyscy w „Sowim Uchu”, o co kilka osób usilnie starało się w rozmaity sposób...

Pani Helena Smogorowa dosłownie hipnotyzowała mnie wzrokiem. Chodziło jej zapewne o to, czy wymienię jej imię. Czy powiem, że także na jej pomoc liczył Adam Sungajło podejmując swoje ryzykowne przedsięwzięcie. Nie uważałem jednak tego za niezbędne. Już na tym etapie moich rozważań wyeliminowałem piękną Helenę. Chodziło mi tylko o jej męża, gdyż w jego wyznaniu coś mi się nie zgadzało:

— Panie Hubercie — zwróciłem się do niego po polsku, aby nie narażać wobec cudzoziemców na szwank jego wysokich kwalifikacji moralnych pan twierdził, że jak tylko pan wyszedł na próg domu i stał się świadkiem zabójstwa Sungajły, pobiegł pan w jego stronę z myślą o ratunku.

— Tak potwierdził, ale nie tak już stanowczo, jak podczas rozmowy przy kominku w salonie — Tak było. Uważałem...

Powstrzymałem go ruchem ręki. Nie chciałem, żeby kompromitował się i dalej brnął w kłamstwo. Czasami ludzie lubią podawać za prawdę swoje wyobrażenia o sobie; niebawem sami zaczynają wierzyć w ten wymyślony wzór, wyzbyty wszelkich duchowych ułomności. Nie powiem mu jednak w tej chwili, że gdy tylko zobaczył co się stało, cofnął się szybko do sieni: albo ze strachu, albo pełen wewnętrznej satysfakcji. Potem dopiero przyszedł ów odruch, może ludzkiego współczucia, a może zwykłej ciekawości i pomknął pod okno zbrojowni. Nie powiem tego, muszę to opatrzyć w gustowne opakowanie:

— Niestety, panie Hubercie, odbyło się to trochę inaczej. Sądzę, że zmęczenie po zabawie, albo zdenerwowanie sprawiło, iż ten szczegół pańskiego postępowania zatarł się panu w pamięci. Otóż wychodzi pan z sieni na dwór kiedy jeszcze jest światło w domu. Widzi pan scenę zbrodni i odruchowo cofa się pan do sieni. Może chce zawołać jeszcze kogoś na ratunek. Ale w tej chwili gaśnie światło, nikogo w pobliżu nie ma, więc pan postanawia działać samotnie z właściwą panu odwagą. Jeszcze raz przemierza pan sień i wtedy widzi pana w migotliwym świetle niesionej w rękę świecy pani Józia Ciołczyk. Mdleje z krzykiem przekonana, że zobaczyła ducha rycerza, Wilhelma-Diabła, protoplasty rodu Dornów, nawiedzającego zamek co

dziesięć lat, a właśnie teraz przypada ten rok fatalny. Świadcami jej omdlenia jesteśmy my dwaj, ja i pan Marco Finelli. A zatem, panie Hubercie...

Celowo zawiesiłem głos w połowie zdania, żeby dać mu szansę. Spojrzał na mnie nienawistnie, ale opamiętał się. Z dostojeństwem kiwnął srebrną, siwą głową:

— Ach, oczywiście, panie Stefanie, pan ma rację. Właściwie trudno mi nawet w tej chwili przypomnieć sobie wszystko we właściwej kolejności. Taki wstrząs zdarza się przecież nie często...

— Dziękuję, panie Hubercie. To umożliwi mi dalsze posunięcie akcji. Pan Finelli wyznał mi, że powodowany ciekawością znawcy sztuki, zapalał namiętną żądzą posiadania tej pięknej sowiej wazy, którą zachwycaliśmy się pierwszej nocy po przyjeździe do „Sowiego Ucha”. Sungajło dał mu tamtej nocy klucz, pan Finelli wszedł do zbrojowni i, nie mogąc wynieść wazy, schował ją pod spódnicę manekinu w stroju miejscowej wieśniaczki. Rano znów z panem Sungajłą sięgnęli po zapasowy klucz z szafki koło kuchni i pan Finelli postarał się o dorobienie trzeciego klucza. Zbrojownię bowiem pan Puchała zamknął, speszony zniknięciem cennej, jego zdaniem, wazy. A teraz, bez zbędnych szczegółów przejdźmy do wydarzeń tej nocy. Sprawdziły się przewidywania spółki. Doktor Wilhelm Schmuckdorf niechcący zdradził tajemnicę skrytki. Nie wytrzymał nerwowo. Zakradł się, żeby upewnić się, iż skarb pozostał nienaruszony. Podpatrzył go Sungajło, nie był jednak aż tak lekkomyślny, by przekazać to odkrycie pozostałym współnikom. Zachował tę informację dla siebie, zadowolił się tylko doniesieniem panu Finellemu, że odkrył tajemnicę Schmuckdorfa, i że w nocy przystępuje się do działania. Powiedział to również panu, panie Rodriguez, co słyszałem przypadkowo podczas maskarady na własne uszy. Dowiedział się również o przygotowaniach do kradzieży wazy ze zbrojowni pan Karol Czereja i dał znać profesorowi Smogorowi, ten zaś z kolei, poczuwając się do pewnej solidarności uczonych w walce z hochsztaplerstwem, przekazał wspaniałomyślnie informację doktorowi Schmuckdorfowi.

Byłem dumny z moich talentów dyplomatycznych. Profesor Smogor nie będzie miał do mnie cienia pretensji. Publicznie. Ale z pewnością będzie mnie unikać. Jakież to kłopotliwe zajęcie: poczuwać się do wdzięczności wobec kogoś, kto uratował nasze dobre imię i zarazem zbyt wiele o nas wie!

— Pan Marco Finelli otrzymuje zadanie specjalne, nie wymagające jednak zbytniego zaangażowania osobistego. Po prostu ma zgasić światło w całym domu. Robi to i natyka się na mnie, gdy opuszcza piwnicę, gdzie mieszczą się wyłączniki. To jego szczęście. Ma twarde alibi. Cóż bowiem dzieje się w tej samej chwili w zbrojowni? Adam Sungajło stoi na podwórku pod oknem, by przyjąć od współnika wazę, spuszczoną na linie. Pobiegła za nim zaniepokojona pani Isabella, ale to nie ma wielkiego znaczenia. Wspólnik pana Sungajły, nazwijmy go w tej chwili „Iks” jest na górze, w zbrojowni i zabiera się do spuszczenia wazy. W pośpiechu zapomniał przekręcić w drzwiach klucz. Ten dorobiony. Do zbrojowni wdziera się doktor Schmuckdorf. Wspólnik „Iks” nie pragnie rozgłosu, ani hałasu, zna porywczy charakter starszego pana, więc odskakuje od okna, kiedy słyszy szybkie zbliżające się kroki, chowa się, powiedzmy za filar. Doktor Schmuckdorf podbiega do okna, wychyla się. Widzi w promieniu światła, padającym z okna uniesioną w górę twarz Sungajły. Jeszcze podczas balu Sungajło, z wrodzonej pychy, przechwalał się przed nim, że zna tajemnicę skrytki, ale doktor Schmuckdorf nie traktował tego serio. Dopiero profesor Smogor mu to potwierdził. Ten bezczelny młody człowiek stoi teraz na dole i wyśmiewa się z niego, z jego autorytetu, z jego fanatyzmu, z jakim bronił dotychczas trojańskich waz. Ten cynizm Sungajły, ta jego arogancja to była wielka nieostrożność. „Addio, Priamos” — to miało znaczyć: „pożegnaj się, poczciwy starcze, ze swoją rolą strażnika skarbu Priama”! W poczuciu bezsilności, rozwścieczony do ostateczności, doktor Wilhelm Schmuckdorf zdaje sobie sprawę: daremne było uparte dwudziestoletnie milczenie i nie ma nadziei, by kiedykolwiek spełniło się jego marzenie o powrocie skarbu do ukochanego muzeum. Jeszcze gotowi go oskarżyć, gdy wazy wypłyną na światowym rynku, że

to on wydał tajemnicę. Obok, pod ręką, na ławie koło okna, leżą strzelby, używane rano do polowania. Bez namysłu doktor Schmuckdorf chwytą jedną z nich i strzela prosto w twarz swojemu wrogowi.

Ktoś cicho krzyknął. Ktoś westchnął. Pani Marta patrzyła na mnie szeroko otwartymi ze zgrozy oczami. Isabella zakryła bladą twarz rękami.

— Tak, proszę państwa. Tę zbrodnię dzisiejszej nocy popełniło dwóch ludzi, a nie jeden morderca. Dlatego tak trudno było dojść prawdy. Szukaliśmy kogoś, kto miałby powody do zabicia zarówno pana Adama Sungajły jak i doktora Schmuckdorfa. Po rozgraniczeniu tych dwóch zabójstw, sprawa nabrała jasności. Wracam do sceny w zbrojowni. Wspólnik „Iks” decyduje się teraz na działanie. Dopada doktora Schmuckdorfa i wytrąca mu z ręki broń. Strzelba odbija się o parapet okna i spada na zewnątrz obok ciała Sungajły. „Iks” nie poprzestaje na tym. Udaremni dalszą akcję Schmuckdorfa, którą starszy pan na pewno by podjął. Doktor Schmuckdorf, oskarżony o zabicie Sungajły, nie cofnie się już przed niczym. Będzie mówić. I powie wszystko, co mu jest wiadome. Temu trzeba zapobiec za wszelką cenę, a cena życia jednego starego człowieka nie jest znów aż tak bardzo wysoka. W każdym razie w mniemaniu „Iksa”. „Iks” obezwładnia pana Wilhelma i przebija go sztyletem, który miał przy sobie w czasie maskarady jako część stroju. Co robić jednak, gdy za drzwiami słycać rozmowę, kroki, szamotanie się? Widocznie drugi poza Sungajłą wspólnik, który miał pilnować, aby do zbrojowni nikt się nie zbliżył, zawiódł nie tylko wpuszczając Schmuckdorfa. Jeszcze ktoś jest za drzwiami. „Iks” nie może wydostać się z pułapki. Za późno na skok przez okno, bo na dole jestem już ja, jest pani Józia, za świerkiem stoi Isabella.

Skierowałem znaczący wzrok na Blacka. Najwyższy czas, by uważał. Po wyrazie jego twarzy poznałem, że zdaje sobie z tego sprawę.

— „Iks” decyduje się na posunięcie niezwykle śmiałe. Stawia wszystko na jedną kartę, jak już chyba nie raz czynił to w swoim życiu. Albo ta sztuczka się uda i wtedy jego głowa jest

ocalona, albo przegra i poniesie konsekwencje. Nasz „Iks” po prostu wskakuje na podwyższenie, na którym stoją manekiny w zbrojach i ustawia się w szeregu nieruchomo jako jeszcze jeden z nich. Po ciemku może nikt nie zauważy błysku oczu spod przyłbicy. W zbrojowni powstaje zamieszanie. Wchodzimy do niej całą grupą, pobieżnie oglądamy salę, cóż by można w niej odnotować istotnego przy świetle, jakim dysponowaliśmy? Pan Stude i pan Finelli oglądają wprawdzie zbroje, ale nie wiem, czy niczego nie dostrzegli podejrzanego, czy... nie chcieli zauważyć. „Iks” jest więc nadal bezpieczny. Wychodzimy ze zbrojowni, ja zamykam ją na klucz i wyjmuję go z zamka. Ale „Iks” rozumuje tak: Schmuckdorf nie liczył przecież na otwarte drzwi w zbrojowni. Musiał mieć przy sobie zapasowy klucz z szafki. Tego klucza nie użył, bo zbrojownia jednak była otwarta. Zatem ten klucz musi nadal mieć przy sobie. Myśmy nie przeszukiwali szaty króla Priama. Celowo pozostawiliśmy wszystko w stanie nienaruszonym, żeby władze śledcze nie miały kłopotów. „Iks” odnajduje ten klucz wśród odłamków sowniej wazy, która stłukła się, kiedy Schmuckdorf w jednym ręku trzymając broń, drugą ręką zdjął wazę z parapetu i upadł razem z tą wazą, zaatakowany zniemacka. „Iks” czeka, aż my się oddalimy, otwiera sobie beztrudno drzwi kluczem odebrany Schmuckdorfowi, korzysta z faktu, że wszyscy domownicy i goście zgromadzili się w jadalni, przez schodki obok zbrojowni i piwnicę dostaje się do kuchennego korytarza, wieszka klucz w szafce i idzie...

Przez cały czas patrzyłem na człowieka, którego oskarżałem. Podziwiałem jego opanowanie. Nie drgnął ani jeden mięsień wyrazistych rysów. Teraz dopiero napięcie stało się widoczne na jego twarzy. Zmarszczył gniewnie brwi, obejrzał się, jak gdyby oczyma szukał drogi ucieczki. To go ostatecznie zdradziło i pozwoliło mi zadać mu ostateczny cios:

Idź sobie spokojnie na górę, rozbiera się i kładzie, udając, że śpi kamiennym snem. Panie Rodriguez, proszę się nie ruszać.

Mój apel okazał się jednak spóźniony. Robert Stude, ten trzeci, który miał uważać przed drzwiami zbrojowni, ale sprawę

pokpił, tym razem stanął na wysokości zadania, przywołany na pomoc sygnałem, nie dostrzeżonym przez nas w porę. Wielki, dębowy stół, przy którym siedzieliśmy wszyscy po obu jego stronach, pchnięty z całego rozmachu przez dwóch silnych mężczyzn, runął w stronę moją i Blacka z piekielnym hałasem tłukących się naczyń. Powywracaliśmy się na ziemię wraz z krzesłami. Gramoląc się niezdarnie, krzyczeliśmy:

— Stać! Stać!

— Stać, bo strzelam! — Black pierwszy uwolnił się z niespodziewanych więzów i biegł, wymachując rewolwerem.

Puchała rzucił się również w pogoń. Żeby uczynić ją jeszcze bardziej skuteczną, krzyknąłem:

— Trzymajcie go! To Baumann!

Ale zbieg okazał się od nas wszystkich szybszy. Sądził wielkimi krokami przez jadalnię i sień. Zanim goniący go dotarli do frontowych drzwi, zdążył już błyskawicznym ruchem zedrzeć z siebie kwiecisty szlafrok, utrudniający bieg, zwinąć go wokół ramienia i wybiwszy w oknie szybę wyskoczyć na dwór. Tego pościg nie spodziewał się. Parę sekund zwłoki i odległość dzieląca zbiega od goniących wzrosła z kilku kroków do kilkunastu metrów. My wszyscy, którzy wybiegliśmy przed sień, widzieliśmy w świetle rozpoczynającego się poranka jego wysoką postać w resztkach stroju Pizarra przemykającą się zręcznie wśród skałek w kierunku wieży. W pewnej odległości za nim gnał pirat-Black, za straż tylną mając Puchałę, Antka i Czereję. Czy dogonią Baumanna-Rodrigueza? Po co biegnie on do wieży?

Staliśmy jak zahipnotyzowani, wstrząśnięci, niezdolni do uczynienia jakiegokolwiek gestu czy wymówienia słowa wśród mroźnej, białej ciszy. Nocna zadymka ustała, niebo, uwolniwszy się od ciężaru śniegowych chmur, przejaśniło się i przyrzekało znów pogodny słoneczny poranek. Cała ziemia, zarośla, drzewa i skałki wyglądały jak gdyby ktoś poobkładał je stosami dobrze wypchanych poduszek. Nawet kroków biegnących ludzi nie było słyhać: tłumił je świeżo spadły śnieg. Przedzierali się przez zasy z trudem, wzbijając wokół siebie białe, połyskliwe tumany. Zbieg dotarł już do podnóża wieży.

Wsparł się ramieniem o furtkę, która kiedyś zamykała wejście lecz teraz zwisała bezradnie na jednym zawiasie i pogroził nam pięścią, wyciągając w górę ramię. Za nim widniał czarny otwór.

Dlaczego do wieży? Dlaczego do wieży? Pytanie to jak natrętny refren, dręczyło mnie, ale ogarnięty dziwnym bezwładem nie mogłem się zdecydować, by zadać je głośno.

Otwór prowadzący do wieży był już teraz znów czarny całkowicie: z jego tła znikła sylwetka mężczyzny w białej jedwabnej koszuli z koronkowymi mankietami i w obcisłych adamaszkowych spodniach. A pościg zbliżał się do wejścia.

Kiedy rozległ się krzyk, trudno byłoby mi ręczyć, że to krzyknął ktoś z nas. Jak gdyby krzyczała cisza. Biała cisza, rozciągająca się dookoła. Wołała jednak tak groźnie i namiętnie, że jej wezwanie odniosło skutek. Dotarło do czterech mężczyzn, biegnących ku wieży i zatrzymało ich w pędzie tak, jak sprawny woźnica zatrzymuje ściągnięciem lejcy rozhukane w biegu konie. Cisza wołała głosem Marty Schmuckdorfowej:

— Stójcie! Ani kroku dalej! Bo zginiecie!

Ostrzeżenie przyszło w samą porę. Cofnęli się w tył właśnie w momencie, kiedy rozległ się ogłuszający huk, poprzedzony błyskiem. Mógłby ktoś pomyśleć, że to słońce, które niebawem miało wzejść, zmieniło nagle swój obyczaj i zamiast wysunąć się spokojnie, majestatycznie spoza lesistych wzgórz skoczyło raptownie w górę i eksplodowało zderzając się z zębataymi blankami szczytu wieży. Echo powtórzyło wielokrotnie detonację: jeden pagórek podawał ją drugiemu jak gracz piłkę, tak, że całe górskie pasmo rozbrzmiało kanonadą. Z drzew posypał się śnieg i przesłonił widok, jak gdyby powróciła do nas nocna zawieja. Trzaskały i sypały się z brzękiem szyby z okien w skrzydle zameczku od strony wieży. Kobiety spazmowały, Isabella zemdliała, a Anatol Duda przycupnął pod ścianą frontową, objął rękami głowę i zawodził żałośnie:

— Zabili mnie, zabili! Oj, co mamusia powie...

Gdy rozwiała się śnieżna kurzawa, spostrzeżliśmy ze zdumieniem, że zarysy wieży pozostały niemal nienaruszone. Może tu i ówdzie odłupał się kawałek nadwężonego muru — i tyle. Pozostawiłem profesora Smogora na posterunku przy

paniach i podjąłem wspinaczkę wśród skałek ku wieży. Nie byłem jednak sam. Krok w krok za mną przedzierała się przez zasy, jeszcze obfitsze w tej chwili, Marta Schmuckdorfowa.

Przystanąłem, aby nabrać tchu. Zatrzymała się obok mnie.

— Chciała mi pani coś powiedzieć?

— Powinam była uprzedzić wcześniej.

— O tym, że schowek w wieży jest zaminowany, prawda?

Skinęła głową. Jej twarz, szara, pokreślona zmarszczkami miała wyraz skruchy i przygnębienia:

— Wiedziałam, że skrytka jest w wieży. To takie stare budowle. Znam tu każdy kąt, nieraz bawiliśmy się jako dzieci w chowanego. Ze skrytki pod wieżą istnieje podziemne przejście do lasu, kończy się dość daleko stąd. Tak, że można do skrytki dostać się i od środka wieży, i od strony lasu. Przy kłapie, zamykającej wejście do skrytki były dwie dźwignie. Jedna otwierała kłapę, a druga uruchamiała minę. Na wszelki wypadek. Trzeba było dobrze wiedzieć, która dźwignia do czego służy. Żeby się nie pomylić. Wczoraj Wilhelm chodził do skrytki, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ale dostał się od strony lasu, tym drugim przejściem. Widocznie wtedy podpatrzył go Sungajło.

— A Baumann się pomylił. Poruszył nie tę dźwignię. Czy wiedział o skrytce i minach?

— Że to skrytka trojańskich waz, nie wiedział, ale mógł się domyślać. Słyszał tylko, że z wieży jest podziemne przejście do lasu. Widocznie chciał tędy uciec.

Nie pytałem już, czemu nie ostrzegła nas, zanim Baumann-Rodriguez znalazł się w wieży. Brnęli właśnie ku nam przez zwały śniegu niefortunni prześladowcy uciekiniera. Niewiele na szczęście ucierpieli. Trochę podrapani, trochę posiniaczeni odłamkami muru, trochę ogłuszeni wybuchem, czuli się tylko głęboko dotknięci i rozczarowani. Ofiara wymknęła się pogoni. Jak to się mogło stać? Najbardziej poszkodowany okazał sit; Czereja, jak zawsze. Skręcił nogę na kamieniu ukrytym pod śniegiem.

— Nie ma tam po co chodzić— mruknął Puchała cały środek zawalił się. Tylko zewnętrzny mur został. Dobrze go

wybudowali sześćset lat temu. Martwię się, co ja mam teraz w spisie inwentarzowym podawać. Zawartość wieży: dużo gruzu, jeden trup, czy jak?

No i skarb króla Priama — dodałem złośliwie.

Panie święty, a bo to prawda?! — rozzłościł się. — Ja tam w takie bajdy nie wierzę. Uczeni i poeci, panie święty, to niebezpieczny naród. Zawsze coś wymyśla. Teraz to ja już wiem. Poproszę centralę, żeby mi wycieczki zbiorowe przysyłała składające się wyłącznie z normalnych ludzi. Pracowników handlu. Albo tramwajarzy; traktorzyści też mogą być.

Pomyślałem z pewną satysfakcją o tym, jak to dobrze, że w naszym narodzie są i Kopernicy, i Puchałowie. Czasem na siebie posarkają, czasem obaj nawiną się temu trzeciemu, poecie, pod pióro i jakoś się te tysiąc lat razem już przeżyło albo i więcej, jeżeli wierzyć Smogorom. Godzą się zaś między sobą w dwóch wypadkach: gdy zabrzmi trąbka do boju i kiedy gospodyni zaprasza do stołu. Ująłem pod ramię panią Mariannę Puchałową:

— Droga, kochana pani. Tylko pani może uratować sytuację. Trzeba zaraz podać dobre, gorące śniadanie.

Anatol Duda odzyskał całkowicie równowagę ducha. Podszedł do mnie zacierając ręce:

— No, panie mecenasie, wygraliśmy rundę.

— Jak to, wygraliśmy? Jaka rundę? Co pan ma na myśli?

— Milicja nie będzie miała tu nic do roboty. Chyba tylko dla porządku spisze protokół. Trzy trupy, a zabójcy nie ma. Nie ma kogo aresztować.

Mała Isabella siedziała w kącie sieni i płakała. Posłałem do niej Czereję. Świadomość, że żyje na świecie ktoś, kto ma jeszcze większego pecha od nas, bardzo podnosi na duchu. Finelli i Stude po krótkiej poufnej naradzie zaszczycili mnie mocnym, męskim uściskiem dłoni. Dziękowali za tak dyskretne, dyplomatyczne, sprawne rozwiązanie sprawy. Mieli nadzieję, że nic im nie przeszkodzi w opuszczeniu naszego kraju, z którego wywożą jak najmilsze wrażenia. Nie powstrzymałem się od jednego pytania:

— Skąd pan znał Rodrigueza, czyli Baumanna, panie Stude?

— W Niemczech go poznałem, w czasie wojny. Mój oddział wziął do niewoli jego i kilku jeszcze... Co później z nim się działo, nie mam pojęcia. Spotkałem go kilka lat temu w Ameryce. Zmienił nazwisko, ale co to mnie obchodziło. Nie moja sprawa. Robiliśmy razem interesy. Dobre interesy. Ten ostatni nie udał się. Bywa.

Tak więc i ten punkt miałem wyjaśniony. Rozejrzałem się po hallu. Iwona pocieszała Martę Schmuckdorfową, która teraz dopiero jak gdyby zrozumiała, co się stało.

„Po co mam żyć?” — mówiła cała jej postać nagle przygarbiona, o bezradnie opuszczonych w dół ramionach.

Brakowało mi kogoś. Gdzie się podziała Monika Rosier?

Wyjrzałem na dwór. Stała oparta plecami o węgiel domu w promieniach wschodzącego słońca. Jej twarz również postarzała przez tę noc. Malowała się na niej rozterka. Patrzyła na wieżę. Dojrzałem w jej oczach coś, co wprawilo mnie w zdumienie: były zaszklone łzami. Zrozumiałem ją. Ktoś młodszy ode mnie, kto nie przeżył wojny, mógłby powiedzieć: ma to, czego chciała. Szukała zemsty na mordercy ojca i morderca ten został ukarany. Sprawiedliwości stało się zadość, obojętne właściwie w jakiej formie. Powinna czuć się szczęśliwa, ale nią nie jest. Bywają bowiem cele w życiu, których osiągnięcie nie budzi i nie może budzić zadowolenia ani radości. Nie sam Baumann, lecz pogoń za Baumannem stanowiła przez te wszystkie lata mocną więź, wciąż jeszcze łączącą bieżące życie Moniki z dawno utraconą przeszłością, z miłością do ojca. W normalnych okolicznościach ta pełna uwielbienia miłość córki po dwudziestu kilku latach przypominałaby już tylko zblakłą fotografię z rodzinnego albumu. Nosząc w sobie ciągle niezaspokojone pragnienie zemsty, ożywiała tę miłość ciągle na nowo i dodawała jej barw. Miłość syciła nienawiść, nienawiść nie pozwalała wędnąć miłości. Żegnając się z Baumannem, po raz drugi żegnała się z ojcem. Żegnając się ze swoją zemstą, z przedmiotem tej zemsty, żegnała się z uczuciem, które podtrzymywało stałe pragnienie odwetu. Ból po stracie ojca nie musi już być teraz wciąż tak

piekący, aby bezustannie przypominał jej o sprawie, którą uczyniła jedynym sensem swojego istnienia.

Co teraz pocznie z pustką po dwóch zgasłych namietnościach, wypełniających dotychczasowe jej życie? Musi to niestety rozstrzygnąć sama. Może będzie z zapalem projektować coraz krótsze spódniczki dla dziewcząt. Może zajmie się działalnością charytatywną, jakimś niesieniem pomocy ofiarom wojny. Może stać ją będzie na coś więcej, na określoną walkę polityczną. A może po prostu nareszcie ureguluje osobiste życie, wyjdzie za mąż za rozsądnego i zamożnego człowieka, otworzy własny zakład i wieczorami będą wspólnie omawiać przezorne i zyskowe operacje finansowe.

Nie czułem się ani na siłach, ani upoważniony do podsuwania rad tej kobiecie, dla mnie osobiście najtragiczniejszej postaci naszej małej trojańskiej wojny, rozegranej u wrót nie Skajskiej, ale Kłodzkiej Bramy. Pozostawiłem Monikę samotną z jej myślami i wycofałem się po cichu, zamykając za sobą drzwi wejściowe.

Przez opustoszałą już sien kroczyła pani Józia Ciołczykowa. W jednej ręce trzymała miotelkę, a w drugiej niosła przed sobą śmietniczkę. Zatrzymała się na mój widok uśmiechając się życzliwie:

— Wszyscy są już w jadalni, panie mecenasie. Śniadanie na stole. Panią Martę też namówiłam. Niech se podje, biedactwo. Świeć, Panie, nad duszą tego nieszczęśnika, jej męża. Wedle mnie, powinien mu Pan Bóg trocha winy popuścić, bo dobrego człowieka me zabił, tylko złego. To się powinno liczyć, no nie?

Zrobiłem przeczący ruch głową.

— Pan mecenas inaczej myśli. Pewnie pan lepiej wie, bo pan się na prawie zna. Ale i tak bywa, że papierowa sprawiedliwość inna, a ludzka inna. Ja tam pacierz za jego duszę już zmówiłam i posprzątałam co nieco koło nieboszczyka. Te skorupy zmietłam.

Zgorszyłem się:

Ależ pani Józiu! Nie wolno tam niczego ruszać.

— Toteż ja i nie ruszałam. Mówię przecie, że ino te skorupy zmietłam. I kto by to pomyślał, że przez te garnki głupiego

Kacpra taki koniec świata się zrobi.

Cóż to, pomyślałem, czyżby jeszcze nie finał całej historii? Zainteresowałem się pozornie od niechcienia:

– Jakiego znów Kacpra, pani Józiu?

Odstawiła na bok śmietniczkę, na której piętrzyła się kupka resztek po sowej wazie, skrzyżowała swoim zwyczajem ramiona na biuście i wyjaśniła ochoczo:

– We wsi na dole mieszka taki jeden, dawny tutejszy. W głowie ma nie wszystko po kolei, więc go głupim nazywają. Na imię ma Kacper, a jak dalej, to nikt nie wie. On sam też. Ani to czytać, ani pisać, ani mówić po ludzku nie umie. A żyje z garncarstwa. Przyjeżdżają z takiej jakiejś spółdzielni i kupują od niego. Powiadają, że piękne, chociaż ja tam cudnego w nich nic nie widzę. Jak jeszcze nieboszyk Bukar żył, głupi Kacper przyniósł mu jeden taki garnek. Z wdzięczności za jakąś pomoc, bo Wawrzyniec dobry był dla ludzi. A że to Sowie Góry i „Sowie Ucho”, to Kacper taką ozdóbkę z sową wymyślił. Tyleśmy wyrozumieli z jego gadania. Nie przyjąć było nijak, więc Wawrzyniec wziął, jakiś czas w sieni na kominku ta waza stała, ale kiedyś się nadtłukła i Wawrzyniec kazał mi ją razem z innymi śmieciami i skorupami wyrzucić precz. Ja tam nic na dobre wyrzucać nie lubię, wszystko w gospodarstwie może się przydać. Ale że Wawrzyniec rupieciarni w domu nie lubił, ino porządek miał być, klamoty takie tam różne w piwniczce pod wieżą trzymałam. Kwas do barszczu buraczkowego dobrze mi się w tym garnku trzymał. Bo taki kwas z glinianego garnczka najlepszy, pan mecenas wie. Pani kierownikowa chtóregoś dnia do piwniczki zajrzała i tę skorupę do pałacu przyniosła. Spodobała się jej. Do gabloty wstawiła, ale ja nic nie mówiłam, bo i po co. Nie moja rzecz. Moja rzecz sprzątać i ugotować dobrze jeść. Nawet polubiłam, że tak ten garnek w zbrojowni stoi. Jak się na niego patrzyłam, Wawrzyniec mi się przypominał.

– Czy on żyje jeszcze, ten Kacper?

– Żyje, żyje. Taki to długo żyje, proszę pana mecenas.

– I wciąż robi te garnki?

– I takie, i inne. Ale wiem, że takich z sową to dużo robi. No

bo pokupne są. Pamiątka z Sowich Gór. Ale niech mi pan mecenas teraz powie... Oni — skinęła głową w stronę jadalni i zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu — oni myśleli, że ten garnek, to co...?

Nie! Stanowczo nie chciałem narażać wobec tej kobiety na szwank dobrego imienia wiedzy archeologicznej dwóch narodów. Chciało mi się strasznie śmiać, ale powstrzymałem się. Położyłem rękę na tęgim ramieniu pani Józi i powiedziałem przyjaźnie:

— Widzi pani, dorośli ludzie też czasami bywają jak dzieci. Oni chcieli sobie splatać nawzajem figla za pomocą tej wazy. A potem wyszło nieporozumienie.

I poszedłem na śniadanie.

A na trojańskich wazach znów spoczywa wielometrowa warstwa gruzu. Kto wie, może tym razem już naprawdę nic z nich nie pozostało...

*

My także roześmieliśmy się z nieoczekiwanej pointy opowiadania Zamorskiego. Może tylko na twarzy pani Hanny odbiło się lekkie rozczarowanie. Spodziewała się chyba tragedii w stylu antycznym. Dostała w prezencie groteskę.

Zamorski wstał i podszedł do półki, na której stała moja waza z krokusami. Ujął ją oburącz i przeniósł na stół. Była ciemnoszara, prawie czarna, pękata. Imadła z obu stron brzuśca unosiły się ku górze, podobne do prymitywnie wyobrażonych skrzydełek albo ramion bez dłoni. Ornament na szyjce wykonany był częściowo jako płaskorzeźba, częściowo wyryty rylcem. Spod nastroszonych, grubo zarysowanych brwi patrzyły na nas blisko osadzone, okrągłe oczy, przedzielone ni to nosem, ni to dziobem. Po bokach tego oblicza wystawały małe uszka.

— Przypomniała mi się, pani Basiu, ta cała historia z „Sowiego Ucha”, kiedy zobaczyłem na pani półce tę wazę. Jest niemal identyczna z tamtą sowią wazą z gabloty w zbrojowni.

— Czyżby to znaczyło, panie Stefanie, że w moim posiadaniu znajduje się trojańska waza, należąca do skarbu Priama? —

zażartowałam, ale poczułam, że ogarnia mnie niczym nie usprawiedliwiona, bezsensowna emocja.

— Najmocniej przepraszam, pani Barbaro — zawołała żywo pani Sosnowska — zburzę pani iluzje. Co najmniej kilkanaście takich samych wazonów widziałam w Warszawie w jednym ze sklepów. Nie pamiętam tylko, „Ładu”, czy „Cepelii”. A może w jakimś innym. W każdym razie był to sklep z artystycznymi wyrobami ludowymi. Ma pewno z tego sklepu pochodzi i ten prezent.

Zrobiło się późno. Goście zaczęli się żegnać. Zamorski ofiarował się uprzejmie, że zabierze panią Hannę i Jurka do Warszawy swoim samochodem, którym do mnie przyjechał, pokonując dzielnie wszystkie zasadzki podwarszawskich dróg. Państwo Sosnowscy pozostali jeszcze chwilę, ale też ubierali się już do wyjścia. Pani Sosnowska najwidoczniej chciała mnie o coś zapytać, lecz krępowała się. Ośmieliłam ją:

— Czy podobało się pani opowiadanie pana mecenasa Zamorskiego?

— Bardzo zajmujące - odparła z entuzjazmem. - Nie wiem tylko...

— Nie wie pani, czy to, o czym opowiadał, zdarzyło się naprawdę.

— Właśnie. Czy nie wymyślił tego wszystkiego na poczekaniu, natchniony widokiem wazy z krokusami na pani półce.

Trudno mi to pani wyjaśnić — zawahałam się przez moment. — Mecenas Zamorski, mój przyjaciel, zawsze mówi prawdę. Prawdę o życiu, o ludziach. Nawet wtedy, gdy jestem przekonana, że zmyślił swoją historyjkę. Nie opowie o nikim, kogo by nie spotkał w życiu, ani o niczym, co nie mogłoby się w życiu zdarzyć. Możliwe, że dzisiejszego wieczora dla nas tylko sprowadził do górskiego schroniska, które nazwał „Sowim Uchem”, rozmaitych ludzi. Ale ręczę pani, że tacy ludzie istnieją i istnieją losy, które dobry Zamorski najpierw pokrzyżował, a później musiał cierpliwie rozplątywać. Gdzieś w świecie bogaci maniacy pożądamy rzadkich, bezcennych skarbów z dorobku ludzkości. Buszują po świecie jak po dżungli, gangi przemytnicze, posiadające takich pośredników

jak Stude, i takich agentów jak Marco Finelli. Ukrywają się na plantacjach południowoamerykańskich Baumannowie, mający na sumieniu wiele ofiar ludzkich z czasów wojny. Niejedna Monika Rosier ściga niestrudzenie całymi latami po szerokim świecie kata najdroższych jej sercu ludzi, którzy zginęli w okrutny sposób. Przyczajona, jak kot, czeka chwili, kiedy mysz wysunie się z podziemnej kryjówki — chociaż oczywiście, trudno Baumanna nazwać myszą.. To drapieżnik, który nie przestał być groźny. Żyją wśród nas wraz ze swym jałowym fanatyzmem Schmuckdorffowie, oschli i egocentryczni Smogorowie, żądne życia bez hamulców i skrupułów Heleny, lekkomyślni Sungajłowie i zawistni, cierpiący na manię niższości Czerejowie. Nie muszę pani wymieniać wszystkich bohaterów, których nam zaprezentował przed godziną mecenas Zamorski. Pani rozumie, o co mi chodzi. Więc gdyby nawet historia w „Sowim Uchu” nie zdarzyła się, ludzie występujący w niej byli na pewno prawdziwi.

I prawdziwe były konflikty między nimi. Ale widzę, że pani czuje się zawiedziona. Nie trzeba, moja droga. Bo wie pani, bywa i tak, że Zamorski opowiada mi jakąś historię, wyglądającą na absolutnie nieprawdopodobną.

I co pani powie na to, że ta historia okazuje się potem prawdziwa? Idźmy, kochanie, spać w przekonaniu, że ta przygoda przydarzyła się Zamorskiemu na jawie, w rzeczywistości.

Tego roku latem pani Sosnowska zapinała płaszcz z trudem odnajdując guziki. Oczy miała rozmarzone, a na policzkach ładny rumieniec — jedziemy z mężem w Sowie Góry. Powłóczyć się trochę po mniej uczęszczanych szlakach. Sprawdzę, czy rzeczywiście istnieje to „Sowie Ucho”. A może nam uda się odnaleźć „skarby króla Priama”?

Gdy odeszli, pomyślałam: oto jeszcze jeden powód, dla którego Zamorski opowiada podobne historie. Ludzie sami nawet nie wiedzą, jak bardzo pragną przygody. Jak przydatne jest w życiu marzenie. Niech to nawet będzie marzenie o rzekomych skarbach. Ostatecznie każdy z nas w życiu szuka stale jakiegoś skarbu, tylko różnie go sobie wyobraża. Bez

takiego dążenia życie jest czerze i monotonne. Jeden znajduje swój skarb, inny nie. Chodzi też o to, aby ewentualna walka o skarb toczyła się według szlachetnych reguł.

Od tego wieczoru zawsze dbam o to, by w mojej „sowiej wazie” znajdowały się jakieś odpowiednie kwiaty. Obok niej leży na półce tomik „Iliady” z zakładką, umieszczoną przy stronie, na której Achilles wypowiada do Priama słowa pełne mądrości, chociaż nie pozbawione melancholijnej zadumy:

Próżne nasze smutki...

Dwoiste pod Zeusowym tronem jest naczynie:

z jednego złe, z drugiego dobre dla nas płynie.

Bardzo ostatnio polubiłam zapomnianą cd czasów szkolnych „Iliadę” i jej siostrę „Odyseję”. Każą mi rozmyślać o tym, jak wiele łączy nas, dzisiejszych z twórcami „sowich waz” sprzed przeszło trzech tysięcy lat, z twórcami urn twarzowych sprzed dwu i pół tysiąca lat i w gruncie rzeczy, jak bardzo my wszyscy zamieszkujący nasz pocziwy stary glob, stanowimy jedną ludzką rodzinę.



...Widzicie, państwo, ja tu od niedawna jestem kierownikiem. Mój poprzednik, Wawrzyniec Bukar, o, ten to wszystko wiedział o „Sowim Uchu”. Mieszkał w tych stronach od lat, on też odbudował, remontował i urządził ten zamek. Niestety, zginął tragicznie.

— Och, doprawdy? A co się z nim stało?

Zdziwiłem się. To odezwała się milcząca dotychczas Marta Schmuckdorf, żona niemieckiego prehistoryka. Wpatrywała się z napięciem w

twarz Puchały. Nie wiem, czy sprawiło to wino, wypite podczas kolacji, czy też zafrapowanie duchami, ale policzki pani Marty zaróżowiły się z emocji.

— Zdarzył mu się wypadek podczas polowania — odpowiedział niechętnie Puchała — zła-
mała się pod nim gałąź. Spadł tak nieszczęśliwie,
że strzelba wypadła mu w rękę. Sam siebie
trafił w głowę. Trup na miejscu...

Cena zł 18.-

lesiojot

ISKRY